

Rok 2025



PUBLIKACJA UKAZAŁA SIĘ
W 80. ROCZNICĘ
POWSTANIA
INSTYTUTU LITERACKIEGO
W PARYŻU



BIBLIOTEKA INSTYTUTU
EUROPY ŚRODKOWEJ

Robert Traba

Rok 2025

*Jak historia
staje się pamięcią*

INSTYTUT EUROPY ŚRODKOWEJ

Lublin 2026

Spis treści

Prolog	
Polityka wobec historii i pamięci. Reminiscencje	7
Część I	
Czym jest pamięć	
Pamięć i miejsca pamięci	21
O podzielonej pamięci Polaków i Niemców. Hołd pruski	37
Historia i pamięć pewnego złudzenia	47
Część II	
Sposoby pamiętania	
O sensie muzealnej opowieści	67
Wojna w kulturze pamięci. Rozmowa	71
Zakończenie wojny trwa wiecznie...	79
Po co w Berlinie pomnik „polski“?	87
Po co w Olsztynie pomnik „komunistyczny“?	95
Nekrolog	107
O potrzebie debaty	109
Czy „nasi chłopcy“ mogą służyć we wrogich wojskach?	115
<i>Krzyżacy</i> , czyli teatr z historii	119
Jerzy Ficowski nadal będzie inspirował	125
Epilog: Nagroda im. Stanisława Vincenza	
Laudacja z okazji przyznania prof. Robertowi Tracie	
Nagrody im. Stanisława Vincenza 2025 [Jacek Purchła]	133
O dialogu i gościnności	139
Nota wydawnicza	145

Prolog

Polityka wobec historii i pamięci. Reminiscencje

Nie chcę odtwarzać zdarzeń roku 2025. Mam jedynie przeczucie, że kiedyś będziemy o nim mówili: wyjątkowy! W *Kalendarzu Gdańskim 2025*, który służy mi za roboczy codziennik (ale nigdy nie stanie się prawdziwym dziennikiem), pod datą 25 lutego zapisałem:

Czarny dzień. KONIEC ZACHODU! Sesja Rady Bezpieczeństwa ONZ. Przemówienie ambasadora USA. Potem głosowanie nad rezolucją w sprawie pokoju w Ukrainie. USA + Chiny + Rosja = sojusz przeciw Unii Europejskiej, przeciw Europie wartości. Pierwszy raz od 1945 roku! Wszystko zaczęło się miesiąc wcześniej, 20 stycznia, wraz z objęciem urzędu prezydenta przez Trumpa. Symbolicznie skończyło się dziś.

Siedem miesięcy później, 1 września, jeden z czołowych przywódców światowych ogłosił manifest „sprawiedliwego i równego systemu globalnego zarządzania”, oparty na pięciu zasadach:

- Po pierwsze, musimy dbać o suwerenną równość.
- Po drugie, musimy przestrzegać międzynarodowych zasad prawa.
- Po trzecie, musimy praktykować multilateralizm.
- Po czwarte, musimy propagować podejście skoncentrowane na ludziach.
- Po piąte, musimy przyjąć zasadę zorientowania na działanie.

Esencja demokracji! Tyle że jej autorem nie był żaden z liberalnych polityków europejskich, lecz przewodniczący Komunistycznej

Partii Chin, Xi Jinping, podczas szczytu Szanghajskiej Organizacji Współpracy. Paradoks? W *Kalendarzu Gdańskim* pod datą 1 września zapisałem: „Wydrukowałem przemówienie Xi Jinpinga. Nie mieści się w głowie!”. A jednak! Cztery miesiące później, po słowach Donalda Trumpa z 29 grudnia, że „Rosja chce, żeby Ukraina odniosła sukces”, już nic nie może być bardziej paradoksalne. Trump, Xi Jinping i Putin wyznaczają globalne ramy świata, którego częścią są Europa i Polska. Zdefiniowany w 2015 roku kryzys tożsamościowy (Timothy Garton Ash) Europy trwa. Jego najbardziej widocznym objawem jest kryzys mechanizmów liberalnej demokracji i mnożenie się europejskich wersji amerykańskiego MAGA, czyli dobrze znanych w Europie egoizmów narodowych, które w dużym stopniu przyczyniły się do wybuchu obu wojen światowych. „Musimy być silni i dumni!”.

Co to znaczy?

Co znaczy w Polsce być silnym i dumnym? Jak tworzyć nieinwazyjną, dialogiczną i jednocześnie skuteczną politykę pamięci? Takie pytania podskórnie towarzyszą całej książce. Pierwsza część jest rozpoznaniem tytułowego tematu zarówno w teorii, jak i praktykach pamiętania. Teoria poświęcona jest miejscom pamięci w rozumieniu Hahna i Traby, czyli historii największego polsko-niemieckiego projektu naukowego (2007–2016), w którym wzięło udział ponad sto autorek i autorów z sześciu krajów. Studium naukowego sukcesu jest zarazem głosem goryczy wobec niewykorzystania jego potencjału w kreowaniu dialogicznej polityki wobec pamięci między Polską a Niemcami. Esej o hołdzie pruskim jest mikrostudium asymetrii pamiętania w Polsce i w Niemczech, opartym na analizie jednego wydarzenia. Trzeci esej dotyczy historii kryzysu demokracji w Niemczech przelomu lat 20. i 30. XX wieku. *Wspomnienia z Prus Wschodnich* Hansa von Lehdorffa, wydane pod koniec 2025 roku przez warszawską Fundację Ośrodka „Karta”, pozwalają skonfrontować realne zdarzenia brunatnienia weimarskich Niemiec z ich sposobem pamiętania po około pół wieku.

Drugą część otwieram tekstem o wystawie głównej Muzeum Historii Polski i polemiką na temat sposobu opowiadania historii Polski. Była to odpowiedź na apologię wyrażoną przez „głównego

historyka" Muzeum, Richarda Butterwicka-Pawlikowskiego („Gazeta Wyborcza”, 13.03.2025). W dalszej debacie udział wzięli: dyrektor Muzeum Historii Polski Marcin Napiórkowski, dyrektor Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk Maciej Janowski oraz kilkadziesiąt internautów. Dziś, pozostając nadal w opozycji do tez Butterwicka-Pawlikowskiego i próby ich egzegezy przez Napiórkowskiego, zgodzę się co do jednego: potrzebujemy wypracowania nowego języka opowieści o historii Polski. Z pewnością nie może on wyrastać z przestrzeni ograniczonej dychotomią duma-wstyd oraz hurrapatriotycznej obrony polskości, także za cenę prawdy historycznej. Jak bardzo może być szkodliwa taka postawa, pokazała na przełomie listopada i grudnia 2025 roku próba moralnego szantażu w związku z publikacją polsko-niemieckiego historyka Grzegorza Rossolińskiego-Liebe z Berlina o polskich burmistrzach w Generalnym Gubernatorstwie (zob. w tym tomie *O potrzebie debaty*), a także polityczne reakcje na wystawę Muzeum Gdańska „Nasi chłopczy”. Naszym obowiązkiem jest wyzbycie się wiecznego kompleksu i – zgadzając się z Marcinem Napiórkowskim – budowanie autonomicznej „pamięci wielowymiarowej, a zarazem dośrodkowej, poszerzanie przestrzeni dialogu i spotkania” („Gazeta Wyborcza”, 14.04.2025).

W pozostałych tekstach skupiam się na II wojnie światowej i różnych formach odnoszenia się do niej w przestrzeni publicznej. Głównie chodzi o pomniki i ich znaczenie jako najbardziej widocznych nośników pamięci. Temat ten przedstawiam, odnosząc się do dwóch konkretnych przypadków. Pierwszym jest pomnik według projektu Xawerego Dunikowskiego w Olsztynie. Drugim istniejący jako dzieło w tworzeniu pomnik polskich ofiar niemieckiej okupacji, który ma dopiero powstać w Berlinie. W obu chodzi z jednej strony o to samo, czyli nadawanie historycznego sensu. Z drugiej strony są awersem i rewersem. W przypadku olsztyńskim chodzi bowiem o znaczenie niechcianego dziedzictwa, które jest zarazem wybitnym dziełem sztuki poddanym z politycznych powodów procesowi anihilacji. Z kolei w przypadku berlińskim pojawia się zasadne pytanie o sens stawiania nowego pomnika, który z jednej strony może być symboliczną formą zadośćuczynienia, z drugiej zaś – jak argumentują niektórzy niemieccy politycy – zarzewiem procesu konkurencji narodowych ofiar.

Do wojennych tekstów zaliczam również esej o sztuce *Krzyżacy* w reżyserii Jana Klaty, bo odnoszę wrażenie, że sam reżyser chciał się tak pozycjonować, budując narracyjną ciągłość tożsamości niemieckiej od Krzyżaka, przez germanizatora z XIX wieku aż po nazistowskiego oprawcę. O dziwo, 8 maja minął w Polsce bez echa. Podobnie 1 września. Najbardziej zauważalnym i przeżywanym społecznie zdarzeniem jest powstanie warszawskie, któremu też szczególną rangę nadają uroczystości państwowe. Sam fakt wojny i jej skutków jest ciągle żywy w najmłodszym pokoleniu. Internet i historyczne kanały telewizyjne zavalone są wręcz tematami wojennymi, głównie militarnymi bądź skupionymi wokół Hitlera i podobnych zbrodniarzy. Turizm do miejsc tragicznych, tzw. tanatoturystyka czy *dark tourism*, przyciąga rzesze nie tylko młodych ludzi chcących przeżyć dreszcz emocji w autentycznym miejscu przemocy czy zbrodni. Czy umiemy młodemu pokoleniu przekazać wiedzę alternatywną?

Z wojennego cyklu i refleksji pamięciologicznej wyłamuje się tekst o wybitnej książce poznańskiej badaczki Emilii Kledzik na temat cyganologii Jerzego Ficowskiego. W kontekście politycznych koniunktur i manipulacji, które towarzyszą sporom o politykę wobec pamięci, Kledzik daje nam wykładnię tego, czym jest rzetelna krytyka i etyczna postawa wobec prób środowiskowej nagonki. To dobry, uniwersalny drogowskaz w czasach, gdy koniunkturalizm postaw ma się całkiem dobrze. Po rocznych perturbacjach książka Emilii Kledzik otrzymała Nagrodę Prezesa Rady Ministrów oraz Nagrodę im. Jerzego Giedroycia.

Książkę kończę niecodziennym, przyjacielskim dialogiem z czterdzielatką, wybitną krakowską profesorką Jackiem Purchlą, z okazji przyznania mi przez Stołeczne Królewskie Miasto Kraków Nagrody im. Stanisława Vincenza. Ta intelektualna wymiana ma swój kurtuazyjny wymiar, ale jest również kwintesencją całej książki, bo zawiera w sobie echa wszystkich tematów i pochwałę idei dialogiczności wybitnego Środkowoeuropejczyka, człowieka Huculszczyzny i paryskiej „Kultury” – Stanisława Vincenza.

Dopowiedzenia I: Reaktywacja

Nie wchodzę w twardą politykę. Polskę opowiadam przez pryzmat polityki wobec przeszłości i pamięci. Poprzednią książkę,

Historia (nie) na sprzedaż (Kraków: Austeria 2024), zakończyłem listem otwartym do prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, Karola Nawrockiego, w obronie wspomnianego pomnika Xawerego Dunikowskiego w Olsztynie, nazwanego najpierw pomnikiem Wdzięczności Armii Czerwonej, a po 1956 roku – Wyzwolenia Ziemi Warmińsko-Mazurskiej. Moja argumentacja była bezlitosna dla braku wiedzy prezesa, jak napisał jeden z uznanych poznańskich historyków. Można by powiedzieć: spór wygrałem! Tylko co z tego?! Najpierw prezydent Olsztyna, wybrany z list Platformy Obywatelskiej, zapowiedział pozbycie się pomnika, tyle że nie brutalnie, jak proponował prezes, lecz pozorując konsultacje społeczne. Ponieważ taki manewr nie zadziałał najlepiej, to na inaugurację roku 2026 wymyślił atomową propozycję, by pomnik zniknął: dokładnie pod pomnikiem wybuduje Olsztyniakom schron! *Roma locuta, causa finita!* Nie można było tak od razu?! Dwa lata po moim liście prezes Instytutu Pamięci Narodowej został prezydentem Rzeczypospolitej. Dlatego, przezornie, wolę pozostać tylko w polityce rozumianej jako konkurencja wobec tzw. przemocy symbolicznej, odnoszącej się do różnych strategii w sferze pamięci.

W polskim wydaniu trumpowskie MAGA to powrót do narodowych snów o potędze, co nie jest ani nowe, ani oryginalne. Nie trzeba się cofać do XIX i XX wieku, bo wystarczająco dużo przykładów dostarcza III Rzeczpospolita. Około ćwierć wieku temu linię sporu określał front polityczno-kulturowy między liberałami a konserwatystami. W praktyce debaty znaczyły go takie dyskursywne pojęcia, jak „duma albo wstyd”, „Westerplatte albo Jedwabne” czy wreszcie „patriotyzm krytyczny albo afirmacyjny”. W sensie politycznym dyskurs wyznaczył Jarosław Kaczyński, dzieląc Polskę na „prawdziwych patriotów” oraz „zdrajców”, „Targowicę” i „ojkofobów”. Przestrzenią, w której rozgrywał się spór w pierwszej dekadzie XXI wieku, była relacja polityki do przeszłości, zwana potocznie, frazą zapożyczoną z niemieckich sporów, polityką historyczną (*Geschichtspolitik* bądź *Vergangenheitspolitik*). W brytyjskich czy francuskich praktykach mówiło się raczej o relacji polityki do pamięci niż do historii, np. *politics of memory*, względnie *politique du passé* i *politique mémorielle*, co w sensie kategorii analitycznej jest mi bliższe niż dominująca dziś w Polsce „polityka historyczna”.

Po eksplozji sporów z lat 2001–2015 wydawało się, że zasadniczy dylemat – „jest czy nie ma polityki historycznej” – został rozstrzygnięty w myśl: polityka historyczna jest, tyle że spierać się będziemy o to, co powinno być jej treścią i jak ją uprawiać. Dla mnie osobiście domknięciem tematu było wydanie wspólnie z Magdaleną Saryusz-Wolską oraz stu wybitnymi naukowczyniami i naukowcami *Modi memorandi. Leksykonu kultury pamięci*, a także lektura prac takich badaczy, jak Kornelia Kończal, Andrzej Mencwel, Lech Nijakowski, Sławomir Nowinowski, Jan Pomorski, Rafał Stobiecki, Anna Wolff-Powęska, Joanna Wawrzyniak oraz w późniejszym okresie Rafał Chwedoruk, Marcin Forecki czy Michał Łuczewski. Listę badaczek i badaczy mógłbym kontynuować, tak duże było nasycenie tematem relacji polityki do przeszłości i pamięci. Tym bardziej zaskakujące jest, z jakim impetem zaczęto się w 2024 i 2025 roku ponownie maglowanie problemów sprzed ponad dekady.

Obecnie próbuje się definiować spór nie kulturowo czy politycznie, lecz w pierwszym rzędzie pokoleniowo:

My nie skręcamy na prawo ani na lewo. W odróżnieniu od was jesteście pokoleniem godności, bez kompleksów, dlatego duma i bohaterstwo w naszym systemie wartości nie łączą się z prawicową opcją polityczną.

Taki głos dwudziesto- i trzydziestolatków jest w Polsce coraz częstszy. Deklarowana apolityczność nie zmienia faktu, że 26–30% młodych w wieku 18–29 lat popiera Konfederację, podobnie jak np. 40% Hiszpanów w wieku 18–34 lata popiera postfrankistowskie ugrupowanie Vox. Ich głos współbrzmi z polskimi rówieśnikami, bo „czują się oszukani przez partie, które sprawowały władzę od upadku dyktatury pół wieku temu” (J. Bielecki, „Rzeczpospolita”, 29.12.2025). Ćwierć wieku temu w Polsce „dumę” przeciwstawiano „wstydomi” i zamiast krytycznego patriotyzmu lansowano polskość afirmacyjną. Narzucając kulturowy manicheizm, formatowano debatę tożsamościową tak, jakbyśmy mieli system zero-jedynkowy: my prawdziwi patrioci *contra* oni – antypatrioci, by nie powiedzieć zdrajcy.

Pokoleniowa dychotomia nie jest niczym nowym. Przeważnie jednak rewolucyjny bunt „młodych przeciw starym” nie kończył się dobrze. Na pokoleniowej polaryzacji swój potencjał polityczny

w okresie międzywojennym budowała hiszpańska Falanga, polski Obóz Narodowo-Radykalny czy młodzi niemieccy konserwatyści, którzy nagle obudzili się w szponach Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników Adolfa Hitlera. Dzisiejsze deklaracje „młodych” wcale nie muszą prowadzić do tak czarnych scenariuszy. Co z nich wyniknie, zobaczymy za kilka lat. Na razie głośno typu „teraz my”, bo „wy nie daliście rady”, nie napawają optymizmem. Krótkowzroczność zawsze zatrzuwała myślenie. Nowe mody na historię, a szczególnie sposoby utrwalania pamięci kulturowej, na szczęście przychodzą i odchodzą, tak jak zmienne są rządy w liberalnych demokracjach. W Polsce przez ponad trzydzieści lat nie udało się wypracować konsensusu w obszarze pamięci. Dlatego nadzieję pokładam w projekcie Muzeum Historii Polski dotyczącym wypracowania „strategii w obszarze pamięci”, którego efekty być może będziemy znali już przed ukazaniem się mojej książki. Nie wierzę w cud pojednania różnych wizji polityk pamięci, ale sam fakt zaistnienia kompleksowego dokumentu na ten temat powinien stać się na tyle ważny, że w przyszłości żaden demokratyczny rząd nie będzie mógł go pominąć.

Problem stosunku polityki do przeszłości nie jest ani wyłącznie pokoleniowy, ani konserwatywno-liberalny, tylko zależy od miejsca, czasu i dominujących trendów polityczno-kulturowych. Przed prawie czterdziestoma laty Leszek Kołakowski w słynnym już dziś eseju *Kapłan i błazen. Rozważania o teologicznym dziedzictwie współczesnego myślenia* (1959) trafnie zarysował dylemat:

Mamy do czynienia z dwiema politykami historycznymi, które można określić jako politykę kapłanów i politykę błaznów. Pierwsza próbuje założyć nam polityczną obrozę paraautorytaryzmu i epistemologiczny kaganiec mitohistorii. Druga, usiłując nakłuć rozdęty balon dumy narodowej i historycznej megalomanii, próbuje wyzwolić w nas postawę krytycznej autorefleksji, która możliwa jest tylko w warunkach liberalnej demokracji.

Mimo że polski filozof opisywał sytuację z lat zimnej wojny, gdy Polska była jeszcze w okowach autorytaryzmu, to wybór między kapłanem a błaznem, między megalomanią narodową a wiarą w niewidzialną rękę liberalnej demokracji wyznacza uniwersalny

dylemat relacji państwa i społeczeństwa do przeszłości i pamięci. W tym sensie jest to temat, o którym warto rozmawiać, ale bez zadęcia odkrywców i misjonarzy, płci obojga.

Słynna fraza z powieści *Lampart (Il Gattopardo)* Giuseppe Tommasiego di Lampedusa, wypowiedziana przez młodego Tancrediego do Don Fabrizia, księcia Saliny, brzmi: „Jeśli chcemy, żeby wszystko pozostało tak, jak jest, wszystko musi się zmienić”. Cytat funkcjonuje jako metafora konieczności powierzchownych reform w celu zachowania istniejącego systemu władzy lub *status quo*. Dziś nie ma czasu na pozorne zmiany, zabawy w pokoleniowe czy partyjne przepychanki... również w sferze polityki wobec pamięci. Złym pomysłem była ekspansywna tzw. nowa polityka historyczna formacji prawicowych, realizowana dość skutecznie przez PiS w latach 2015–2023. Jeszcze gorszym rozwiązaniem jest brak pomysłu na kreatywną politykę wobec przeszłości, którą reprezentują rządy liberalno-lewicowe. Jaka ma być nowa strategia? Nie wiem, ale jest to dokładnie ten punkt i czas, w którym powinniśmy zacząć rozmowę o naprawę nowej strategii, wyciągając wnioski z przeszłości. Do tego potrzebna jest najpierw krytyczna ocena własnych błędów.

Dopowiedzenia II: Żdźbło i belka

W rzeczywistości polsko-polskiej rok 2025 był szczególnie, głównie w wymiarze symbolicznym: tysiąclecie koronacji Bolesława Chrobrego na pierwszego króla Polski, pięćsetlecie traktatu krakowskiego, zakończonego hołdem księcia Albrechta Hohenzollerna przed królem Zygmuntem Starym, osiemdziesięciolecie zakończenia II wojny światowej i włączenia do Polski obszaru pogranicza polsko-niemieckiego nazwanego Ziemią Odzyskanymi oraz sześćdziesięciolecie listu biskupów polskich do niemieckich z epokową frazą „przebaczamy i prosimy o przebaczenie”.

Rocznice były doniosłe. Ich państwowe świętowanie jako doświadczenie wspólnotowe społeczeństwa liberalnej demokracji graniczyło z aktem chaotycznej desperacji. Uroczystości odbywały się tak, jakby przypomniano sobie o nich w ostatniej chwili. A forma obchodów przywoływała na myśl groteskę, czego kulminacją było hasło wrocławskiego eventu (15 grudnia) na cześć „powrotu Ziemi Zachodnich i Północnych”: „Tu jest Polska!”. Co najmniej tak,

jakby Polacy po osiemdziesięciu latach mieli wątpliwości, gdzie jest Polska, a rząd chciał przebić takim sformułowaniem język części braunizującej opozycji. Chyba że miało to być gomułkowskie w stylu pogrozenie „rewizjonistom zza Odry”, co już samo w sobie byłoby niedorzeczne. Na koniec podpisano Deklarację Piastowską, co w przypadku np. Warmii i Mazur wydaje się dość kuriozalne. Związek regionu z Piastami był taki, że gdy księżę Leszek Biały nie mógł już sobie poradzić z plemionami pruskimi, to jego młodszy brat Konrad I Mazowiecki na pomoc wezwał Zakon Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego. Znaczyłoby to tyle, że najważniejszym osiągnięciem piastowskim na Mazurach było sprowadzenie Krzyżaków. Aż się dziwię, że nikt z chorej na antyniemieckość obecnej opozycji tej śmiesznej koincydencji nie wykorzystał.

Odniesienie do Niemiec, ich historii i strategii polityki wobec pamięci ma w polskiej debacie znaczenie nie do pominięcia. Z niektórych publikacji można wręcz wnioskować, że to jakiś niemiecki kompleks pozycjonuje nasz stosunek do zapotrzebowania na konstruowanie polskiej pamięci zbiorowej. O ile w 2004 roku, po wzmożeniu jawnie antypolskiej propagandy Związku Wypędzonych i rewizjonistycznych żądaniach tzw. Powiernictwa Pruskiego, można było jeszcze zrozumieć jednogłośnie uchwałę Sejmu w sprawie reparacji od Niemiec, o tyle późniejsze działania rządu, poczynszyszy od reakcji na niemiecki film *Nasze matki, nasi ojcowie* (2013), przypominają słabo zorganizowaną akcję odwetową, w poetyce „nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”.

Czego brakuje polskiej polityce wobec przeszłości, że ciągle musi się wspierać reakcyjnością na niemieckie inicjatywy rzekomo zagrożające polskiej tożsamości? Najprościej mówiąc, brak jest kreatywności, kontynuacji i konsekwencji. Albo nie ma żadnej przemyślanej strategii wobec pamięci, albo jest inwazyjna, w duchu ekspansywnego „kapłana” Leszka Kołakowskiego. Z własnego doświadczenia w Berlinie (2006–2018) pamiętam chaotyczne inicjatywy, które sprowokował film *Nasze matki...* Wzmożenie trwało niecałe trzy lata. Rozpoczęła je mocna kampania prawno-polityczna przeciw niemieckiej telewizji publicznej ZDF za fałszowanie obrazu Armii Krajowej, przedstawionej w filmie jako partyzantka antysemicka. W 2014 roku z udziałem prezydentów Polski i Niemiec w berlińskiej Topografii Terroru otwarto dużą wystawę o powstaniu

warszawskim. Rok później, staraniem redaktora TVP2 Tomasza Lisa, ZDF wyemitowała film pod tytułem *Warschau 44* (oryginał *Miasto 44*) Jana Komasy. Mimo emisji w *prime time*, dopisała jedynie publiczność czterdzieści plus. Natomiast sam odbiór filmu zrobionego w stylu komiksowym graniczył z zupełnym niezrozumieniem.

Wówczas też powstała pierwsza propozycja wypracowania kompleksowej, głównie z perspektywy prawnomedialnej, strategii polityki pamięci – najpierw konferencja w 2013 roku, a potem publikacja *Wadliwe kody pamięci. Zniekształcenie pamięci o zbrodniach międzynarodowych w dyskursie publicznym*, pod redakcją Artura Nowaka-Fara i Łukasza Zamęckiego (2015), wydana również po niemiecku i angielsku. Zleceniodawcą było polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, któremu szefował Radosław Sikorski. Publikacja miała być słuszną i racjonalną odpowiedzią na niemieckie zniekształcenia historii Polski, m.in. „polskie obozy koncentracyjne/zagłady”, „polskie współsprawstwo w Zagładzie” itp. Jej poziom był różny. Brak wśród autorów socjologów i historyków odbił się wyraźnie na poziomie definicyjnym tytułowego pojęcia. Finalne określenie perspektyw polskiej dyplomacji w przedstawianiu historii Polski za granicą było mało przekonujące, ograniczone prawie wyłącznie do aspektów prawnych. Można było jednak potraktować publikację jako punkt wyjścia i dalej konsekwentnie na jej bazie pracować. Po dziesięciu latach nie ma po niej śladu, czego dowodem jest programowa publikacja rządowego Ośrodka Studiów Wschodnich *W służbie przyszłości. Polityka historyczna zjednoczonych Niemiec* pod redakcją Anny Kwiatkowskiej. Podobnie na próżno szukać bardzo dobrego tomu pod redakcją Witolda M. Góralskiego *Przełom i wyzwanie: XX lat polsko-niemieckiego Traktatu o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy 1991–2011* (Warszawa 2011, też w wersji niemieckiej i angielskiej). W tomie Anny Kwiatkowskiej są wprawdzie inne punkty ciężkości, ale nie powinno to zwalniać wydawców od takiej koncepcji, w której znalazłoby się miejsce na krytyczną recepcję wcześniejszych analiz, tym bardziej że *W służbie przyszłości* nie ogranicza się do oglądu jedynie bieżącej sytuacji. Generalnie zbyt dużo jest publicystyki (też politycznego ustawienia tematów) zamiast rzeczowej analizy i kreatywnej kontynuacji polskiej krytyki niemieckiej polityki wobec własnej przeszłości, szczególnie dwunastu lat narodowego

socjalizmu. Gdzie jest ciągłość pracowania własnych koncepcji? Czy zawsze musimy zaczynać od nowa?

Brak konsekwencji i kontynuacji państwowej polityki wobec pamięci widoczny był na początku działalności Instytutu Pileckiego w Berlinie (2019). Przez około dziesięć lat (2006–2015) wypracowywany był z inicjatywy ministra Władysława Bartoszewskiego właśnie w Berlinie nowatorski model funkcjonowania Centrum Badań Historycznych Polskiej Akademii Nauk jako instytucji nauki, łączącej też zadania z obszaru kultury. W berlińskich środowiskach naukowych patrzono na sukces polskiej instytucji z nieukrywanym podziwem, porównując pozycję Centrum do francuskiego Centre Marc Bloch (obecnie francusko-niemiecki) czy American Academy. Potem przyszło nowe kierownictwo Polskiej Akademii Nauk (2015) i cały pomysł wyrzuciło do kosza, wracając do formuły wielofunkcyjnej, pomocniczej stacji naukowej. Polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie podjęło próby negocjacji z kierownictwem Polskiej Akademii Nauk. Pozostał jednak świecki *corpus benedictum*, czyli bezprecedensowe w historii naukowych relacji bilateralnych, dziewięciotomowe wydawnictwo *Polsko-niemieckie miejsca pamięci* oraz koordynowany przez Centrum Badań Historycznych, a stworzony pod egidą Wspólnej Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej Historyków i Geografów, podręcznik szkolny do powszechnego użytku w Niemczech i Polsce *Europa. Nasza historia / Europa. Unsere Geschichte*, drugi na świecie podręcznik bilateralny. Dodajmy: najlepszy podręcznik w języku niemieckim uwzględniający historię Polski, Europy Środkowo-Wschodniej i Wschodniej. Oba wyjątkowe dzieła nie otrzymały wsparcia od państwa polskiego po 2019 roku. O ile po roku 2015 działania nowych instytucji kultury miały podłoże polityczne, w duchu „teraz my” wyznaczamy nowe standardy, o tyle polityczną nonszalancją i lekceważeniem tematów historycznych we wzajemnych relacjach była utylizacja w 2013 roku wystawy „Wir Berliner! / My Berlińczycy! Polacy w wielokulturowej metropolii nad Sprewą XVIII–XX wiek”, która odbiła się w 2009 roku szerokim echem we wszystkich niemieckich mediach. Obok wystawy Andy Rottenberg z roku 2011 była największym polskim przedsięwzięciem wystawienniczym w Niemczech. Dziś na 4 tysiącach metrów kwadratowych w berlińskim Humboldt Forum po polskim Berlinie pozostał wprawdzie interesujący, ale

niewielki ślad w postaci instalacji „Wolność. Równość. Solidarność. Polskie punkty widzenia w Berlinie”. W 2010 roku zlikwidowano centralny program szkoleń (szkoły letnie 2004–2009) dla liderów wymiany polsko-niemieckiej w ramach rządowej Polsko-Niemieckiej Wymiany Młodzieży. Zamiast rozwinięcia systemu kaskadowego, uznano, że już nie warto zajmować się historią.

W ogóle bilateralność w polityce zarządzania nauką i kulturą stała się podejrzana bądź służy jedynie za alibi dobrych relacji. Tymczasem właśnie w tym obszarze możemy pochwalić się znakomitymi osiągnięciami, które dużo wcześniej niż zeszlóroczne publikacje wskazywały np. na mankamenty niemieckiej polityki wobec pamięci. Dlaczego ich nie uwzględniano? Bo nikomu w sferach rządowych nie zależało na rzeczywistym rozwiązywaniu problemów. Nie było otwartego konfliktu, więc zadawaliśmy się grą pozorów. Tymczasem odpowiednio opracowany dorobek Komisji czy skondensowane w jednym tomie *Polsko-niemieckie miejsca pamięci* byłyby znakomitą wiwisekcją wad i błędów, jakie w pracowaniu historii były i są w obu krajach. Słusznie punkujemy błędy czy wręcz wypaczenia w niemieckiej polityce wobec pamięci, bo są one z pewnością większe niż przysłowiowe źdźbło w oku. Dobrze byłoby jednak, gdybyśmy jednocześnie zauważali belkę braku kreatywności, kontynuacji i konsekwencji we własnym oku.

Część I
Czym jest pamięć

Pamięć i miejsca pamięci

Bywają okazjonalne wykłady, które przechodzą niespodziewanie do historii. Tak stało się – przynajmniej dla mnie – podczas konferencji w 2005 roku w podberlińskim Genshagen, gdy Reinhart Koselleck wygłosił erudycyjny wykład pt. „8 maja między pamięcią a historią”. Obok wielu cennych refleksji sformułował m.in. przestrożę dla badaczy przed uleganiem wpływowi pamięci na historię. O tym, co będzie pamiętane przez zbiorowość – zdaniem wybitnego semantyka historii – decyduje siedmiu przedstawicieli profesji zaczynających się na literę „p”, czyli profesorowie, politycy, proboszczowie, pedagodzy, poeci, publicyści i PR-rowcy¹. Ta trochę ironiczna fraza, a później moja rozmowa i korespondencja z Koselleckiem stały się jednym z tych momentów, które zadecydowały, że postanowiłem zająć się mechanizmami konstruowania pamięci zbiorowej. W efekcie stało się to ostatnim ogniwem, które doprowadziło do powstania idei, a niecały rok później do stworzenia pierwszych założeń projektu polsko-niemieckich miejsc pamięci i jego uruchomienia z zespołem Centrum Badań Historycznych Polskiej Akademii Nauk w Berlinie (2006/2007), na czele z Kornelią Kończal i Maciejem Górnym oraz w kooperacji z Hansem Hennin-kiem Hahnem z Uniwersytetu w Oldenburgu.

¹ R. Koselleck, *Dziewiąty maja pomiędzy pamięcią a historią*, tłum. J. Górny, „Borussia” 2006, nr 39, s. 173–180.

Czym jest pamięć?

Przypomniałem to zdarzenie nie bez powodu. Gdy wybitny historyk historiografii, Rafał Stobiecki, zaproponował mi napisanie artykułu o relacjach między historią/historiografią a pamięcią i *memory studies*, zdałem sobie sprawę, że jest to przestrzeń badawcza dziś tak szeroka i dynamicznie się rozwijająca, że powinienem ograniczyć ramy refleksji. Idąc tropem współredaktora monograficznego zeszytu „Klio Polska”, intencjonalnie wybrałem jeden wątek i kilka przypadków jako przykłady ukazujące szerszy kontekst dokonujących się zmian w relacji pamięć – historia i badania nad nimi. Ten wątek to „miejsca pamięci”, wybrany nie tylko dlatego, że kierowałem jednym z największych europejskich projektów na ten temat, czyli *Polsko-niemieckimi miejscami pamięci*, lecz dlatego, że miejsca pamięci skupiają ciekawą perspektywę badań. O ile do 2017 roku współtworzyłem projekt w szerokim kontekście europejskim, głównie niemiecko-francusko-austriackim, o tyle dziś chciałbym spojrzeć na problem fragmentarycznie, z perspektywy Warszawy oraz wybranych polskich badań nad pamięcią ostatnich kilku lat.

Na tę ramę nakładam jeszcze jedno ograniczenie. Mimo że *memory studies* są już od lat uznaną dziedziną nauki, w Polsce określaną niekiedy „pamięcioznawstwem”, traktuję je nadal nie tyle jako osobną dziedzinę naukową, co sumę wielo- i interdyscyplinarnych badań nad kulturą pamięci, w jej rozumieniu, jakie wyraziłem w *Modi memorandi. Leksykonie kultury pamięci*, w artykule wstępnym napisanym razem z Magdaleną Saryusz-Wolską.

W celu doprecyzowania swojego stanowiska odnośnie do relacji pamięć/pamięć zbiorowa – historia, powtórzę jeszcze swoje tezy sprzed kilku lat. Otóż po pierwsze, idąc tropem Maurice’a Halbwachsa oraz w Polsce odnosząc się do refleksji Jerzego Jedlickiego, uznaję pamięć zbiorową za konstrukcję ideową/fantazmat, który tworzy „kod identyfikacji i porozumiewania się grupy »my«”, pozwalając się odróżniać od innych grup/zbiorowości. Pamięć zbiorowa nie jest jednak fikcją, lecz dynamicznym procesem identyfikacji z selektywnie wybranymi fenomenami historycznymi. Nie ma więc pamięci zbiorowej, ale są mechanizmy zbiorowego oddziaływania, które jednostkom pozwalają się identyfikować jako wspólnota. W tym sensie rację mają Kornelia Kończal i Joanna Wawrzyński,

wpisując w badanie pamięci również takie zjawiska, jak np. tradycja (Jerzy Szacki) czy tożsamość (Antonina Kłoskowska), które w dużym stopniu można dziś stosować jako zamienniki.

Pamięć zbiorowa jednak zdobyła sobie status naukowy i publiczny, głównie na skutek ruchów emancypacyjnych różnych grup i jednostek pozbawionych dotychczas swojego autonomicznego głosu. Ta eksplozja, której początek sytuuje się na lata 80. XX wieku, zmieniła status relacji historii i pamięci. Pierre Nora ujął tę relację następująco:

Wzrost znaczenia i upowszechnienie [pamięci zbiorowej – R.T.] korespondował z [...] podkopaniem historycznej, politycznej i narodowej samoświadomości przez samoświadomość społeczną, pamięciową i patrymonialną. Tego rodzaju dynamika narzucała tym bardziej potrzebę uznania pamięci, bowiem zyskała ona pewien wymiar etyczny².

Na tej fali Alessandro Portelli czy Philippe Joutard z kręgu „Le Debat” pioniersko upowszechnili historię mówioną. „Zanim pamięć stała się przemysłem, a w końcu rutyną, z czym mamy do czynienia obecnie [2020 – R.T.], była sprawą, o którą walczone”³.

Pozostaję też przy dość oczywistym stanowisku, że pamięć nie jest historią, ale jednocześnie nie przeciwstawiam radykalnie obu, co czasami sugerował mój naukowo-wydawniczy partner Hans Henning Hahn. Twierdzę, w duchu Christopha Cornelißena, że częścią kultury pamięci są również reprezentacje historii, w tym dyskurs naukowo-historyczny. Historia broni się profesjonalną krytyką źródeł, warsztatem metodologicznym, ale jednocześnie jako humanistyczna dyscyplina naukowa nie jest izolowana od aktualnych trendów kulturowych, ideologii itp.

Apogeuem

Pięćciolecie 2011–2015 uważam za apogeuem polskiego zajmowania się pamięcią i miejscami pamięci. Jego zwiastunem był zeszyt

² P. Nora, *Władztwo pamięci*, tłum. T. Swoboda, „Przegląd Polityczny” 2021, nr 165, s. 134–135.

³ Tamże, s. 135.

„Kultury i Społeczeństwa” z 2011 roku (nr 4), zatytułowany *Przeszłość i pamięć*. Dziś, z perspektywy trzynastu lat, tytuł swojego artykułu wprowadzającego mógłbym tylko powtórzyć: *Gdzie jesteście?* Tyle że nie byłoby to już *Nowe otwarcie w polskich badaniach pamięci...*, lecz *Okres przelomowy*. Tytułową pozycję najlepiej w przekrojowym artykule zdefiniowały Kornelia Kończal i Joanna Wawrzyniak⁴. Tu po raz pierwszy pojawiły się w języku polskim artykuły o pamięci utytułowanych badaczy, takich jak Christian Gudechus, Miroslav Hroch czy Harald Welzer, oraz nowych polskich badaczy zajmujących się pamięcią, jak Zuzanna Bogumił, Katarzyna Jagodzińska, Tomasz Stryjek. Do roku 2015 ukazały się najważniejsze publikacje wyznaczające trajektorię badań oraz powstały nowe instytucjonalne struktury, jak np. Pracownia Pamięci Społecznej na Uniwersytecie Warszawskim, Polskie Towarzystwo Historii Mówionej, Ośrodek „Pamięć i Przyszłość”, wydający prestiżowy „Wrocławski Rocznik Historii Mówionej”, oraz „Genealogies of Memory”, cykl europejskich konferencji realizowany w ramach Europejskiej Sieci „Pamięć i Solidarność”, które do dziś są ważnymi katalizatorami naukowych inicjatyw.

Oprócz znakomitej pracy socjologów, jak Barbara Szacka, Andrzej Szpociński, Piotr Kwiatkowski czy Lech Nijakowski, i ich następczyń, jak Joanna Wawrzyniak, Małgorzata Głowacka-Grejper czy Anna Wylegała, to właśnie dorobek pracowników berlińskiego Centrum Badań Historycznych oraz krąg badaczek i badaczy różnych dyscyplin naukowych skupiony wokół projektów polsko-niemieckich miejsc pamięci oraz leksykonu *Modi memorandi* inicjował i mocno ożywił polski dyskurs pamięciowy. Najpierw dokonało się swoiste „odkrycie” i mały „zwrot assmannowski”, głównie dzięki inicjatywom Roberta Traby i Magdaleny Saryusz-Wolskiej. Prace Assmannów wyznaczyły jeden z głównych nurtów teoretycznej refleksji w polskich badaniach nad pamięcią. Wymienić należy przede wszystkim inicjacyjną publikację Jana Assmanna, *Pamięć kulturowa. Pismo, zapamiętywanie i polityczna tożsamość w cywilizacjach starożytnych*, która ukazała się wprawdzie już w 2008 roku, ale sukces publikacjom Assmannów zapewniły przede wszystkim

⁴ K. Kończal, J. Wawrzyniak, *Polskie badania pamięcioznawcze: tradycje, koncepcje, (nie)ciągłości*, „Kultura i Społeczeństwo” 2011, nr 4, s. 11–63.

antologii przygotowane przez Magdalenę Saryusz-Wolską: *Pamięć zbiorowa i kulturowa. Współczesna perspektywa niemiecka* (2009), Aleidę Assmann: *Między historią a pamięcią. Antologia* (2013) oraz w szerszym wymiarze Kornelię Kończal: *(Kon)teksty pamięci. Antologia* (2014). Równolegle Centrum Badań Historycznych inicjowało pierwsze dużego formatu konferencje, jak symposium pamięciowe podczas XVIII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w Olsztynie (2009) oraz Zjazdów Historyczek i Historyków Niemieckich w Dreźnie (2008) i Moguncji (2012). Wreszcie finałem stała się publikacja w 2014 roku *Modi memorandi. Leksykonu kultury pamięci*.

Ten międzynarodowy wzrost podmiotowości polskich badań nad pamięcią wyrażała szczególnie Aleida Assmann, zarówno podczas „Genealogies of Memory”, w bliskich relacjach z pracownikami Centrum Badań Historycznych, jak i bezpośrednio w polskim wydaniu swojej antologii *Między historią a pamięcią*.

Z jego [Traby – R.T.] książek i naszych osobistych rozmów wiele się nauczyłam na temat traumatycznej historii wzajemnych oddziaływań i współczesnego postrzegania Polaków i Niemców. [Saryusz-Wolska wykazała się] nadzwyczajną kompetencją, mądrymi komentarzami...⁵

Podobnie, z dużym uznaniem, w genealogię badaczy pamięci docenianych przez Norę, obok Jana Kota-Jeleńskiego i Krzysztofa Pomiana, wpisać by należało Kornelię Kończal. Zaryzykuję tezę, że gdyby nie moja intuicja jako dyrektora Centrum Badań Historycznych oraz koincydencja czasu i miejsca, tzn. pojawienia się w zespole berlińskiej placówki pracowników naukowych takich jak doktor Maciej Górny, doktor Magdalena Saryusz-Wolska i magister Kornelia Kończal, rozwój badań nad pamięcią w Polsce byłby inny. Do tej czołówki dodałbym także doktor Katarzynę Woniak i jej do tej pory nieprzetłumaczoną dysertację o pamięci w zachodniopomorskim Łobzie, doktora Rafała Żytyńca zajmującego się pamięcią w NRD i doktor Zofię Wóycicką, która rozpoczęła trzecią generację pracowników Centrum, współkierując projektem w ramach europejskiego programu „HORIZON 2020” *Unsettling*

⁵ A. Assmann, *Podziękowania*, [w:] *Między historią a pamięcią. Antologia*, Warszawa 2013, s. 7.

Remembering and Social Cohesion in Transnational Europe (2017–2019). W 2016 roku Włodzimierz Borodziej, pierwszy przewodniczący Rady Naukowej, podsumował fenomen Centrum Badań Historycznych Polskiej Akademii Nauk w Berlinie następująco:

Owo wspaniałe dzieło (*Polsko-niemieckie miejsca pamięci*), które będzie oddziaływało przez lata, nie powstałoby, gdyby nie dwie kolejne decyzje Roberta Traby. Pierwsza z nich dotyczyła wyboru niemieckich i zagranicznych partnerów projektu. [...] [Druga] dotyczyła doboru pracowników. [...] Kornelia Kończal właśnie kończy pisać doktorat w Europejskim Instytucie Uniwersyteckim we Florencji. Maciej Górny został w międzyczasie profesorem i jest uznanym międzynarodowo ekspertem od wschodnioeuropejskiej historii nauki. Magdalena Saryusz-Wolska habilitowała się świetną książką na temat kultur wizualnych Niemiec po 1945 roku. Gdyby nie praca w CBH PAN, byłiby oni dzisiaj zapewne na innym etapie kariery zawodowej...⁶

Dodajmy, dziś Kornelia Kończal jest profesorką na Uniwersytecie w Bielefeld, Magdalena Saryusz-Wolska dyrektorką Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie, a Maciej Górny wicedyrektorem Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk i laureatem ostatniej edycji Nagrody Porozumienia Wydawców Książki Historycznej „Klio”. Nigdy nie konfrontowałem tej opinii z zainteresowanymi, ale komentarz Włodzimierza Borodzieja wydaje mi się trafny i szczerzy, z jednym wszakże zastrzeżeniem, że praca zespołu była również dla mnie inspiracją i twórczym wyzwaniem.

Polsko-niemieckie miejsca pamięci

W roku 2015 opublikowany został po polsku i niemiecku ostatni z tomów *Polsko-niemieckich miejsc pamięci* (trzy lata później ukazały się jeszcze dwa osobne językowo tomy będące wyborem najciekawszych tekstów). Ewenementem na niemieckim rynku wydawniczym był tom piąty *Erinnerung auf Polnisch. Texte*

⁶ W. Borodziej, [Przemówienie z okazji 10-lecia CBH PAN], [w:] *Historia w dialogu. Uroczyste przemówienia z okazji 10-lecia Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie, 24 września 2016*, Berlin 2016, b.s.

zu *Theorie und Praxis des sozialen Gedächtnisses (Pamiętanie po polsku. Teksty o teorii i praktyce badań pamięci społecznej)*, a na polskim – wspomniana już antologia naukowych artykułów zachodnioeuropejskich oraz amerykańskich badaczek i badaczy *(Kon)teksty pamięci*.

W odróżnieniu od dzieła Nory i jego projektowych następców w sześciu europejskich krajach kluczowymi kategoriami/badawczymi perspektywami organizującymi projekt były bilateralność i historia wzajemnych oddziaływań, które z zasady stwarzały strefę ochronną przed remitologizacją narodowych narracji. Magdalena Lemańczyk słusznie wkomponowała dodatkowo projekt w kontekst antropologiczny:

Chcę podkreślić, że koncepcyjnie redaktorzy zaproponowali coś więcej niż tylko połączenie założeń wymienionych autorów, tzn. potraktowali miejsca pamięci jako zjawiska długiego trwania, wzięwszy pod uwagę ich znaczenie w kształtowaniu tożsamości zbiorowej poszczególnych grup, historyczną siłę oddziaływania i ich dyskursywny charakter. Ową istotność oddziaływania miejsc pamięci na tożsamość osiągnięto dzięki zagęszczaniu — czy, nawiązując do terminu Gilberta Ryle’a, „opisu gęstego” zapożyczonego przez Clifforda Geertza — i krystalizacji opisu oraz skupieniu się na procesach wpływu. [...] Takie podejście niewątpliwie stanowi istotną wartość dodaną, bowiem z jednej strony stwarza podstawę do analiz na poziomie przed- i postnarodowym, regionalnym i transgranicznym, a z drugiej — uwzględnia wielowymiarowy charakter procesów tożsamościowych: społeczny, etniczny, lokalny, regionalny, narodowy, wyznaniowy, genderowy, pokoleniowy, etc.⁷

Prawie równolegle sfinalizowane zostały dwa europejskie, trzynomowe projekty miejsc pamięci. Projekt niemiecki *Europäische Erinnerungsorte / Gesamtausgabe* (2012), redagowany przez międzynarodowy niemiecko-szwajcarsko-niderlandzko-austriacki zespół uznanych historyków (Pim den Boer, Heinz Duchhardt, Georg Kreis, Wolfgang Schmale) i autorów z piętnastu krajów, oraz

⁷ M. Lemańczyk, *Polsko-niemieckie miejsca pamięci / Deutsch-Polnische Erinnerungsorte. O przekraczaniu „granic” i otwarciu się na „nowe”*, „Przegląd Historyczny” 2017, z. 4, s. 715.

francuski *Europa, notre histoire. L'héritage européen depuis Homère* (2017), kierowany przez Étienne'a François i Thomasa Serriera, który doczekał się również wydania niemieckiego: *Europa – Die Gegenwart unserer Geschichte* (2019) i angielskiego: *The European Way since Homer: History, Memory, Identity* (2021).

Co ciekawe, mimo niemieckojęzycznego wydania *Polsko-niemieckich miejsc pamięci*, a więc w języku zachodnioeuropejskim, i mimo udziału niektórych autorów, a nawet redaktorów francuskiego dzieła w polskim projekcie, nikt ani w tomach redagowanych przez zespół Heinza Duchhardta, ani Étienne'a François nie odniósł się merytorycznie do polskiego projektu. Nikt też później nie podjął jakiegś formy kontynuacji badań pamięci w bilateralnym wymiarze, w oparciu o założenia teoretyczno-metodologiczne *Polsko-niemieckich miejsc pamięci*.

Trudno mi odpowiedzieć, dlaczego tak się stało. Jedno wydaje się pewne, *Polsko-niemieckie miejsca pamięci* były na arenie europejskiej ostatnim wielkim kreatywnym kontynuatorem i jednocześnie projektem aktywnie redefiniującym prekursorskie dzieło Pierre'a Nory *Les Lieux de mémoire*. Nie znam podobnych tematycznie projektów po 2018 roku. Można więc zakładać, że generalnie następował spadek zainteresowania takim kierunkiem badań. Brak na nie społecznego zapotrzebowania przy jednoczesnym wzmożeniu zainteresowania historią, inspirowanego przemianami politycznymi albo, jak napisał w pierwszym tomie swojego dzieła Nora:

Poczucie ciągłości trwa w miejscach, w których pamięć przyjmuje realne kształty. Miejsca pamięci (*les lieux de mémoire*) istnieją dlatego, że nie ma już środowisk pamięci (*les milieux de mémoire*)⁸.

Taki stan rzeczy miał miejsce w postgaullistowskiej Francji lat 70. Dziś w Polsce i Europie nie trzeba animować pamięci zbiorowej, ponieważ w różnej formie jest jej nadmiar, szczególnie w rosnących w siłę środowiskach prawicowych. Nie brak, a nadmiar i konkurencja politycznych środowisk kreujących własne polityki wobec

⁸ Cyt. za: K. Kończal, *Pierre Nora i jego nienapisana historyka*, „Przegląd Polityczny” 2024, nr 184, s. 50.

pamięci są przyczyną rozproszenia i dewaluacji zapotrzebowania na wspólne, narodowe miejsca pamięci.

Ponadto jeszcze w 2012 roku, czyli równoległe do publikacji pierwszego tomu *Polsko-niemieckich miejsc pamięci*, zespół Duchhardta posłużył się pojęciem „miejsce pamięci” (*Erinnerungsort*), natomiast już w dziele redagowanym przez Étienne’a François i Thomasa Serriera nie użyto pojęcia „miejsce pamięci” ani w macierzystym języku francuskim, ani w wydaniach angielskim i niemieckim, a zamiast tego pojawiło się odniesienie do dziedzictwa (wydanie francuskie) bądź historii w teraźniejszości czy po prostu „drogi europejskiej” od Homera do współczesności. Od pierwszej dekady XXI wieku i tzw. krytycznego zwrotu w badaniu dziedzictwa (Laurajane Smith 2006) miejsce boomu pamięciowego zajęło właśnie dziedzictwo. Być może jest to jedynie przypadkowa koincydencja, warto ją jednak odnotować jako perspektywę do przyszłych pogłębionych badań. W Polsce dodatkowo cieniem na upowszechnieniu *Polsko-niemieckich miejsc pamięci* położyła się dekonstrukcja polityczna w relacjach polsko-niemieckich oraz konstruowanie, a może reaktywacja na użytek polityczny, stereotypu „Niemca jako wiecznego wroga”. W każdym razie *Polsko-niemieckie miejsca pamięci*, mimo oryginalnego wkładu do badań pamięci zbiorowej w Europie, jak i ich inicjacyjnego znaczenia dla polskiego środowiska naukowego, nie zdobyły sobie dotychczas – moim zdaniem – należnego miejsca ani w historiografii, ani w wielodyscyplinarnych badaniach pamięci zbiorowej.

Nieoczekiwanie w roku 2024 Paolo Morawski, stojący na czele Fondazione romana Janina Umiastowska (Fundacja Rzymska im. Janiny Zofii Umiastowskiej w Rzymie), we współpracy z Wydziałem Nauk Politycznych Uniwersytetu Roma Tre, podjął inicjatywę, by na matrycy metodologicznej polsko-niemieckich miejsc pamięci stworzyć nowy projekt „Polsko-włoskie miejsca pamięci w perspektywie europejskiej”. W ogłoszonym w lipcu 2024 roku Call for Papers czytamy:

W 2015 roku oxfordzki profesor i publicysta Timothy Garton Ash zdefiniował falę migracyjną jako „kryzys tożsamościowy Europy”. Zwrot ku zamkniętym kulturom narodowym trwa. Więc istnieje potrzeba zdefiniowania tej sytuacji. Próba opisanie kultur pamięci Włoch i Polski, dwóch

dużych krajów usytuowanych w centrum geograficznie zdefiniowanej [Europy – R.T.] Środkowej i Europy Zachodniej, jest jedną z dróg do zrozumienia meandrów europejskich tożsamości. Jest to kwestia lepszego zrozumienia tego, co nas różni w sensie kulturowym i tego, co nas łączy w pożądanej perspektywie większego dialogu na podstawie wzajemnego zrozumienia i uznania. Pierwszym krokiem może być spotkanie i integracja środowisk zajmujących się tą problematyką. [...] Cel spotkania: Weryfikacja możliwości rozpoczęcia międzynarodowego projektu badawczego, który będzie analizować związek między funkcjonowaniem wspólnych włosko-polskich pamięci (tj. należących do asymetrycznych relacji między dwoma krajami o różnych językach i kulturach, bez wspólnych granic i oddalonych od siebie o tysiąc kilometrów) a funkcjonowaniem pamięci europejskich w skali kontynentu lub w określonych obszarach kulturowych⁹.

Czy uda się uruchomić tak ambitny projekt? Czy uda się kreatywnie kontynuować metodologię polsko-niemieckich miejsc pamięci? Czy nowa sytuacja w Europie, poszukiwania innowacyjnych perspektyw kulturowego zdefiniowania Europy w dobie kryzysu tożsamościowego reaktywują zainteresowanie bilateralnymi miejscami pamięci? Kontynuacja projektu przez Paolo Morawskiego w 2025 roku wskazuje, że jego pomysł może się okazać dziełem skończonym.

Być może włosko-polski projekt stanie się katalizatorem dla wewnątrzpolskich debat? Przypomnijmy bowiem, że bez większego echa przeszły dwie ważne publikacje. Zdzisław Najder w projekcie Muzeum Historii Polski, wychodząc od koncepcji Pierre'a Nory, zaproponował inną nazwę – „węzły pamięci” – i nadał jej inny sens. Celem projektu – jak już o tym pisałem – stało się „odtworzenie zbiorowego wizerunku Polski” sprzed 1939 roku, a więc tej Polski, z którą Zdzisław Najder (rocznik 1930) czuł się generacyjnie związany i „za którą tyle setek tysięcy ludzi było gotowych walczyć i poginęło podczas II wojny światowej”¹⁰. Pamięć o tej Polsce – jak

⁹ Zob. <https://www.fondazioneumiastowska.com/pl/inicjatywy-projekty/polsko-wloskie-miejsca-pamieci/> (14.09.2024).

¹⁰ Z. Najder, *Wprowadzenie*, [w:] *Polska niepodległa – węzły pamięci*, Kraków 2012; tenże, „*Węzły pamięci*” i *wizerunek Polski niepodległej*, „Herito. Dziedzictwo, Kultura, Współczesność / Heritage, Culture, the Present” 2012, s. 50–57, cyt.

można zrozumieć przesłanie projektu – na skutek przesunięć terytorialnych i utraty w okresie PRL suwerenności została wyparta ze świadomości Polaków. O ile samo zadanie projektu, które określiłbym jako rekonstrukcję generacyjnej pamięci sprzed ponad siedemdziesięciu lat, można przyjąć za niezwykle ryzykowne, ale ciekawe, o tyle jego realizacja musi budzić poważną obawę. Zamiast bowiem rzeczowej analizy z założenia otrzymaliśmy wyidealizowany i monolityczny obraz Polaków, czyli tych – by odwołać się do frazy Zdzisława Najdera – którzy walczyli i ginęli za Polskę. Mimo wielu ciekawych tekstów, „węzły” składają się na dość prostą perspektywę rozumienia pamięci zbiorowej jako emanacji idei narodowo-państwowej.

Bardziej krytyczną drogą poszli Stefan Bednarek i Bartosz Korzeniewski w książce *Polskie miejsca pamięci. Dzieje toposu wolności* (2014). Mimo użycia w tytule pojęcia „miejsca pamięci”, pomysłodawcy socjologiczne (pamięć zbiorowa) i historyczne (miejsca pamięci) podejścia wzbogacili o perspektywę kulturową, odnosząc się do teorii toposów Ernsta Roberta Curtiusa. W ten sposób ich dzieło definiują „mnemotoposy”, które odnoszą się do motywów „przetwarzanych we współczesnej kulturze popularnej i medialnej”. Redaktorzy i autorzy próbowali zająć się nie tym, jak Polacy pamiętają symboliczne „miejsce”, lecz „co mówią o nim wytwory kultury”. Dla sprawdzenia tej metody wybrany został jeden topos – „wolność” – i dwadzieścia dwa miejsca pamięci, które powinny go kulturowo definiować, np. liberum veto, tradycje konfederackie, cud nad Wisłą, powstanie warszawskie, Jacek Kuron. Redaktorzy, w odróżnieniu od Hahna i Traby, nie pokusili się na podsumowanie swojego projektu. Co wynika z takiej konstrukcji metodologicznej? Jakie inne polskie toposy proponują do analizy? Czy sam wybór toposu „wolności” w fazie sporu między historią (pamięcią) afirmatywną a krytyczną nie funduje, równoległe do interesujących tekstów, pewnej ideologicznej konstrukcji? I co wnoszą mnemotoposy do poznania np. procesów tożsamościowych? Na te pytania, mimo artykułów i wypowiedzi Stefana Bednarka, nie ma odpowiedzi, podobnie jak nie ma studiów porównawczych

za: R. Traba, *Opowiedzieć Kresy wyobrażone*, [w:] *Historia (nie) na sprzedaż*, Kraków 2024, s. 131–132.

między różnymi koncepcjami miejsc pamięci (Traba/Hahn *versus* Najder *versus* Bednarek/Korzeniewski).

I co dalej?

Wielodyscyplinarne studia nad pamięcią w Polsce, w tym też badania dziedzictwa kulturowego, pamięci środowiskowej, historii mówionej, polityki historycznej czy też dyskurs muzealny, o których nie piszę, rozwijają się dynamicznie nie tylko na poziomie wewnątrz krajowym. Od poprzedniej dekady, po długiej przerwie, dołączyliśmy partnersko do międzynarodowego nurtu badań.

Za szczególne osiągnięcie uważam coraz częstsze przekraczanie progu między- i interdyscyplinarnością, co słusznie jako problem definiowała już przed czterema laty (sic!) Magdalena Saryusz-Wolska, pisząc, że „w praktyce [...] interdyscyplinarna natura badań nad pamięcią to postulat trudny do zrealizowania w realnych działaniach badawczych”¹¹. Najczęściej było tak, że wielodyscyplinarne studia mylono z inter- czy transdyscyplinarnością. Ten stan rzeczy, zamykanie się we własnych dyscyplinach, potwierdziła struktura autorek i autorów *Polsko-niemieckich miejsc pamięci*. W analizie i opisie historycznego konstruktów, jakim są „miejsca pamięci”, na stu siedemnastu autorów wzięli udział prawie w 70% historycy, wsparci przez historyków literatury (16%) oraz kulturoznawców (9%). W projekcie nie wzięli udziału nikt ze środowiska antropologii. Nauki społeczne reprezentowane były przez troje badaczek i badaczy, mimo że w warsztatach przygotowawczych i konsultacjach uczestniczyło ich wiele więcej. Z kolei w równoległe ukazujących się opracowaniach socjolożek i socjologów prawie zupełnie pomijano doświadczenie nauk historycznych, chyba że służyło ono jako materiał pomocniczy. Ciekawostką jest, że uznany socjolog Andrzej Szpociński, który jako jedyny z polskich badaczy w latach 80. uczestniczył w seminariach Pierre’a Nory, przez ponad dwadzieścia lat w ogóle o fenomenie jego dzieła nie napisał, choć do samego terminu odwoływał się w artykule *Kanon historyczny*. Pierwszy analityczny tekst, na moje zamówienie,

¹¹ M. Saryusz-Wolska, *Zapomnieć się w pamięci. Pytania o badanie pamięci kulturowej*, „Kultura Współczesna” 2010, nr 1, s. 77.

opublikował w 2003 roku w olsztyńskiej „Borussii”, narzekając przy tym, że do samego terminu w języku polskim „nie jestem zbyt przywiązany”. Do tematu wrócił pięć lat później w „Kulturze Współczesnej” oraz „Tekstach Drugich” (2008, nr 4). Trend pomijania badań historycznych w socjologii pamięci potwierdza cała, skądinąd znakomita seria „Współczesne Społeczeństwo Polskie wobec Przeszłości” i jej ostatni tom: A. Szpociński, *Współczesna kultura historyczna i jej przemiany* (2021).

Dziś w gronie średniej i młodej generacji badaczek i badaczy praktykowanie interdyscyplinarności staje się częstsze, by w dziedzinie nauk społecznych wymienić chociażby wspomniane już Joannę Wawrzyniak, Annę Wylegałę, Magdalenę Lemańczyk czy Magdalenę Saryusz-Wolską, która jako socjolożka i filmoznawczyni została dyrektorką Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie, i Kornelię Kończal, która z literaturoznawczyni stała się najpierw kulturoznawczynią, by wreszcie objąć katedrę *public history* na Uniwersytecie w Bielefeld. Wśród historyków, którzy potrafią łączyć w warsztacie pamięcioznawczym socjologię i antropologię, przywołam Macieja Górnego, Małgorzatę Praczyk i Jakuba Gałęziowskiego. Siłą tej generacji badaczek i badaczy jest solidna podstawa teoretyczna i znajomość metodologii innych dyscyplin niż tylko własna. To pozwala po pierwsze korzystać ze źródeł i kategorii tradycyjnie zagwarantowanych dla nauk społecznych (np. wywiady), po drugie wyjść z tradycyjnej narracji historycznej, polegającej na tzw. odtwarzaniu przeszłości.

Rozwój naukowy poznańskiej badaczki Małgorzaty Praczyk wiódł od epistemologii historii poprzez nowoczesne badania kulturowe dotyczące głównie materialności, studiów genderowych, emocji i badań pamięci, antropologii historii aż do teorii antropocenu i historii środowiskowej, czyli obszaru nowej humanistyki. Już w wymienionych formach aktywności naukowej widać wyraźnie, że inter-, a może lepiej transdyscyplinarność nie jest dla Praczyk jedynie modnym sloganem, lecz wypracowanym sposobem pracy, metodą służącą stawianiu nowych pytań i przez to nowatorskim pogłębianiem perspektywy badawczej. Zachowanie suwerenności dyscypliny, przy jednoczesnej otwartości na impulsy z zewnątrz, umiejętność korzystania z bogactwa i różnorodności źródeł oraz rozwijanie wrażliwości i wyobraźni badawczej uważam za model

pożądaną w humanistyce interdyscyplinarność. Ten typ interdyscyplinarności reprezentuje Małgorzata Praczyk w swojej monografii *Pamięć środowiskowa we wspomnieniach osadników na „Ziemiach Odzyskanych”* (2018). By poradzić sobie z analizą pamiętników, do niedawna tak „kłopotliwym” źródłem historycznym, odwołuje się bardziej do doświadczeń socjologów i psychologów społecznych (Kaja Kaźmierska, Tomasz Maruszewski czy tacy klasycy, jak Józef Chałasiński i Florian Znaniecki) niż historyków, którzy dopiero na przełomie ostatnich stuleci zaczęli wypracowywać stosowny warsztat badawczy. Odmienne sposoby zadawania pytań do wielokrotnie już wykorzystywanych pamiętników pokazuje, jak cenne jest to źródło i jak dzięki niemu można odstąpić nowe aspekty pracy pamięci.

Jakub Gałęziowski w książce *Niedopowiedziane biografie. Polskie dzieci urodzone z powodu wojny* (2022) osadził swoje badania również na bardzo solidnym gruncie teoretycznym, zdając sobie sprawę, że wchodzi na trudny obszar dotyczący przeżyć ludzi obciążonych wojenną traumą. Robiąc wywiady, autor trzymał się zasady etyczności badań, tzn. uważał, by dekonstruując czyjeś przeżycia, nie prowadzić do ich relatywizacji, a przez to podważania. W szerszym aspekcie kierował się perspektywą symbolicznego interakcjonizmu i niektórych założeń socjologicznej teorii ugruntowanej. Oprócz wywiadów (historia mówiona) niebagatelną rolę odegrały archiwalia pochodzące z różnych instytucji i kolekcji prywatnych, z których większość nigdy wcześniej nie była wykorzystana do badań. Autor w ten sposób ukazał też swoją praktyczną interdyscyplinarność, czyli umiejętność profesjonalnego korzystania ze źródeł, które zazwyczaj należą do wybranych dyscyplin naukowych. Dzięki mocno osadzonemu w teorii warsztatowi Gałęziowski świetnie poradził sobie jako historyk, socjolog i antropolog, z dużym psychologicznym wyczuciem¹². Jego analizy i sposób pracy ze źródłami, w sensie stosowanych metod, bliskie są socjologicznemu studium Anny Wylegaty *Był dwór, nie ma dworu. Reforma rolna w Polsce*

¹² Por. R. Traba, *Undertold biographies. Polish children born of war*, „Wrocławski Rocznik Historii Mówionej” 2023, t. 13, <https://wrhm.pl/index.php/wrhm/issue/current> (10.09.2024).

(2021), tyle że tym razem to socjolożka potrafiła znakomicie wejść w warsztat historyczki.

Jeszcze inaczej do badania pamięci podszedł trzyosobowy zespół: Włodzimierz Borodziej, Maciej Górny, Piotr Tadeusz Kwiatkowski w *11.11.1918. Niepodległość i pamięć w Europie Środkowej* (2018). Dwóm historykom i jednemu socjologowi udało się stworzyć spójną, koherentną opowieść o zbiorowej – narodowej percepcji (pamiętaniu) dnia końca I wojny światowej i odzyskania niepodległości. Autorzy nie tworzą nowych teorii. Na bazie klasyków, od Erica Hobsbawma po Ewę Domańską, ale nie wnikając w żadne teorie (choć z pewnością je znając), nawiązując do Maurice’a Halbwachsa, Benedicta Andersona, Pierre’a Nory czy Aleidy i Jana Assmannów, snują opowieść o sposobach pamiętania dnia niepodległości, różnych rytuałach upamiętniania. Mając za sobą znakomitą monografię *Nasza wojna* oraz empiryczne badania na temat pamięci, tworzą fascynującą, eseistyczną opowieść z zakresu historii pamięci, która – jak sami piszą – opowiada „historię Polski i Europy Środkowo-Wschodniej widzianą ze szczególnej perspektywy, poprzez pamięć o pierwszym dniu niepodległości” (s. 15). Słusznie puentuje tom Marcin Jarząbek, pisząc, że

precyzja historycznego wywodu połączona z umiejętnym łączeniem historii pierwszego stopnia (tego, co się stało) z historią stopnia drugiego (tego, co zostało zapamiętane), a także płynna i elegancka polszczyzna [...] sprawiają, że mamy do czynienia z dziełem wyjątkowym. Autorzy odkrywają przed czytelnikiem nieznanne fakty, a o znanych opowiadają w sposób nieoczywisty¹³.

Te trzy prace stanowią moją osobistą puentę i optymistyczny drogowskaz dla przyszłych badań pamięci zbiorowej.

¹³ M. Jarząbek, *Historia pamięci jednego dnia i stu lat*, „Kultura i Społeczeństwo” 2022, nr 2, s. 232–236, <https://czasopisma.isppan.waw.pl/kis/article/view/845/672> (16.09.2024).

O podzielonej pamięci Polaków i Niemców. Hołd pruski

Przed wieloma laty Konstanty Gebert zastanawiał się, co by było, gdyby Jan III Sobieski nie pośpieszył w roku 1683 z odsieczą Wiedniowi, lecz zawarł z Turcją wieczysty pokój i zajął Prusy Książęce (K. Gebert, *Poszedłby na Królewiec...*, „Polityka” 1992, nr 36). Austria i Prusy, rezygnując ze swej politycznej ekspansji,

mogły poświęcić się handlowi, a potem przemysłowi, zapewniając rozwój swym wielonarodowym i wielowyznaniowym kulturom, które z kolei stały się fundamentem ich rozwoju.

Dzięki przyłączeniu Prus Książęcych na czoło obfitej twórczości malarskiej Jana Matejki wysunęłyby się dwa obrazy, nader często reprodukowane. Pierwszy z nich nosiłby tytuł: *Zygmunt II August wręcza edykt fundacyjny profesorom uniwersytetu w Królewcu*, a pod drugim widniałby podpis: *Tryumfalny wjazd Zygmunta II Augusta do Królewca w roku 1567*.

Historia potoczyła się inaczej, zarówno ta zdarzeniowa, jak i jej pamiętanie. Król Jan III Sobieski poszedł jednak z odsieczą Wiedniowi, ratując chrześcijańską Europę, ale przyczyniając się jednocześnie do osłabienia Rzeczypospolitej. W panteonie najważniejszych zdarzeń w historii Polski wiktoria wiedeńska przebiła traktat krakowski z 1525 roku, zwany hołdem pruskim. Europejski wymiar zdarzeń 1525 roku, których zwieńczeniem był traktat krakowski, i fakt, że katolickie państwo zakonu krzyżackiego przekształciło się w pierwsze protestanckie państwo na świecie, funkcjonuje na obrzeżu polskiej pamięci historycznej, zdominowanej rytualnym

ukłęknięciem niedawnego mistrza krzyżackiego, świeckiego księcia Albrechta Hohenzollerna, przed królem Zygmuntem II Starym. Realność zdarzeń w polskim imaginariu historycznym przystoił monumentalny obraz Jana Matejki *Hołd pruski*. To w dużej mierze dzięki niemu traktat krakowski wszedł też do kanonu najważniejszych zdarzeń historii narodowej.

Kto ukradł hołd?

Hołdu nikt nie ukradł, ale... Próżno szukać hołdu pruskiego z 1525 roku w jednym z najlepszych europejskich podręczników do nauki historii *Europa. Nasza historia / Europa. Unsere Geschichte*. Dlaczego? Bo zdarzenie to nie tylko nie mieści się w niemieckich programach szkolnych, ale także nie istnieje w potocznej świadomości. Drugi na świecie bilateralny podręcznik przeznaczony dla szkół podstawowych w Polsce i Niemczech jedynie zdawkowo odnosi się do wydarzenia o ponad siedemdziesiąt lat wcześniejszego, czyli do inkorporacji Prus Krzyżackich do Korony Polskiej w 1454 roku. Ten fakt, a później wojna trzynastoletnia i tzw. drugi pokój toruński z 1466 roku otworzyły drogę do włączenia Prus Królewskich z Gdańskiem, Toruniem i Elblągiem do Korony Polskiej, a potem powstania Prus Książęcych z Królewcem jako polskiego lenna.

W Niemczech historia wschodnich terenów Prus zamyka się najczęściej w formule *Geschichte Ost- und Westpreußen*, czyli *historii Prus Wschodnich i Zachodnich*. Do Prus Książęcych (1525–1701) – pierwszego państwa protestanckiego na świecie – sporadycznie się wraca, bo w końcu tu w 1701 roku narodziło się Królestwo w Prusach. Do Prus Królewskich (1454–1793), zwanych też po niemiecku „Polskimi”, prawie wcale, chyba że dla podkreślenia znaczenia niemieckojęzycznego Gdańska i jego sporów z królami polskimi. Nawet najlepsza w Niemczech monografia na temat Prus Królewskich, napisana przez niemiecko-brytyjską historyczkę Karin Friedrich, *The other Prussia (Inne Prusy)*, nie doczekała się niemieckojęzycznego wydania! Tłumaczenie na polski natomiast zajmuje poczesne miejsce obok klasyków historiografii zajmujących się Prusami.

Asymetria pamiętania ma jeszcze jedno oblicze, które najlepiej widoczne jest na przykładzie społecznie redagowanej Wikipedii.

O ile w polskiej i brytyjskiej wersji *Hołd pruski / Prussian Homage* jest zarówno realnym wydarzeniem, jak i miejscem pamięci, o tyle w niemieckiej Wikipedii *Preussische Huldigung* odnosi się tylko do słynnego obrazu Jana Matejki, namalowanego w latach 1879–1882, czyli wyłącznie do sposobu pamiętania o zdarzeniu. Samo zdarzenie, czyli traktat krakowski, które wieńczył hołd księcia Albrechta Hohenzollerna przed królem Korony Polskiej Zygmuntem I Starym, opisane zostało pod hasłem „Vertrag von Krakau” (8 kwietnia), czyli „traktat krakowski”.

Jeszcze na początku lat 90. XX wieku w najpopularniejszym wschodniopruskim leksykonie *Ostpreußen. Lexikon für alle, die Ostpreußen liebe*, autorstwa urodzonego w Olsztynie Georga Hermanowskiego, pod hasłem *Preußenhuldigung* znajdował się wyłącznie akt z 27 września 1772 roku, gdy stany Prus Królewskich i Warmii złożyły w Malborku przysięgę wierności królowi Fryderykowi II po dokonaniu przez niego zbrojnego podboju. Traktat krakowski (*Krakauer Vertrag*) zakończony hołdem określony został natomiast w osobnym haśle jako „*Kuhhandel*” (dosłownie: krowi handel), co po polsku w metaforycznym znaczeniu równa się „krakowskiemu” bądź „żydowskiemu” targowi, czyli sytuacji, kiedy każda ze stron odstępuje od części swoich żądań, by osiągnąć porozumienie. To, co dla Polaków było wydarzeniem na miarę chwały i dumy, Niemcy minimalizowali, sprowadzając do średnio udanych pertraktacji.

Kiedy Prusy staną się niemieckie?

Takie pytanie nie jest częstą prowokacją. Niemcy i Polacy w tym względzie mają pamięć głęboko podzieloną. Do połowy XIX wieku „Prusy” znaczą prawie zupełnie coś innego w sąsiedzkich narodowych kulturach pamięci. Jest tak, ponieważ pamięci zbiorowe narodów nigdy nie są symetryczne. „My naród” jest frazą, która wypełnia się treścią i konstytuuje się zawsze w zależności od specyfiki i kontekstów, w jakich przyszło się rozwijać jakiejś społeczności. Polskie i niemieckie dzieje sąsiedzkie potwierdzają tylko tę regułę na tle dziesiątków podobnych przykładów europejskich.

Jedną z możliwości rozpoznawania narodowych identyfikacji są, wspomniane już, miejsca pamięci. Nie chodzi o martyrologiczne

miejsca upamiętnień czy miejsca topograficzne. Chodzi o takie artefakty, symbole, zdarzenia czy postaci, które mają wpływ na kształtowanie naszych zbiorowych tożsamości. W trzypięciotomowym dziele *Deutsche Erinnerungsorte* (2001) na sto dwadzieścia opisanych miejsc pamięci bezpośrednio z historią Prus związane są... dwa (!): *Fryderyk Wielki* i *Tannenberg/Grunwald. Hansa i Flucht/Vertreibung* (ucieczka/wypędzenie) wiążą się ze zdarzeniami historycznymi tylko częściowo nawiązującymi do pruskiej historii. Z kolei wśród dziewięćdziesięciu dziewięciu *Polsko-niemieckich miejsc pamięci / Deutsch-polnische Erinnerungsorte* (2012–2015) odnajdziemy trzynaście „pruskich” bądź nawiązujących pośrednio do pruskiej historii miejsc, w tym cztery wymienione jako niemieckie miejsca pamięci. Skąd ta różnica?

Centrum historii Świętego Cesarstwa Rzymskiego (od XVI wieku: Narodu Niemieckiego) nie znajdowało się na wschodzie, lecz w Bawarii, Nadrenii, Palatynacie, ewentualnie Hanowerze czy Saksonii. Dawne ziemie pogańskich Prusów, później Prusy Krzyżackie i Książęce, kraina między dolną Wisłą a Niemnem, dały nazwę rosnącemu w siłę państwu brandenburskiemu, ale same nie wyszły z jego peryferii. Ani misja cywilizacyjna Zakonu Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego, czyli Krzyżaków, ani Albertyna, czyli Uniwersytet Królewicki, ani wielcy uczeni i twórcy, jak filozofowie Immanuel Kant, Johann Gottfried Herder, rzeźbiarka Käthe Kollwitz czy propagandowo zawłaszczany do niemieckości Mikołaj Kopernik nie zmienili nic w statusie zapadłej wschodniej prowincji. Niejako w sposób naturalny, ze względu na konstelację interesów cesarskiej polityki oraz powiązania dynastyczne poszczególnych terytoriów niemieckich, leżały one poza głównym nurtem rozwoju państwowości niemieckiej.

W latach 20. XX wieku dwaj rzeźbiarze Johannes i Walter Krügerowie, aby umiejscowić po wsze czasy, na chwałę całych Niemiec, spektakularne zwycięstwo armii niemieckiej nad Rosjanami pod Tannenbergiem z sierpnia 1914 roku, nie przywołali jakiegoś motywu, np. krzyżackiego, bo kto by go odpowiednio identyfikował w Badonii czy Szlezwiku. Sięgnęli do inspiracji legendarnego króla i cesarza *Sacrum Imperium Romanum* Fryderyka II Hohenstaufa (1194–1250) i jego najbardziej zadziwiającego zamku: oktagonalnego Castel del Monte, usytuowanego na południowy zachód

od apulijskiego Bari. Dopiero w ten sposób bitwa na dalekiej peryferii niemieckiego państwa, w Prusach niegdyś krzyżackich, nabrała uniwersalnego znaczenia, zarazem dla historii Niemiec, jak i chrześcijaństwa, poprzez odniesienia do biblijnego ósmego dnia (oktagon) jako symbolu zmartwychwstania.

W historiografii ogólnoniemieckiej, również w podręcznikach szkolnych, Prusy wkraczają na arenę, gdy zyskują samodzielność państwową jako Królestwo w Prusach (1701), ale najczęściej dopiero wraz z opanowaniem terytoriów między dolną Wisłą a Niemnem w latach 1772–1793, które za sprawą ekspansji i edyktów Fryderyka II nazwane zostają Prusami Wschodnimi i Zachodnimi. I choć do 1871 roku, podobnie jak Wielkopolska, nie należały one do Cesarskiej Rzeszy, to Królestwo Prus ze stolicą już nie w Królewcu, lecz w brandenburskim Berlinie, odgrywało w niej coraz bardziej dominującą rolę.

Niemieccy historycy, znawcy historii Prus, Hans-Jürgen Bömelburg i Andreas Lawaty, w tomie *Prusy – mity i rzeczywistość* (2016) sugerują, że właśnie król-filozof, za życia nazwany, proporcjonalnie do swoich (dobrych i złych) osiągnięć, Fryderykiem Wielkim, wprowadził Prusy na arenę historii Niemiec. Jest to mement kluczowy w relacjach polsko-niemieckich. Prusy bowiem wchłaniają terytoria zamieszkałe przez społeczności słowiańskie, głównie Polaków. Już wkrótce się okaże, że bez tych terytoriów nie utrzymałyby statusu europejskiej potęgi. Negatywna polityka pruska wobec Polaków staje się pruską racją stanu. Akulturacji do pruskości/niemieckości towarzyszą jednocześnie klasyczne procesy formowania się nowoczesnego narodu polskiego, siłą rzeczy zderzające się z przemocą maszyny państwowej pruskiego, później niemieckiego nacjonalizmu.

W połowie wieku XIX pruskość osiągnęła szczytowy moment w granicach dawnego Cesarstwa. Prusy stały się większe od dzisiejszej Polski, osiągając powierzchnię ponad 350 tysięcy kilometrów kwadratowych, co po 1871 roku stanowiło około 65% terytorium Cesarstwa. Najpierw Georg Wilhelm Friedrich Hegel (1770–1831) i jego filozofia silnego państwa „urzeczywistniającego wolność”, potem narodowo-liberalny historyk Heinrich von Treitschke ze swoją wizją misji cywilizacyjnej we wschodniej Europie ustanawiają na poziomie ideowym wiodący status Prus w Niemczech.

Negatywna pruska polityka wobec Polski staje się z czasem ogólnoniemiecką racją stanu.

Po II wojnie światowej Prusy nierytmicznie pulsowały (1968, lata 80., dekada po zjednoczeniu Niemiec) w polityce historycznej Republiki Federalnej Niemiec, głównie wśród stowarzyszeń afiliowanych przy Związku Wypędzonych. W ogólnoniemieckiej debacie pojawiły się wyraźnie za sprawą tzw. fali pruskiej lat 80., gdzie chodziło o istotę państwa brandenbursko-pruskiego i element poszukiwania tożsamości społeczeństwa zachodnioniemieckiego. „Fala pruska” była niejako odpowiedzią na głosy rewolucji 1968 roku. Najoryginalniejszą tezę sformułował wówczas jeden z najbardziej cenionych niemieckich publicystów, Sebastian Haffner: „Gdyby NRD i Polska zjednoczyły się, co nie jest wcale takie niewyobrażalne, to wskutek tego powstałyby Prusy z 1795 roku [!]”. Tę fantazję można by rozwinąć jeszcze dalej, nadając jej całkiem historyczny wymiar. Jest bowiem faktem, że w drugiej połowie XVII wieku najwybitniejszy historyk ówczesnej Rzeczypospolitej, profesor protestanckiego Gimnazjum Akademickiego w Toruniu, Christoph Hartknoch (1644–1687), sympatyzował z wizją ustrojowej symbiozy prusko-sarmackiej. Swoją wizję czerpał głównie z doświadczeń obywatela Prus Królewskich, urodzonego w protestanckiej rodzinie w sąsiednich Prusach Książęcych, oraz ze znajomości historii Korony Polskiej.

Ani wówczas, ani już w zjednoczonych Niemczech problematyka ziem wschodnich Prus, czyli Prus Królewskich i Książęcych, nie była jednak tematem należącym do głównego nurtu debat. Stąd nie tyle nie chciano z powodów ideologicznych pamiętać o krakowskim hołdzie, co w hierarchii ważności zdarzeń dla państwa prusko-niemieckiego miał on realnie małe znaczenie. Inną sprawą jest, że generalnie zachodnioniemiecka tożsamość powojenna wytworzyła „instynktowną niechęć” do Prus. Tak zwany paradygmat pruski (Karl Heinz Bohrer), głoszący potrzebę włączenia historii Prus jako normy kulturowej w historyczny rozwój Niemiec, nie doczekał się – moim zdaniem – do dziś odpowiedniej realizacji. Skutek jest tego taki, że Niemcy nadal nie przepracowali krytycznie swojego ekspansjonizmu i kolonialnej polityki wobec wschodniego sąsiada – Polski.

Obraz

Relacje z państwem krzyżackim, a potem z Prusami Królewskimi, jako już częścią Korony, należały do centralnych nurtów polityki polskiej, szczególnie w wieku XV i XVI. Podmiotowe znaczenie Prus Książęcych ograniczało się w zasadzie do dwudziestolecia po ich ukonstytuowaniu się w wyniku traktatu krakowskiego w 1525 roku i wieńczącego go hołdu księcia Albrechta Hohenzollerna z Ansbach przed królem Zygmuntem I. Nieprawdą jest jednak, że Polacy zawsze pamiętali o jego hołdzie.

Společne zapotrzebowanie na „hołd pruski” pojawiło się dwukrotnie, w czasach gdy Polacy i Polska przeżywali kryzysy. Dużo mniejszy odzew miał już w Polsce niepodległej, kiedy w 1925 roku przypadła rocznica czterechsetlecia hołdu pruskiego. Po raz pierwszy hołd przywołuje dwieście sześćdziesiąt lat po jego złożeniu król Stanisław August Poniatowski (1732–1798), zlecając nadwornemu malarzowi Marcello Bacciarellemu (1731–1818) namalowanie cyklu sześciu obrazów ku chwale Polski. Wtedy Rzeczpospolita jest pod ogromną presją Rosji i już po pierwszym rozbiorze (1772), dokonanym przez Austrię, Rosję i Prusy, pod przywództwem króla Fryderyka II. *Hołd pruski*, sąsiadując m.in. z *Oswobodzeniem Wiednia* (1683), *Pokojem chocimskim* (1621) i *Unią lubelską* (1569), pokazuje łącznie cztery epizody, które wieńczą pokojowo polskie zwycięstwa i działania dyplomatyczne.

Prawie dokładnie sto lat później, gdy polscy katolicy stali się ofiarą ustawodawstwa Kulturkampf i zintensyfikowała się niemiecka polityka asymilacyjna kanclerza Ottona von Bismarcka, Jan Matejko namalował swoją wersję *Hołdu pruskiego*, obraz o rozmiarach 338 cm na 785 cm, a wraz z ramami 618 na 985. Ideowy przekaz był prosty: Niemcy nas teraz dominują, ale to my kiedyś byliśmy w stanie upokorzyć Niemców. Los niewielkich Prus Książęcych definitywnie przeniósł się na relację do całych Niemiec.

Pozytywistyczny literat i historyk Aleksander Świętochowski (1849–1938) trafnie napisał, że *Hołd pruski* był obrazem tendencyjnym, podobnie jak *Stefan Batory* czy *Odsiecz Wiednia*:

Te chwile dziejów naszych nie są bynajmniej tak wspaniałe, ażeby je mistrz [Matejko] wybierał dla nich samych; on je wskrzesza dla ich znaczenia obecnego. [...] [Obraz] jest orzeźwieniem waszych [niemiec-

kich] głów, zwycięstwami odurzonych, błyskawicą dziejową przed waszym zaślepionym wzrokiem, moralną na was klątwą. Tak, kochani Krzyżacy!

Obraz Matejki triumfalnie, wśród tłumów, przemierzył miasta polskie, zdobywając też europejskie uznanie i aplauz nawet w Berlinie. I jedynie Paryż przyjął go dość chłodno.

Magazyn polskiej historii

Dziś, w pięćsetną rocznicę przysięgi wierności Albrechta, złożonej na krakowskim rynku, część społeczeństwa przeżywa wzmożenie pamięciowe równe prawie temu, gdy pod koniec XIX wieku Jan Matejko malował jedno z największych dzieł polskiego malarstwa historycznego. Dlaczego? Powody są dwa. Bo jesteśmy w trakcie kampanii wyborczej na prezydenta. Bo wrócił, nakręcany przez partię Prawo i Sprawiedliwość, paradygmat, według którego odwiecznym wrogiem są Niemcy, a Niemcy to w zasadzie to samo co Prusacy i Krzyżacy. Skoro więc tak, to jak powiedział jeden z czołowych polityków prawicy:

Hołd pruski przypomina, proszę państwa, o ambicjach Polaków [...], że były takie czasy, że Niemcy byli zależni od Polaków, a nie na odwrót. My chcemy pokazać, że polskie państwo może być bez kompleksów, dumne z polskiej historii i wspaniałego dziedzictwa.

Wraca retoryka oparta na kompleksach, „wstawaniu z kolan”, „wypartej dumie narodowej”, która – co najgorsza – nie ma nic wspólnego z realną przeszłością sprzed pół tysiąca lat. Charakterystyczne, że w sensie polityki historycznej również w Niemczech „Prusy” przejęła wyłącznie prawica, tyle że czyniąc z nich wzorzec współczesnego, solidnego państwa. Rację miał jeden z klasyków polskiej historiografii, Janusz Tazbir, który przed ćwierć wiekiem wyrokował:

Historia staje się poniekąd nauką pomocniczą obchodo- czy rocznicomanii. Dotyczy to zarówno wielkich postaci, jak i wydarzeń czy wreszcie dziejów miast. [...] Rocznicę pociągają wydawanie całej masy narodowej hagiografii. W niewielkim tylko stopniu służą one dalszemu rozwojowi badań nad problem czy człowiekiem.

Dobitniej mówiąc, służą partyjnym interesom i disneylandyzacji historii. Tymczasem są drogi odrębne obchodzenia się z pamiętaniem dni glorii i chwały, tak by nie zapominać, ale jednocześnie nie popadać w megalomanię i ciągłe niespełnione marzenie o „wielkiej Polsce”.

W 1975 roku w odniesieniu do hołdu pruskiego kierunek namysłu wyznaczył wybitny twórca teatralny i artysta wizualny – Tadeusz Kantor. Tworząc swój *Hołd Pruski* (250 x 500 cm) postąpił metodą ambalażu, czyli opakowaniem, w tym wypadku naszej „świętości narodowej”, tak by zmianie albo przynajmniej namysłowi uległy utrwalone sensory i znaczenia obiektów, które artysta uczynił przedmiotem swego zainteresowania. Według Kantora zakrywanie umożliwia poznanie skrytej treści obiektów; czyni je dostępnymi, ale jednocześnie chroni, pozwala na przechowanie czy utrwalenie:

Dumne postacie królewskie, rycerskie, biskupie „opakowałem” z desperacją, lękiem i pietyzmem na wieczność. Żywego pozostawiłem tylko wielkiego Błazna Królewskiego – Stańczyka.

To Stańczyk symbolizuje historię krytyczną. Niczego nie wygumkuje, nie wypacza, ale namawia do namysłu i „walki o prawdę”. Ponad trzydzieści lat później motyw opakowania wykorzystwała Anda Rottenberg, kuratorka i krytyczka sztuki. Przygotowując w najbardziej prestiżowej niemieckiej galerii, berlińskim Martin-Gropius-Bau, największą wystawę artystyczną o polskiej historii „Obok. Polska – Niemcy. 1000 lat historii w sztuce” (2011/2012), w jej centrum umiejscowiła „Krucjatę Północy”, czyli zakon krzyżacki i jego mit tak skutecznie utrwalony przez Jana Matejkę, Henryka Sienkiewicza czy filmowo przez Aleksandra Forda, że zamknęła go w drucianej klatce nazwanej „Magazynem Historii”. *Hołd pruski* Jana Matejki zajmował w nim centralne miejsce. Do klatki-magazynu można było wejść i z niego wyjść w każdym momencie zwiedzania. Instalacja przygotowana przez artystę Jarosława Kozańkiewicza: „stała się metaforą uwięzienia wspólnej polsko-niemieckiej historii w przedmiotach, które wpływają na kolejne pokolenia i utrwalają stereotypy”.

W tej interpretacji można pójść jeszcze dalej, bardziej uniwersalnie, mianowicie „Magazyn Historii” kojarzy się z pamięcią

zmagazynowaną konstanckiej pamięciolożki Aleidy Assmann. Pamięć zmagazynowana różni się tym od żywej pamięci funkcjonalnej, że nie odgrywa już tożsamościotwórczej roli. Ulega uhistorycznieniu, nie znika, ale pozwala lepiej zrozumieć historię. W tym sensie inspiracja Rottenberg-Kozakiewicza jest przestaniem odnoszącym się nie tylko do polskiej pamięci narodowej, lecz także niemieckiej i europejskiej.

Historia i pamięć pewnego złudzenia

Schyłek demokracji

Historia się nie powtarza. Z mechanizmami polityczno-społecznymi, podobnie jak z ludzkimi zachowaniami, jest zgoła inaczej. Wprawdzie każde zdarzenie istnieje w ramach konkretnego miejsca i czasu, ale może być inspiracją do zrozumienia sytuacji zupełnie nam bliskich. Współczesnemu kryzysowi demokracji można się przyjrzeć, np. w zwierciadle sytuacji antycznych Aten przełomu V i IV wieku p.n.e. Peryklesowa konstrukcja ustrojowa sypała się pod naporem ochlokracji, czyli rządów tłumu, lekceważącego normy i prawo. Platon poszukiwał antidotum w rządach filozofów. Orator i polityk Isokrates, zamiast wzmacniania pozornej suwerenności rozbitych poleis, odnajdował siłę w panhelleńskiej jedności (unii) wobec zagrożenia przez Persję – tyrana ze Wschodu.

Wspomnienia z Prus Wschodnich 1912–1937 wschodniopruskiego arystokraty Hansa hrabiego von Lehndorffa (1910–1987) wprowadzają nas w zgoła inną rzeczywistość, czyli czas upadku demokracji weimarskich Niemiec w latach 20. i 30. XX wieku. Nie jest on ani Isokratesem, ani tym bardziej Platonem swojej epoki. Pisząc pod koniec lat 70. XX wieku, nie analizuje zdarzeń, lecz przedstawia świat jakby zahibernowany, zamknięty w formie z minionej epoki. Nostalgia wypiera krytycyzm. To niezbyt dobrze świadczy o autorze. To dobry materiał dla historyka.

Plotkarska buda zwana Reichstagiem

Od schyłku lat 20. demokracja weimarska przechodziła z fazy parlamentarnej w coraz bardziej autorytarny system prezydencki. Nieformalnie wpływy na rządy przejmowała tzw. kamaryla, skupiona wokół starzejącego się zwycięzcy spod Tannenbergu (1914), feldmarszałka i od 1925 roku prezydenta Paula von Hindenburga (1847–1934). Socjaldemokraci (SPD) i chadecy (Centrum) tracili wpływy, umacniali się totalitarni komuniści (KPD). W tle czaił się nienasycony, rządny władzy „głos ludu pracującego”, czyli młody ruch narodowych socjalistów skupionych wokół Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników (NSDAP) i ich wodza – Adolfa Hitlera, który strasząc komunizmem i żydowskim spiskiem, skutecznie odbierał głosy głównie narodowym konserwatystom i socjaldemokratom.

Ale jeszcze nie wszystko było przesądzone, bowiem NSDAP dysponowała przed wyborami w 1930 roku jedynie dwunastoma mandatami (2,6% wyborców) w Reichstagu, co było niczym w porównaniu z pozycją socjaldemokratów, chadeckiej partii Centrum czy narodowych konserwatystów, głównie Niemieckonarodowej Partii Ludowej (DNVP). Rozwój wypadków w ciągu najbliższych trzech lat miał zadecydować o losach demokracji w Niemczech.

Reichstagu nie lubił prawie nikt, od prawicy do lewicy. Młody Lehndorff nie był wyjątkiem. Patrząc z obojętnością na pożar budynku parlamentu, komentował bez żalu: „W Berlinie nie ma budynku, który można by zostawić w płomieniach z takim spokojem jak Reichstag. [...] Niech ta plotkarska buda spłonie. Nikt nie będzie za nią płakał”. Niemożność uzyskania stabilnej większości powodowała ciągłe zmiany rządów, co w efekcie prowadziło do tego, że w ciągu piętnastu lat Republiki Weimarskiej urząd kanclerza sprawowało czternaście osób, reprezentujących kilka partii politycznych! Ostatnie, w miarę silne rządy tworzyli w drugiej połowie lat 20. chadecka partia Centrum i Gustav Stresemann (1878–1929), „wieczny” minister spraw zagranicznych (1923–1929). Później zaczęła się zjazd wątlej demokracji parlamentarnej w kierunku systemu prezydenckiego, z silnym ideologicznym akcentem na powrót do monarchii. Tak w każdym razie zakładały kręgi konserwatywno-narodowe skupione głównie w DNVP, reprezentowanej w dużej części przez szlachtę z prowincji położonych na wschód od Łaby.

Sporo młodych wschodniopolańskich szlachciców mieszkało wówczas w Berlinie i okolicy.

Wśród nich był Hans von Lehndorff, który wchodził właśnie w dorosłe życie. W 1928 roku zdał maturę i rozpoczął studia medyczne na różnych uczelniach Europy. Po trzech latach w celu kontynuacji edukacji sprowadził się do Berlina. Spędził tu ponad sześć lat, będąc świadkiem i uczestnikiem kluczowych wydarzeń: w 1933 roku podpalenia Reichstagu, w 1934 roku „nocy długich noży”, czyli likwidacji nie tylko tzw. oddziałów szturmowych (SA) Ernsta Röhma w Monachium, lecz *de facto* namiastki istniejącej jeszcze w Berlinie opozycji. W 1936 roku przeżywał berlińskie igrzyska olimpijskie. Dla dwudziestokilkuletniego arystokraty z Prus Wschodnich był to świat nowy i fascynujący. Patrzył na niego z określonej perspektywy politycznej, której bazą było konserwatywno-religijne (protestanckie) wychowanie w środowisku rodzinnym. W tym czasie wschodniopruska szlachta i arystokraci stali się ważną siłą polityczną, tym bardziej że właśnie na południowym zachodzie prowincji, w Ogródzieńcu (Neudeck), od 1927 roku rezydował prezydent Hindenburg, bliski przyjaciel dziadka Hansa, Elarda hrabiego Oldenburga, właściciela majątku Januszewo koło Sztumu, jednego z najbardziej antydemokratycznych i sprawczych zarazem w działaniu antyrepublikańskich konserwatystów.

Korupcje

Paul von Hindenburg na przełomie lat 20. i 30. był w kleszczach pomiędzy lojalnością wobec własnego środowiska narodowych konserwatystów a presją coraz bardziej rosnących w siłę narodowych socjalistów. Dodatkowo, dzięki głosom nie swojego narodowego elektoratu, lecz socjaldemokratom i chadekom z Centrum, został wybrany w 1932 roku po raz drugi na prezydenta. Niestety, konserwatywny rząd Heinricha Brüninga (1885–1970) z partii Centrum chciał wprowadzić zmiany w wielomilionowym programie „Pomocy dla Wschodu”, idące w kierunku finansowania jedynie tych gospodarstw, które zdolne były do samouzdrowienia i zatrudniały tylko niemieckich robotników. Natomiast posiadłości ziemskie nadmiernie zadłużone i niezdolne do reform miały podlegać parcelacji i oddaniu w posiadanie bezrolnym robotnikom rolnym.

Środowisko junkrów pruskich poczuło się na tyle zagrożone, że wykorzystano wówczas argument – ze względu na zagrożenie sowieckie – o atomowym rażeniu, mianowicie propagandowo oskarżono kanclerza Brüninga o „bolszewizm agrarny”. Ponieważ do przeprowadzenia ustawy agrarnej Brüning nie miał odpowiedniej większości, zwrócił się do Hindenburga, by ten, korzystając ze swoich konstytucyjnych prerogatyw, wydał stosowny dekret w sprawie „pilnie potrzebnej ze względów społecznych i publicznych reformy” funduszy wypłacanych z „Pomocy dla Wschodu”. Był to sygnał do ataku dla środowiska właścicieli ziemskich, co dobitnie sformułował Elard Oldenburg, mówiąc, że trzeba „wypalić narodowi niemieckiemu na skórze taką konstytucję, że straci przytomność”. Chodziło o to, by dać prezydentowi większe kompetencje, co w efekcie prowadziło do ograniczenia demokracji parlamentarnej. Czołowe rody arystokratyczne Prus Wschodnich, jak Eulenburgowie, Dönhoffowie czy Dohnowie, spotkały się w czasie Zielonych Świątek 1930 roku w pałacu Hindenburga w Ogrodzieńcu, żądając usunięcia Brüninga. Prezydent i jednocześnie reprezentant pruskiej arystokracji nie mógł mieć dylematu. Nie dopuścił ani do reformy programu „Pomocy dla Wschodu”, ani planowanej parcelacji nieefektywnych, nadmiernie zadłużonych majątków ziemskich.

30 maja 1932 roku Brüning musiał podać do dymisji swój rząd, czym doprowadził do politycznego trzęsienia ziemi, w wyniku którego po raz pierwszy partie tzw. koalicji republikańskiej stały się mniejszością w Reichstagu. W ten sposób zakończyła się umiarkowana faza autorytarnego systemu prezydenckiego. Rozpoczęła się – zdaniem niemieckiego historyka Heinricha Augusta Winklera (*Długa droga na Zachód*, 2007) – faza druga, otwarcie antyparlamentarna i autorytarna, którą starali się sterować Hindenburg i jego kamaryla. W wyborach lipcowych 1932 roku hitlerowcy zdobyli rekordowe poparcie, czyli 37%, co dało im 230 mandatów i kluczową pozycję w Reichstagu. Był to ponad dwukrotny wzrost w porównaniu z wyborami w 1930 roku. Okazało się, że w bieżącej polityce starają się grać konserwatyści i Hindenburg z kamarylą, ale z bocznej linii ogrywiają ich narodowi socjaliści i Hitler, którzy po prostu byli bardziej cwani politycznie i umieli być skuteczni jako opozycja.

Największy skandal, który wpłynął na utratę głosów partii konserwatywno-narodowych, spowodowały niejasności wokół majątku prezydenta von Hindenburga w Ogródzieńcu (Neudeck). Otrzymał go na swoje osiemdziesiąte urodziny, w 1927 roku, „w darze od społeczeństwa”. Zrzutkę, głównie w kręgu przemysłowców, zorganizował przyjaciel z Januszewa, hrabia Oldenburg. Nic nie byłoby w tym nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że własność majątku została zapisana na jego najbliższego współpracownika, czyli syna Oskara, żeby oszczędzić na podatku. Ta wątpliwa etycznie postawa wodza spod Tannenbergu i prezydenta nie miałyby może wielkich reperkusji, gdyby nie fakt, że nałożyły się na nią gigantyczne malwersacje funduszy „Pomocy dla Wschodu”. Otóż odkryto, że pieniądze zamiast na realne dofinansowanie upadających gospodarstw, przeznaczane były na zakup luksusowych samochodów, koni wyścigowych, na podróże na Riwierę itp. Mocno faworyzowany przy przydziale środków publicznych był osobisty przyjaciel prezydenta – Elard von Oldenburg. Machlojki wokół funduszu „Pomocy dla Wschodu” stały się po przejęciu władzy przez NSDAP tajną bronią Hitlera, trzymającą w szachu obóz konserwatywno-prezydencki.

Kamaryla

Nowym kanclerzem 1 czerwca 1932 roku został, tak bliski Hansowi Lehndorffowi, w rzeczywistości słaby i „zakochany w sobie” polityk z prawego skrzydła chadeckiej partii Centrum, Franz von Papen (1879–1969), którym tak naprawdę rządził minister obrony, generał Kurt von Schleicher (1882–1934). Młody Lehndorff spotykał się z Papenem we wzorowanym na brytyjskim Gentlemen’s Club berlińskim Herrenklubie, założonym w 1924 roku przez przedstawicieli wielkich posiadaczy ziemskich i przemysłowych. Obaj należeli też do dość wpływowego kręgu młodej elity konserwatywnej, skupionej wokół Carla Jordansa (1884–1950). W sumie Herrenklub i krąg Jordansa tworzyły ważne polityczne środowisko, którego przedstawiciele do historii przeszli jako „kamaryla Hindenburga”. Jej uczestnicy czuli się, jak wnioskować można z relacji Lehndorffa, skutecznymi politycznymi rozgrywającymi do ostatniej chwili, czyli pełnego przejścia rządów przez NSDAP po „nocy długich noży”

w lipcu 1934 roku. Jednocześnie sami pozbawiali się sprawczości, wikłając w układy i rządy z tylnego siedzenia.

Hans von Lehndorff był jednym z tych młodych konserwatystów, którzy zostali politycznie ukształtowani przez ideologię i praktyczne oddziaływanie kręgu Jordansa. Carl Jordans był do przejęcia władzy przez narodowych socjalistów wpływową postacią środowiska konserwatystów wywodzących się z berlińskiego Herrenklubu. Formalnie postać drugiego rządu, w praktyce szara eminencja w polityce, blisko związany z późniejszym kanclerzem von Papenem. Z początkiem lat 30. zaczęli się wokół niego konsolidować młodzi ludzie, głównie z wpływowych katolickich rodzin, ale ze względu na to, że partia Centrum, z którą zarówno on, jak i von Papen byli związani, poszerzyła swoją bazę o ewangelików, wśród nieformalnych członków znaleźli się również przedstawiciele protestanckiej arystokracji wschodniopruskiej. Najkrócej mówiąc, celem istnienia kręgu Jordansa było tworzenie alternatywnego programu politycznego wobec coraz bardziej dominujących wpływów narodowych socjalistów. Jordans stał się dla niewiele od siebie młodszych kolegów mentorem i autorytetem. Opowieść Lehndorffa o atmosferze w Klubie i „kręgu Jordansa” jest wiarygodnym źródłem pokazującym oczekiwania i zarazem naiwność polityczną konserwatystów.

W Herrenklubie 30 maja 1932 roku, w przededniu objęcia urzędu kanclerza, Franz von Papen wygłosił wykład na temat konserwatywnej idei państwa. Paradoks polegał na tym, że przyszły kanclerz nie miał prawie żadnego zaplecza politycznego. Jego własna partia Centrum odwróciła się od niego, Narodowoniemiecka Partia Ludowa i Niemiecka Partia Ludowa były podzielone, a socjaldemokraci i komuniści programowo go odrzucali. W efekcie zdany został na poparcie NSDAP, tyle że za cenę poważnych ustępstw. W tym momencie nawet przeciwny narodowym socjalistom Hindenburg stanął po ich stronie i rozwiązał parlament, co było już wyraźnym odejściem od zasady rządów parlamentarnych zagwarantowanych w konstytucji weimarskiej. Wykład z Herrenklubu znamy tylko z relacji Kurta Geорга Kiesingera, powojennego kanclerza RFN (1966–1969) z ramienia Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CDU). Można przypuszczać, że swoje programowe tezy von Papen zawarł w exposé nowego rządu, 4 czerwca 1932 roku. Powiedział wówczas m.in., że rząd jest zdecydowany prowadzić „walkę o duchowe

i gospodarcze uzdrowienie narodu, dla odrodzenia Niemiec". Wystąpił także przeciw idei państwowej opieki socjalnej, gdyż nie odpowiadała ona istocie nowoczesnego państwa, i „zażądał dlatego nowych ofiar od całego narodu” (cytaty za: T. Kottowski, *Historia Republiki Weimarskiej 1919–1933*, s. 301).

Gra konstytucją

Naród i Rzesza stały się kluczowymi kategoriami politycznej rozgrywki. Naród musiał być wielki i silny. Rzesza uosabiała jego średniowieczne fundamenty, czyli *Sacrum Imperium*, gdy cesarze niemieccy panowali nad dużą częścią Europy. Zjawiskiem charakterystycznym w tej dyskusji była przemiana języka debaty, który ulegał coraz większej radykalizacji i podatności na teorie spiskowe, głównie z obawy przed wzrostem wpływów komunistycznych. W wyścigu brali udział wszyscy polityczni aktorzy, od prawa do lewa, włącznie z samymi komunistami. Młode pokolenie we wspólnocie narodowej widziało zabezpieczenie przed materialną biedą i niepewnością na rynku pracy. Socjaldemokraci zrzeszeni w wolnych związkach zawodowych wzywali do „obudzenia wspólnoty narodowej” i „rozwoju poczucia narodowego”. Programowe wystąpienie ich przywódca, Theodora Leiparta, na zjeździe w 1932 roku było tak mocne w sensie pochwały służby narodowi niemieckiemu, że zyskało aplauz drugiej po Hitlerze osoby w NSDAP – Gregora Strassera! Komuniści z kolei oskarżali socjaldemokratów o współpracę agenturalną z „francuskim i polskim imperializmem” na rzecz „niemieckiej burżuazji”. Zwycięzcami tego wyścigu byli narodowi socjaliści, którzy sprytnie pozycjonowali się jako prawdziwi i – w związku z kryzysem partii głównonurtowych – jedyni obrońcy „ludu niemieckiego” i niemieckiego interesu w Europie.

Istotnym krokiem, który otwierał drogę narodowym socjalistom do władzy, było przejęcie największego państwa związkowego, jakim były ciągle demokratycznie rządzone Prusy. Rząd, na którego czele stał pochodzący z Prus Wschodnich socjaldemokrata Otto Braun (trzykrotny i jednocześnie ostatni premier Prus w latach 1925–1932), próbował przeprowadzić reformy. W efekcie napięć i nacisków kręgów konserwatywnych, które obawiały się utraty wpływów, 20 lipca 1932 roku rząd Brauna został obalony sprytną

intrygą, która przeszła do historii jako *Preußenschlag*, czyli zamach pruski. Najpierw kanclerz von Papen i jego minister obrony von Schleicher cofnęli wydaną niespełna dwa lata wcześniej delegalizację SA (Sturmabteilungen, czyli oddziały szturmowe) i SS (Schutzstaffel, czyli eskadra obronna), a następnie dopuścili do prowokacyjnej parady nazistów w pruskiej Altonie pod Hamburgiem, co skutkowało zamieszkami, w których zginęło osiemnaście osób, a ponad tysiąc zostało rannych. Za wszystko obwiniono premiera Brauna, a to pozwoliło kanclerzowi von Papenowi dekretem podpisanym przez Hindenburga „zastąpić” ministrów rządu pruskiego tzw. komisarzami rządu Niemiec. *De facto* republikańskie, najsilniejsze w ramach Rzeszy państwo pruskie straciło przysługującą mu samodzielność. Rację ma Heinrich August Winkler, gdy pisze w cytowanej już *Długiej drodze na Zachód* (s. 510):

W realizacji zamiaru unicestwienia demokracji weimarskiej wykorzystał Hitler wszelkie możliwości, jakie oferowała mu konstytucja. Taktyka legalizacji, którą zalecił swojej partii, miała nieporównywalnie większy sukces niż opowiedzenie się za siłą rewolucyjną, której się zaprzedał przed dziesięcioma laty. [...] Hitler mógł zagrozić reprezentantom rządu siłą rewolucyjną i tym samym wojną domową, gdyby oni sami łamali prawo lub chcieli je zmieniać na niekorzyść narodowych socjalistów.

Ostatnie dwa miesiące agonii demokratycznych Niemiec na przełomie 1932 i 1933 roku przebiegały pod rządami byłego ministra obrony w rządzie von Papena, kanclerza Kurta von Schleichera. Konserwatyści ciągle wierzyli w swoją moc sprawczą i siłę prezydenta Hindenburga. O nieudanej misji do prezydenta Hindenburga, by ten jeszcze 29 stycznia 1933 roku nie dopuścił do przekazania władzy Hitlerowi, Hans von Lehndorff pisze w roku 1980 szczerze i naiwnie tak:

W przeddzień zatwierdzenia Hitlera na stanowisku kanclerza Rzeszy, mój brat Heinfried i ja zostaliśmy wystani do prezydenta, żeby błagać go, by nie oddawał władzy Hitlerowi. Zgodnie z oczekiwaniami w Pałacu Prezydenta Rzeszy nie dopuszczono nas do Hindenburga [...]. Przyjeliśmy to z wielkim oburzeniem.

Dzień później prezydent przekazał władzę kanclerza i misję utworzenia rządu Adolfowi Hitlerowi, inscenizując pojednanie i zgodę narodową. Hrabie Oldeburgowi, jak odnotowuje Lehn-dorff, miał powiedzieć: „[Hindenburg] nieustannie podkreślał, że nie ma podstaw do obaw. Führer ma wszystko pod kontrolą”. Przez najbliższe półtora roku, by nie drażnić opinii publicznej, Hitler grał na jego popularności, jednocześnie szantażując go ujawnieniem kolejnych faktów związanych z „Pomocą dla Wschodu”. Ciągłe wykorzystując konstytucję i prerogatywy nadane przez Hindenburga, Hitler rozwiązał parlament po to, by w atmosferze terroru wygrać ostatnie półwolne wybory, gdzie NSDAP zdobyła 44% głosów. W Poczdamie 15 marca 1933 roku ogłosił „z woli narodu” powstanie Trzeciej Rzeszy, sukcesorki potęgi fryderycjańskich Prus i tysiącletniego niemieckiego *Sacrum Imperium*.

30 czerwca 1934 roku podczas „nocy długich noży” zamordowany został ostatni konkurent Hitlera do władzy – Kurt von Schleicher. 7 sierpnia Führer zorganizował na wielką skalę uroczystości pogrzebowe prezydenta, tworząc w jednej z wież pomnikowego oktagonu Tannenberskiego Pomnika Narodowego – Mauzoleum Hindenburga. Uroczystości pogrzebowe były ostatnim publicznym wystąpieniem Elarda hrabiego Oldenburga, który pojawił się w mundurze gwardii ułanów. Niewątpliwym wpływem na ugodową politykę Hindenburga wobec Hitlera miał jego syn Oskar, który podobnie jak von Papen i obaj Lehndorffowie należał bądź wręcz stał na czele wspomnianej kamaryli, czyli grupy szarych eminencji środowisk konserwatywnych, które poza strukturami partyjnymi wpływały na bieżącą politykę.

Paul von Hindenburg odchodził w glorii wielkiego wodza i męża opatrnościowego Niemiec. W rzeczywistości – jak pisze znawca historii Prus Christopher Clark:

Jako dowódca wojskowy, a później niemiecka głowa państwa, Hindenburg złamał niemal wszystkie związki, jakie zawarł. Nie był człowiekiem upartej, wiernej służby, ale poży, manipulacji i zdrady.

Jego syn Oskar przeżył wojnę i nie musiał być poddany procesowi denazyfikacji. W procesie norymberskim zeznawał nawet w sprawie przeciw byłemu kanclerzowi Franzowi von Papenowi,

który w latach rządów nazistowskich pełnił funkcję ambasadora najpierw w Austrii, potem w Turcji. W Norymberdze został uniewinniony, chociaż później komisja denazyfikacyjna uznała go winnym, ale bez większych konsekwencji prawnych. W 1959 roku od papieża Jana XXIII uzyskał wysoki, honorowy tytuł szambelana papieskiego. Ani von Papen, ani Brüning w swoich wspomnieniach nie poczuli się do jakiegokolwiek sprawstwa w dojściu nazistów do władzy.

Zwrot pokoleniowy

Niemiecko-brytyjski historyk, obecnie profesor w Edynburgu, Stephan Malinowski, twierdzi na podstawie wnikliwych badań (*Vom König zum Führer*, 2003, s. 588), że konsekwentna wrogość szlachty wschodniopółabskiej wobec narodowego socjalizmu, poczynając od Republiki Weimarskiej po martyrologię zamachowców na Hitlera w Wilczym Szańcu,

była przypadkiem nadzwyczaj rzadkim. Większość spiskowców z 20 lipca 1944 roku należała w 1933 roku do zwolenników „rewolucji narodowej”, a przed 1933 rokiem występowała mniej lub bardziej aktywnie przeciw republice.

Dodajmy: z przekonania lub politycznej kalkulacji wstępowała również do NSDAP. Tylko w teorii taka postawa była sprzecznością. Życie nie pisze historii czarno-białych. Ewentualnie my, historycy, nadajemy im z czasem taki uproszczony, ale z gruntu nieprawdziwy sens.

„Dziadek [hrabia Oldenburg] szanował go [Hindenburga] i kochał jak swojego najlepszego przyjaciela, a owo uczucie było podzielane przez nas wszystkich” – pisze we wspomnieniach Hans von Lehndorff. Z kolei wszyscy krewni kochali dobrego wujka czy dziadka – hrabiego Oldenburga. Słowem jedna, wielka rodzina. Coś było na rzeczy, choć świat się istotnie zmieniał.

W ciągu trzech lat 1934–1937 z życiem pożegnali się trzej najważniejsi aktorzy wschodniopruskiej i niemieckiej sceny polityczno-towarzyskiej. Najpierw w 1934 roku umarł w swoim majątku Ogrodzieniec (obecnie gmina Kisielice w powiecie ławskim) prezydent Niemiec, marszałek Paul von Beneckendorff und von

Hindenburg. W 1936 roku odszedł dziedzic Sztynortu Carl hrabia von Lehndorff – jedna z najbarwniejszych towarzysko postaci arystokratycznego świata nie tylko w Prusach Wschodnich. Rok później zmarł Elard hrabia von Oldenburg z Januszewa, leżącego 20 km od posiadłości Hindenburga – jeden z najbardziej wpływowych konserwatywnych polityków niemieckich, m.in. poseł do Reichstagu w latach 1902–1912 i 1930–1932, współtwórca tzw. kamaryli wokół Hindenburga. Wszyscy byli ostatnią generacją *belle époque*. Konserwatyzm łączyli z klasową wyższością, wręcz pogardą dla „gefreftra z Austrii” i jego Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników (NSDAP), a także z dużą dozą politycznej naiwności rodem z minionej epoki kajzerowskich Niemiec.

Ich miejsce zajęli trzydziestokilkulatkowie: w Ogródzieńcu Oskar von Hindenburg (1883–1960), syn prezydenta; w Sztynorcie Heinrich hrabia von Lehndorff (1909–1944), bratanek Carla, a w Januszewie Heinfried hrabia von Lehndorff, wnuk hrabiego Oldenburga: arystokratyczne dzieci kulawej weimarskiej republiki. Oskar, wysokiej rangi oficer, ze względów taktyczno-koniunkturalnych wspierał Hitlera i w tym duchu ustawiał, szczególnie w latach 1932–1934, postawę ojca. Heinrich prawdopodobnie już w 1933 roku zgłosił deklarację do NSDAP, ale oficjalnie członkiem został w 1937. Heinfried wstąpił do NSDAP w 1933 roku. Heinrich, po śmierci swojego dwudziestopięcioletniego brata na froncie wschodnim i odkryciu zbrodni na Żydach w Borysowie nad Berezyną, dołączył do spiskowców przeciw Hitlerowi. Za udział w zamachu 20 lipca 1944 roku został skazany na śmierć. Wyrok wykonano we wrześniu. Heinfried, uciekając w roku 1945 wraz z matką wypuszczoną z nazistowskiego więzienia, został zastrzelony przez Sowietów. Wcześniej zginęli trzej jego bracia: najmłodszy Meinhard w wieku dziewiętnastu lat poległ we Francji, Elard – na froncie wschodnim, a Georg zmarł w 1943 roku na wylew krwi do mózgu.

Co się stało na przełomie lat 20. i 30.? Jak doszło do tego, że elita wychowana na niemieckim rycerskim etosie narodowym dała się uwieść złudzeniu tzw. mniejszego zła i w gruncie rzeczy na tacy podała władzę narodowym socjalistom?

W Kwitajnach mieszkał – pisze biografka Marion Dönhoff, Alice Schwarzer, w *Życiu pod prąd* (1999, s. 77) – wuj optywający w dostatki, nazista

i serdeczny przyjaciel osławionego, potężnego gauleitera [Prus Wschodnich Ericha] Kocha. Już w 1943 roku wuj polecił obserwować siostrzenicę, a miejscowy urząd pocztowy zobowiązał do notowania nazwisk adresatów wszystkich listów.

To jest przykład ekstremalny, ale prawda jest taka, że członków NSDAP ani wśród Lehndorffów, Dönhoffów, Finckensteinów, ani innych rodów arystokratycznych nie brakowało. Problem uczestnictwa w ruchu narodowosocjalistycznym przedstawicieli arystokracji był powszechny, może jeszcze bardziej newralgiczny niż przeciętnie, ponieważ jej przedstawiciele byli rozpoznawalnymi publicznie osobistościami. Ich postawa decydowała nie tylko o losie własnym, ale stawała się też latarnią wskazującą drogę innym. Patrząc na pełną dystansu postawę generacji dziadków Marion czy Hansa, by nie powiedzieć demonstrowania wyższości i klasowej pogardy wobec nazistowskich „parweniuszy” i ich ideologii, zastanawia, jak to się stało, że wśród członków, a nawet funkcjonariuszy NSDAP znalazło się tak wielu arystokratów pokolenia ich ojców i rówieśników.

Goebbels pokazał swoją prawdziwą twarz

Wbrew pozorom sytuacja nie była jednoznaczna. Politycznych i moralnych kreatur w stylu wuja hrabiny była zdecydowana mniejszość. Fascynatów ideologii hitlerowskiej rodem z *Mein Kampf*, w stylu Alexandra zu Dohna, było niewiele. Mieli największe wpływy w ostatnich rządach Republiki Weimarskiej i wśród kamaryli Hindenburga. Stanowili większość wśród zamachowców na Hitlera 20 lipca 1944 roku. Te sprzeczności to kwintesencja schyłku niemieckiej demokracji. Jakie więc motywacje mieli inni, młodzi, zdolni, wykształceni i – przede wszystkim – wychowywani w duchu patriotycznym, by wstępować do NSDAP? Koniunkturalizm? A może cyniczny oportunizm? Czym bronili się ci, którzy dystansowali się najpierw wobec ideologii, a potem wobec reżymu? I to w czasach, gdy jedynie za witanie się bez nazistowskiego „Hitlergruß” (tzw. salut rzymski) groziło więzienie albo przynajmniej donos do odpowiednich służb.

Niebezpieczeństwo nazistowskiej ideologizacji społeczeństwa i zniszczenia z takim trudem świeżo budowanej demokracji

niektórzy arystokraci zauważyli już w połowie lat 20. Była ich zdecydowana mniejszość, bo reszta z wielkimi obawami przyjęła utratę uprzywilejowanej pozycji z czasów wilhelmińskiego cesarstwa. Z sentymentem patrzyli na Niderlandy czy Anglię, gdzie zachowana została monarchia konstytucyjna. Dlatego sensacją w roku 1926 stał się apel dawnego sekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, kierowanym przez Gustava Stresemanna (w 1923 roku również przez kilka miesięcy kanclerza), Rochusa von Rheinbarena (1893–1937), zatytułowany „Do szlachty niemieckiej. Rozważania polityczne o historii niemieckiej”. Wraz z piętnastoma przedstawicielami wysokiej i niższej niemieckiej arystokracji wzywał do zdecydowanego wsparcia demokracji. Rezonans manifestu był słaby. Spośród wschodniopruskiej arystokracji jego sygnatariuszem był jedynie Manfred hrabia Lehndorff z Preyl, wuj Hansa Lehndorffa, ojciec Heinricha, późniejszego członka NSDAP, a w 1944 roku jednego z uczestników spisku na Hitlera w Wilczym Szańcu.

Stosunek „starego” pokolenia wobec narodowych socjalistów oraz naiwność „młodych”, nawet po prawie pół wieku, najlepiej oddają słowa Lehndorffa z 1980 roku:

Po nieskończenie długim przemówieniu, jakie wygłosił niegdyś Goebbels, dziadek [hrabia Oldenburg] zwrócił się do niego: „Podziwiam pana, mój drogi Josephie, że możesz tak mówić przez dwie godziny z rzędu. Nie masz pojęcia, jakież bzdury można opowiedzieć w zaledwie pół godziny!”. Kiedy po dojściu Hitlera do władzy Goebbels pokazał swoją prawdziwą twarz, przyjaźń ta się zakończyła.

Postromantyczny mīt

Interesująco i trafnie problem opisała biografka Heinricha von Lehndorffa, autorka licznych publikacji, polityczka i postanka niemieckich Zielonych – Antje Vollmer (1943–2023). Zauważyła dwa katalizatory postaw młodego pokolenia szlachty. Po pierwsze motyw ich działania był naturalny, w tym sensie, że byli dziećmi nowej epoki. Nie doświadczyli tragizmu wojny, wychowanie i wykształcenie zdobyli w zupełnie nowej konstelacji polityczno-kulturowej Niemiec lat 20. Czasami zapominamy, że tragizm I wojny

światowej zerwał stare więzy pokoleniowe. Kultura lat międzywojnia swoim radykalizmem przypominała w pewnym sensie rewolucję '68. Jak słusznie pisze Antje Vollmer w książce *Podwójne życie* (2010, s. 120):

Pokolenie swych rodziców i dziadków uznawali za nazbyt reakcyjne, starali się wykorzystać możliwości, jakie oferowało nowe życie [...]. Wielu z nich dosłownie brało wczesne narodowe i socjalistyczne obietnice nazistów i dawano się uwieść, mniemając, że jest to nowy rewolucyjny ruch młodzieżowy, który wreszcie zrywa z dawnymi przytykami, łącząc w sobie socjalistyczne i narodowe cele. [...] Szczególnie że Hitler proponował „demokratyzację” pojęcia arystokracji, obejmując nim cały naród, rasę aryjską, którą tym samym „uszlachetnił”, czyniąc z niej elitę w stosunku do pozostałych ras.

Dodajmy do tego popularność młodzieżowego, postromantycznego „Ruchu Wędrownych Ptaków”. Nie miał on formalnych związków z arystokracją, ale łączył młodzieńczy idealizm i chęć działania. Było to pokolenie zachwycone naturą, wegetarianizmem, wspólnotowością i głębokim poczuciem przywiązania do ojczyzny. Jego epilog przypomina obraz jak z antycznej tragedii. Część z młodych, zaangażowanych ludzi, już jako dorośli, odnalazła spełnienie w ruchu narodowosocjalistycznym, by potem ginąć „za ojczyznę” na frontach II wojny światowej. Najbardziej transparentnym, a jednocześnie paradoksalnym przykładem jest Wilm Hosenfeld (1895–1952), który uratował polskiego Żyda, pianistę Władysława Szpilmana. Głęboko wierzący katolik, należący do „Wędrownych Ptaków”, aktywny sportowiec, wstąpił najpierw do SA, a potem do NSDAP, gdzie był zaangażowanym członkiem. Po 1939 roku jako kapitan Wehrmachtu pełnił służbę w okupowanej przez Niemców Polsce. Obserwacja tragedii warszawskich Żydów spowodowała przemianę. Zamiast dla ojczyzny, motywowany romantycznymi ideałami „Wędrownych Ptaków”, poświęcił się dla ratowania Żydów. Oskarżony o szpiegostwo, został skazany na dwadzieścia pięć lat obozu pracy. Zmarł w 1952 roku w sowieckim łagrze.

Po drugie pokolenie dwudziesto- czy trzydziestolatków bardziej niż ich przodkowie bało się bolszewizmu. Sowiecka Rosja była prawie sąsiadem Prus Wschodnich, oddzielonym jedynie skrawkiem

państwa litewskiego. Jej bezpośredni wpływ i zagrożenie odczuwało się tu bardziej niż gdzie indziej w Niemczech, także poprzez wewnętrzną propagandę, Targi Wschodnie (Ostmesse) w Królewcu i ciągle żywe echa zagrożenia bolszewickiego jako następstwa wojny polsko-bolszewickiej z 1920 roku. Hans Lehndorff opisuje anegdotyczne zdarzenie, jak wspólnie z Heinrichem, strzelając ze śrutówki, rozpędzili rzekome zebranie komunistyczne, które później okazało się spotkaniem rady kościelnej. Wojujący antybolszewizm w Prusach Wschodnich był powszechny. Łączył jednocześnie pokolenie młodych junkrów z ideologią narodowych socjalistów, opartą właśnie m.in. na genetycznym rasizmie i politycznym antybolszewizmie. Wnikliwe badania Stephana Malinowskiego pokazują, że przychylność protestanckich arystokratów dla narodowego socjalizmu na terenach na wschód od Łaby była dużo większa niż np. szlachty w katolickiej Bawarii czy innych południowo-zachodnich prowincjach.

Innym powodem wstępowania do NSDAP była – jak pisze Vollmer – „kalkulacja gospodarcza”, czyli nadrzędny interes majątku. Tak zrobił szwagier Heinricha – Dieter Dönhoff, właściciel Friedrichsteinu pod Królewcem, który z powodu kryzysu gospodarczego popadł w duże kłopoty finansowe. Polityczne otrzeźwienie następowało dopiero, gdy rozpoczęła się wojna, która już nie była tylko abstrakcyjną fanaberią Führera, lecz pociągała za sobą realne ofiary i to wśród najbliższej rodziny. Taki był przypadek kuzyna Hansa – Heinricha von Lehndorffa i jego brata. A sam autor?

Moralna nisza

Postawa Hansa von Lehndorffa wobec narodowego socjalizmu odkrywa jeszcze inną warstwę rzeczywistości lat 30. i 40., mianowicie religijność. W środowisku wschodniopruskich arystokratów dominowali protestanci różnych wyznań. Na początku lat 30. na skutek różnego rodzaju nacisków ze strony zwolenników nazizmu nastąpiło pęknięcie w strukturach Kościoła ewangelickiego. Duża część pastorów w Niemczech, głównie luteran, poparła oficjalnie NSDAP, tworząc w 1932 roku własny Kościół pod nazwą Niemieccy Chryścijanie (Deutsche Christen). Dwa lata później ukształtował się, wspomniany już, antynazistowski Kościół Wyznający. Tzw. walka

Kościółów o dziwo nie doprowadziła natychmiast do represji wobec opozycji, tak więc Kościół Wyznający funkcjonował w opresyjnym otoczeniu przez cały okres panowania nazistów, ale nie uległ likwidacji. Lehdorff nie wspomina o źródłach sprzeciwu ewangelików wyznających, związanych z obroną Kościoła przed aryzacją i antysemityzmem. Nazistowski antysemityzm pojawia się zresztą we *Wspomnieniach* raz, ale zupełnie bezrefleksyjnie, w kontekście jego przyjaciela – lekarza, poety Manfreda Oberdörffera (1910–1941) z Monachium, którego osobowością był zafascynowany. Manfred Oberdörffer był niemieckim specjalistą w dziedzinie trądu. Uważał się też za niemieckiego patriotę zafascynowanego ruchem nazistowskim. W 1933 roku wstąpił do NSDAP i podał swoje pochodzenie jako „aryjskie”. Dopiero później dowiedział się, że wśród jego pradziadków byli Żydzi, co zgodnie z ustawami norymberskimi kwalifikowało go do kategorii „Żyda II stopnia”. Mimo to, po kilkuletniej przerwie, wrócił do służby dla Rzeszy, pracując jako agent wywiadu w nazistowskiej Abwehrze. Zginął podczas misji w Afganistanie prowadzonej pod przykrywką badań nad trądem.

Najszybciej z rodziny Lehdorffów związał się z Kościołem Wyznającym młodszy brat Heinricha, Ahasver, który też od początku był zdeklarowanym antynazistą. Hans włączył się do wspólnoty powoli, od 1937 roku, po sprowadzeniu się do Wystruci. Trafił tu na jednego z przywódców Kościoła Wyznającego, doktora Andreasa Pfalzgrafa, który włączył go do bractwa chrześcijańskiego. Jego istotą było czytanie i egzegeza Biblii. Tą drogą Lehdorff coraz głębiej wchodził w życie gminy Kościoła Wyznającego, który od 1936 roku funkcjonował jako Kościół Wyznający Prus Wschodnich. W 1939 roku z ruchem opozycyjnym miała utożsamiać się ponad połowa wszystkich pastorów pracujących w Prusach Wschodnich. Siłą rzeczy tworzyli oni wsparcie dla swoich członków, choć niektórzy jego czołowi działacze narażeni byli na szykany, z więzieniem włącznie. Fale aresztowań duchownych nastąpiły np. w latach 1937–1938, zwłaszcza w następstwie tzw. kryzysu przysięgowego, gdy także od duchownych zaczęto wymagać złożenia przysięgi na wierność wodzowi Rzeszy. Niezależnie od formalnych związków z Kościołem Wyznającym, faktem nie do pominięcia jest ślub Heinricha Lehdorffa i Gottliebe z domu Kalnein. Otóż ślubu młodej parze w 1937 roku udzielił pastor Martin Niemöller, obok

Dietricha Bonhoeffera najwybitniejsza postać Kościoła Wyznającego. Jak przypuszcza Antje Vollmer, wynikało to z faktu, że już rodzice Heinricha byli zaangażowanymi członkami Kościoła. Nisza Kościoła Wyznającego stała się jedną z nielicznych form ochrony przed narodowosocjalistyczną ideologizacją.

Bilans

Hans hrabia von Lehndorff, pisząc swoje wspomnienia, nie wyszedł z bańki własnej arystokratycznej kasty, tak jak próbowała z powodzeniem przez lata robić Marion hrabina Dönhoff, doczekując się nawet określenia „czerwonej hrabiny”. U większości potomków szlachty pruskiej pobrzmiewał wyraźnie apologetyczny stosunek do dziejów własnej grupy i tzw. etosu pruskich cnót. Podzielałam zdanie gdańskiej germanistki, Miłostawy Borzyszkowskiej-Szewczyk, że jedynie:

Marion Dönhoff była osobą, która wyprowadziła etos pruski poza krainę pamięci zamkniętej grupy, próbowała go upowszechnić i znajdowała w nim kopalnię wartości, które mogłyby uratować współczesny świat, zdominowany przez bezwzględną gospodarkę rynkową i „Marketing-Journalismus”¹⁴.

Z dużym dystansem i krytycyzmem podchodziła też do udziału arystokracji w doprowadzeniu niemieckiej demokracji okresu weimarskiego na skraj politycznej przepaści i przejęcia rządów przez partię Adolfa Hitlera. Tego krytycyzmu zabrakło Hansowi. Swoje wspomnienia kończy opowieścią o drzewie, wielkim dębnie w Sztynorcie, który z niewiadomych powodów musiał zostać ścięty. Mimo że akt cięcia został dokonany, drzewo jeszcze stało – i dopiero dodatkowa siła musiała je powalić. Dla Hansa był to akt symboliczny, jak upadek Niemiec, „tak pięknego cesarstwa, które wszystkim zapewniało przestrzeń i kładło kres wielu kryzysom”. Sprawstwo upadku widział poza sobą i oddziaływaniem arystokratycznej grupy,

¹⁴ M. Borzyszkowska-Szewczyk, *Pamięć dla przyszłości. Literatura wspomnieniowa potomków szlachty pruskiej z Pomorza Zachodniego i Prus Wschodnich po 1945*, Wrocław 2009, s. 197.

do której należał. Niewiele różnił się w tej ocenie od Franza von Papena czy Heinricha Brüninga. Jednak współczesna historiografia nie pozostawia złudzeń: kręgi arystokratyczno-konserwatywne przez swój koniunkturalizm i zadufanie w sobie były współodpowiedzialne za utworzenie NSDAP drogi do władzy.

* Cytaty Hansa von Lehdorffa pochodzą z książki: Hans von Lehdorff, *Wspomnienia z Prus Wschodnich*, tłum. M. Lobert, postawie R. Traba, Warszawa 2025.

Część II
Sposoby pamiętania

O sensie muzealnej opowieści

Nic dwa razy się nie zdarza. A jednak...

Mija dwadzieścia lat od ogłoszenia strategii tzw. nowej polityki historycznej. W 2005 roku pulsowała już nie tylko podskórnym nurtem. Wystrzeliła po raz pierwszy w tle tzw. debaty jedwabieńskiej, wokół książki Jana Tomasza Grossa *Sąsiedzi*. Trajektorię przyszłego sporu wyznaczył opublikowany w 2001 roku na łamach „Rzeczpospolitej” artykuł Andrzeja Nowaka *Westerplatte czy Jedwabne*, z leadem: „Mamy dziś do czynienia ze starciem historii chwały narodowej z historią narodowej hańby”.

Cztery lata później teoretyczną interpretację nowej polityki historycznej stworzyli autorzy bliscy Muzeum Powstania Warszawskiego i krakowskiemu Ośrodkowi Myśli Politycznej, głównie w publikacji pod redakcją Roberta Kostry i Tomasza Merty *Pamięć i odpowiedzialność*. Dariusz Gawin „wspólnotą wstydu” nazwał koncepcję patriotyzmu krytycznego, reprezentowaną rzekomo przez m.in. Michała Bobrzyńskiego, Tadeusza Boya-Żeleńskiego, Jana Józefa Lipskiego, Jana Błońskiego czy Jerzego Jedlickiego.

W opozycji do krytycznego myślenia powstał pomysł „afirmatywnego pisania historii” i przywracania pamięci. Afirmatywność, w odróżnieniu od z imienia i nazwiska określonych reprezentantów historii/pamięci krytycznej, była bezgraniczna i mogli się w niej mieścić wszyscy, łącznie z narodowymi szowinistami. Ulubionym motywem, symbolem stał się mit sarmackiej, jagiellońskiej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Rzeczypospolitej wielkiej i harmonijnie wielokulturowej – kwintesencji chwały i dumy. Równoległe polityka

historyczna wkroczyła w epicentrum walki wyborczej 2005 roku. Wykreowane polaryzujące myślenie kategoriami wstyd albo duma, hańba albo chwała przeniosło się z salonów politycznych do coraz bardziej podzielonej polskiej opinii publicznej i (niestety) na realne, mocno zideologizowane spory historyków.

Dwadzieścia lat po... Richard Butterwick-Pawlikowski, „główny historyk” powstającego Muzeum Historii Polski, na łamach „Gazety Wyborczej” powiedział: „Moim zdaniem, najwięcej w opowieści o polskiej historii powinno być połączenia sukcesu i dumy”. Czytam i nie wierzę. Trochę inaczej, ale nadal w logice jak na początku XXI wieku. Brytyjsko-polski historyk każe nam sobie wyobrazić historię Polski wyznaczoną przez dwie osie: „na jednej jest sukces i duma, a na drugiej porażka i wstyd. Polska martyrologia to pole dumy i porażki, polskie samobiczowanie to pole klęski i wstydu”. Jestem ciekawy, jak prof. Butterwick wpadł na te odkrycia? Na razie widzę w takim budowaniu narracji starą, dobrą zasadę: najpierw trzeba stworzyć jakąś sztucznie wykreowaną rzeczywistość, a następnie na niej rozwinąć swoje tezy. Tak twórcy nowej polityki historycznej na początku XXI wieku wykreowali niepoparty żadnymi sprawdzalnymi badaniami fikcyjny kryzys tożsamościowy Polaków w latach 90. XX wieku, a następnie na tej tezie osadzili uzasadnienie dla swoich koncepcji.

Nie mam pojęcia, dlaczego ceniony badacz osiemnastowiecznej historii Polski chce wepchnąć wyobraźnię Polaków w dychotomię sprzed ćwierć wieku? Tak mamy rozumieć polską historię? Bo co? Lepiej ją zrozumiemy? Złudna nadzieja. Otóż w założeniu „głównego historyka” Muzeum Historii Polski „nie da się zadowolić wszystkich” zwiedzających Muzeum (ciekawe, czy kiedykolwiek, gdziekolwiek się udało?). A skoro tak, to „będziemy się starać spełnić oczekiwania przede wszystkim tych ze środka”. Gdyby państwo spodziewali się teraz jakiegoś bliższego określenia, kim są ci „ze środka”, to nic bardziej mylnego. Po prostu musimy zawierzyć, że ci ze „środka” są najlepsi, bo „nie mają łatwo w epoce wojen polsko-polskich”. I właśnie dla nich, ku pokrzepieniu serc, powstanie wystawa. Bingo! Retoryczne pytanie: Czy w tym środku bym zmieścił się ja? Czy są specjalne przepustki do „środka”? A co z „ekstremistami” wykluczonymi przez swój krytyczny patriotyzm?

Ale tych kreacji z rękawa nie koniec. „Prześlanie wystawy stałej nie może być pretekstem do zbiorowego samobiczowania”.

Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek ktoś chciał się samobiczować, tworząc Muzeum. „Dzieje Polski miały różne momenty, lepsze i gorsze, ale tych lepszych było znacznie więcej. Dlatego, moim zdaniem, największy nacisk powinniśmy położyć na część poświęconą sukcesom i dumie”. Lepsze i gorsze momenty! Czy rzeczywiście na tym ma polegać sens merytorycznych założeń wystawy głównej w Muzeum?

Wydawało mi się, że po artykule Pawła Machcewicza, pt. *Westerplatte, i Jedwabne*, który był odpowiedzią na dychotomizację historii przez Andrzeja Nowaka, po fali głębokiej debaty z lat 2005–2007, wyrośliśmy już na zawsze z ideologiczno-naiwnej skłonności do opowiadania historii, przynajmniej wśród profesjonalnych historyków. Przypomnę, że Machcewicz w kontrze do tez krakowskiego historyka pisał m.in.: „Być Polakiem, to (między innymi) być dumnym z Westerplatte i wstydić się za Jedwabne, bo wtedy tradycja będzie zarówno bliska prawdzie historycznej, jak i żywa”. Po wypowiedziach Richarda Butterwicka-Pawlikowskiego trochę zwątpiłem, że nasze myślenie o historii wyszło ze ślepego zaułka politycznego współczesnej Polski.

W 2006 roku minister kultury Kazimierz Ujazdowski ogłosił powstanie Muzeum Wolności (bo tak miało się nazywać przyszłe Muzeum Historii Polski), które pomieści wszystkie pozytywne epizody z dziejów Polski. Pytałem wówczas z niepokojem na łamach „Gazety Wyborczej” (*Jaka historia, takie Muzeum!*, nr 121, 25.05.2006), czy rzeczywiście na prawdziwy obraz naszej przeszłości składa się tylko część prawdy historycznej? Dziś z niepokojem przyjmuję tezy Richarda Butterwicka-Pawlikowskiego. Wydają mi się archaiczne i cofające polską debatę o historii. Przypomnę chociażby ostatnią, wielopłaszczyznową debatę na XX Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich w Lublinie (2019): „Jakiej historii Polacy dzisiaj potrzebują?”.

W naukowej debacie pojawiły się inspirujące perspektywy badań i opowieści historii narodowych, jak chociażby *shared history*, *l'histoire croisée*, *divided memory* czy – bliska mi szczególnie – historia wzajemnych oddziaływań. Na wielu przykładach pokazują one, że historyk nie musi być więźniem publicznych, polaryzujących dyskursów politycznych, by badać i opowiadać narodowe historie. Dotyczy to również wystaw muzealnych, a nawet podręczników

szkolnych, czego najlepszym przykładem jest drugi na świecie bilateralny podręcznik do nauki historii w Polsce i Niemczech *Europa. Nasza historia*. Koncept pamięci agonistycznej, dający możliwość dialogicznej opowieści muzealnej, jest jednym z wyzwań dla tworzenia wystaw w muzeach historycznych. Namiastką takiej agonistycznej narracji była w wykonaniu Butterwicka-Pawlikowskiego opowieść o Hugonie Kołłątaju. Chciałoby się więcej...

Znając niektórych twórców wystawy oraz członków Rady Naukowej, wierzę, że wystawa stała Muzeum Historii Polski nie będzie jednak tylko szampowym szukaniem złotego środka, lecz odważną, nowatorską ofertą muzealną skierowaną ku przyszłości, ku chwale przede wszystkim myślenia historycznego. Myślę, że wtedy przyjdą na taką wystawę nie tylko ci z enigmatycznego „środka”, lecz również po prostu zainteresowani polscy i zagraniczni zwiedzający.

Wojna w kulturze pamięci. Rozmowa

Igor Rakowski-Kłós (PAP): Czym się różnią kultury pamięci w Niemczech i w Polsce?

Robert Traba: Po pierwsze, każda kultura pamięci jest inna. Nie tylko w porównaniu z krajami sąsiednimi, lecz także w konfrontacji z każdym innym narodem. Wynika to ze specyfiki rozwoju społeczno-politycznego, tradycji i doświadczeń kulturowych. Po drugie, nie istnieje jedna, uniwersalna kultura pamięci Polaków, Niemców itp. To, co rozumiemy jako „pamięć kulturową Polaków”, składa się z wielu warstw i różnych sposobów pamiętania, w zależności od regionu, pozycji społecznej, wyznania czy płci. Państwo jako najsilniejszy kreator pamięci zbiorowej próbuje wyznaczać narodowy kanon pamiętania. Im bardziej rządy są autorytarne, tym bardziej ten kanon jest zamknięty, jednorodny, antagonistyczny, czyli wykluczający pamięci mniejszościowe. Podobnie jest w przypadku Niemców. Dlatego prosta odpowiedź na Pana pytanie prowadziłaby do błędnego wrażenia, że istnieją monolityczne narodowe pamięci Polaków i Niemców. Tymczasem wystarczy spojrzeć na konflikty pamięci toczony w Polsce. Różnice między naszymi krajami istnieją, ale dotyczą przede wszystkim samych procesów kształtowania pamięci.

Jakie to procesy?

Kiedyś przygotowałem analityczne studium dotyczące muzeów martyrologicznych. W Polsce pierwsze takie muzeum powstało już w listopadzie 1944 roku na Majdanku. Niedługo później powstały

kolejne, w Auschwitz i Stutthofie. Temat okupacyjnego cierpienia żył w Polsce nieprzerwanie, nawet w PRL, w warunkach ograniczonej suwerenności. Był oczywiście wykorzystywany politycznie, ale pozostawał obecny w przestrzeni publicznej.

W Niemczech pierwsze muzeum tego typu – Gedenkstätte w Dachau – otwarto dopiero w 1965 roku. Pięć lat wcześniej powstało Gedenkstätte w Sachsenhausen, jednak komentarze zachodnioniemieckiej prasy koncentrowały się nie na ofiarach, lecz na fakcie, że po wojnie obóz był wykorzystywany także przez NKWD. Lekceważono przy tym obecność tysięcy byłych więźniów, którzy przyjechali na uroczystości otwarcia. To pokazuje pierwszą strukturalną różnicę między Polską a Niemcami, czyli nierówność procesów pamiętania.

Jaka jest druga?

Druga różnica wynikała z kontekstu zimnej wojny. W Niemczech pamięć o II wojnie światowej ukształtowała m.in. słynna mowa Winstona Churchilla z 1946 roku w Zurychu, w której głosił prawo do zapominania – *ius oblivionis* – po to, by w obliczu ogromu zbrodni i niemocy ich natychmiastowego przepracowania móc budować demokrację. Ten czas przemilczania trwał do lat 60. Ale proszę zwrócić uwagę, że na przykład we Francji aż do lat 90. wypierano z publicznej debaty ciemne strony francuskiej kolaboracji, zbrodnicze decyzje wobec Żydów rządu Vichy itp. Mit fundacyjny IV i V Republiki to przede wszystkim bohaterstwo *Résistance* – francuskiego ruchu oporu.

W Polsce było inaczej. Nie było czasu na indywidualną czy grupową terapię ocalałych ofiar. Polacy jako ofiary niemieckiej agresji i zbrodniczej okupacji stali się częścią bieżącej polityki. Zostali włączeni w narodowo-komunistyczny dyskurs, w którym podkreślano, że jedynym obrońcą Polski był Związek Sowiecki. Zmarginalizowano ruch oporu, głównie do Armii Ludowej, Gwardii Ludowej i ewentualnie Batalionów Chłopskich. W NRD pamięć o wojnie została podporządkowana budowaniu nowej tożsamości antyfaszystowskiej. Była ona fikcyjna, bo w rzeczywistości wschodnie Niemcy ukrywały wielu dawnych nazistów. Paradoks czy ironia historii polegały dodatkowo na tym, że jedynie w NRD mówiono o „bohaterstwie polskich żołnierzy”, fundując im w 1972 roku Pomnik

Żołnierza Polskiego i Niemieckiego Antyfaszysty w berlińskim Parku Friedrichshain.

Po 1968 roku w RFN nastąpił przetom. Po procesach Adolfa Eichmanna, po procesach załogi Auschwitz i Majdanka, wiedza o zbrodniach stała się powszechna. Pojawiły się dwa zjawiska: indywidualizacja pamięci oraz przekształcenie Holokaustu w fundament tożsamości zachodnich Niemiec. Symbolicznym momentem było wyemitowanie w 1979 roku amerykańskiego serialu *Holocaust* z Meryl Streep, który „upowszechnił” wiedzę o Zagładzie w szerokiej świadomości społecznej. Jednocześnie pamięć Niemców obejmowała też własne doświadczenia: klęskę pod Stalingradem, bombardowania Drezna, Hamburga czy Kolonii, a na końcu wojny – przymusowe wysiedlenia, które zakorzenione zostały w pamięci zbiorowej jako „wypędzenia” czy „prawo do utraconej ziemi rodzimej”.

To nie mogło się utożycić w spójny obraz z polskim doświadczeniem. U nas okupacja była równoznaczna z walką o biologiczne przetrwanie narodu. W Niemczech okupacja – *Besatzung* – kojarzy się przede wszystkim z podziałem kraju na strefy okupacyjne po 1945 roku, a nie z doświadczeniem masowej zagłady i terroru. To semantyczne niezrozumienie dobrze pokazuje różnicę między polską a niemiecką pamięcią, mówiąc w dużym uproszczeniu. Niemcy ciągle nie do końca rozumieją, dlaczego Polacy tak mocno podkreślają własne doświadczenie okupacji, bo nie znają jej w takim znaczeniu, jakiego doświadczyło polskie społeczeństwo.

Jaka jest potoczna wiedza w Niemczech o polskiej okupacji podczas II wojny światowej?

Zaryzykuję tezę, której jednak nie jestem w stanie potwierdzić konkretnymi miernikami, że potoczna znajomość niemieckiej okupacji Polski jest w Niemczech bliska zeru.

W 2018 roku byłem w zespole analizującym niemieckie podręczniki szkolne, a było ich wtedy na rynku około czterdziestu, i tylko dwa z nich wspominały o powstaniu warszawskim. Kilka, choć nie wszystkie, odnotowywały powstanie w getcie warszawskim. Natomiast pojęcie Generalne Gubernatorstwo (*Generalgouvernement*), czyli coś, co powinno być elementarzem historii Europy w czasie II wojny, bo było największym laboratorium śmierci w dziejach

ludzkości, nie pojawiło się w żadnym podręczniku. O „akcji Reinhardt”, największej machinie zbrodni, w wyniku której w ciągu półtora roku zostało zamordowanych ponad milion osiemset tysięcy Żydów, nie było w ogóle mowy. Są oczywiście środowiska, które pielęgnują inną pamięć, ale znajdują się w niewielkiej mniejszości.

Czy ten brak wiedzy jest wynikiem braku niemieckich badań?

Paradoks polega na tym, że gdy spojrzymy na dorobek niemieckiej nauki – szczególnie generacji badaczy pięćdziesiąt plus, a nawet młodszych, trzydzieści plus – to badań na temat wojny i okupacji w Polsce powstało w Niemczech znacznie więcej niż w samej Polsce w ostatnich trzydziestu latach. Po 1990 roku polska historiografia przesunęła wysiłek w stronę tematów wcześniej zakazanych: przede wszystkim okupacji sowieckiej i sowieckich zbrodni. W naturalny sposób wyparto z pola badań kwestie niemieckiej okupacji, mimo znakomitego dorobku wcześniejszych pokoleń badaczy: Czesława Madajczyka, Mariana Wojciechowskiego, Tomasza Szaroty czy Czesława Łuczaka. Ich dzieło nie doczekało się kontynuacji. Obrazu nie zmieniają głównie przyczynkarskie publikacje Instytutu Pamięci Narodowej. Nie zdążyły się rozwinąć prace badawcze Muzeum II Wojny Światowej, w zespole kierowanym przez profesora Pawła Machcewicza. W tym czasie niemieccy historycy prowadzili coraz głębsze studia nad okupacją Polski. Prace takich niemieckich historyków, jak Jochen Böhrer, Stephan Lehnstaedt, Maren Röger czy Dieter Pohl, są kamieniami milowymi w badaniach dotyczących okupacji. Ci badacze nie tylko badają historię Polski, ale mogliby proponować polskim badaczkom i badaczom tematy, ponieważ zajmują się tymi sprawami od lat. Muszę to powiedzieć wyraźnie: niemiecka nauka w badaniu wojny i okupacji w Polsce wyprzedziła polską naukę.

Dzisiaj powstaje chyba tylko jedna wspólna praca, która może być impulsem dla następnej generacji. Pod kierunkiem Pawła Machcewicza i Stephana Lehnstaedta nad tomem *Polska pod okupacją niemiecką 1939–1945* pracuje polsko-niemiecki zespół badawczy, który przygotowuje syntezę wszystkich ważnych aspektów historii polsko-niemieckich stosunków w latach 1939–1945. Publikacja ukaże się po polsku i po niemiecku. Będzie zawierać rozdziały m.in. o niemieckich planach okupacyjnych, polityce wyzysku

i eksterminacji, życiu codziennym i ruchu oporu, nie pomijając kwestii współpracy z okupantem.

Jaka mogłaby być polska reakcja na wspomniane zaniedbania?

Odpowiedzią mogłoby być powołanie Instytutu Badań nad Okupacją, o czym mówiłem publicznie już dziesięć lat temu, gdy wydaliśmy wspólnie z Anną Wolff-Powęską i Katarzyną Woniak tom „*Fikcyjna rzeczywistość*”, który podsumowywał stan badań nad niemiecką okupacją i wskazywał nowe tematy, szczególnie z historii codzienności. Polska z racji własnych doświadczeń i posiadanych podstaw badawczych mogłaby stać się centrum międzynarodowych badań nad tym zjawiskiem. Okupacje były, są i będą, więc warto stworzyć ośrodek, który w poważny sposób podejmowałby to zagadnienie. Taki instytut mógłby być jednym z priorytetów polityki państwa rozumiejącego zadania, jakie stawia przed nami historia.

Tę lukę mógł wypełnić w wymiarze edukacyjnym polsko-niemiecki podręcznik *Europa. Nasza historia*. Mówię o tym w czasie przeszłym, ponieważ to koło zamachowe, które uruchomione zostało w 2008 roku, zostało zatrzymane w 2020, po opublikowaniu ostatniego, czwartego tomu. W Polsce stało się tak za sprawą nacjonalistycznych tendencji ministra edukacji Przemysława Czarnka, który sprowokował ideologiczną recenzję Grzegorza Kucharczyka, uniemożliwiającą dopuszczenie podręcznika do użytku szkolnego. Trzeba pamiętać, że w polskim systemie są materiały pomocnicze i podręczniki – negatywna recenzja sprawiła, że ten projekt pozostał jedynie w pierwszej kategorii i nie mógł wejść do powszechnej edukacji.

W Niemczech sytuacja była inna, ale równie rozczarowująca. Mimo że czwarty tom podręcznika poświęcony XX wiekowi otrzymał najważniejsze wyróżnienie na międzynarodowych targach edukacji Didacta w 2021 roku jako najlepszy podręcznik do historii współczesnej, niemieccy politycy nic nie zrobili, by uczniowie mogli się z niego uczyć. Po stronie polskiej zablokowały go względy ideologiczne, po stronie niemieckiej – polityczny oportunizm.

Efekt jest taki, że koło zamachowe nie zostało ponownie uruchomione z tym impetem, z jakim mogło. Materiał istnieje, ale podręcznika w Polsce nikt nie drukuje. Co więcej, polskie instytuty

w Niemczech, zamiast wspierać własne wydanie, kupują wersję niemiecką, by udostępnić ją niemieckim nauczycielom. A przecież nie o to chodziło. Ideą było stworzenie wspólnego podręcznika, funkcjonującego zarówno w Polsce, jak i w Niemczech, prezentującego identyczną narrację o XX wieku. Treść obejmowała całą historię w czterech tomach, ale to właśnie tom czwarty o wieku XX zawierał wyjątkowo obszerną część dotyczącą Europy Wschodniej i Polski. W żadnym innym podręczniku na świecie, nie tylko niemieckim, nie ma tak szczegółowego i rzetelnego ujęcia tych tematów. To była ogromna szansa – szansa stracona przez krótkowzroczność polityków, ideologiczne uprzedzenia i oportunizm, a także przez niektórych kolegów po fachu, którzy na polityczne zlecenie pisali negatywne recenzje.

W lipcu ubiegłego roku polskie Ministerstwo Edukacji Narodowej dopuściło do użytku szkolnego ostatnią część podręcznika *Europa. Nasza historia*.

To jest kolejna gra pozorów. Sam fakt dopuszczenia podręcznika niewiele znaczy. Każdy tom kończył się uroczystym spotkaniem z udziałem ministrów, prezentowany był jako kolejne wspólne dzieło – i tak aż do czwartego tomu. Jednak ani on, ani całość projektu nigdy nie zostały politycznie docenione na miarę, na jaką zasługiwały.

Kiedy otrzymaliśmy europejską nagrodę za ten podręcznik, francuski historyk Étienne François – współautor pierwszego na świecie francusko-niemieckiego podręcznika – powiedział: „Zrobiliście to dużo lepiej”. I miał rację. Stworzyliśmy prawdziwy podręcznik – taki, z którego można się uczyć zarówno w Düsseldorfie czy Fryburgu, jak i w Meklemburgii czy Brandenburgii, a także w Polsce.

Narracja była skonstruowana tak jak w zwyczajnym podręczniku, a przykłady koncentrowały się na Polsce i Niemczech, zwłaszcza na Śląsku i Alzacji, ale całość miała charakter uniwersalny. To był podręcznik konkurencyjny wobec wszystkich innych, a moim zdaniem – najlepszy.

Straciliśmy szansę w dwójnasób. Straciliśmy ją wewnętrznie, bo nie potrafiliśmy wykorzystać własnego osiągnięcia, i straciliśmy ją w relacjach polsko-niemieckich. To mogło być narzędzie

polskiego *soft power*, które zwłaszcza po przetłumaczeniu na angielski mogłoby funkcjonować nie tylko w Niemczech, lecz w całej Europie.

Jakie będą skutki dalszych zaniedbań na gruncie polsko-niemieckich badań?

Blisko dziesięć lat temu zakończyłem największy naukowy projekt polsko-niemiecki, realizowany z udziałem stu siedemnastu autorek i autorów z sześciu krajów: *Polsko-niemieckie miejsca pamięci*. Chodziło o to, by spróbować zrozumieć, dlaczego, odnosząc się do tych samych wydarzeń, postaci czy symboli, pamiętamy je tak odmiennie, czasem wręcz konfrontacyjnie. Chciałem, by to dzieło ukazało się w renomowanym niemieckim wydawnictwie Beck – jednym z najpoważniejszych w Europie. Usłyszałem jednak, że projekt jest „za mało europejski”. Strasznie się wtedy zdenerwowałem i powiedziałem redaktorowi: „Zobaczy pan, i tak to wydam”. I tak też się stało. Ale proszę pomyśleć: dwa kraje, które razem stanowiły kiedyś jedną trzecią Europy, miałyby być „za mało europejskie”? A przecież właśnie poprzez nasze bilateralne doświadczenie można opowiadać całą historię Europy.

Trzeba pamiętać, że już w 1972 roku powstała Wspólna Polsko-Niemiecka Komisja Podręcznikowa Historyków i Geografów – pierwsza instytucjonalna próba wspólnego badania i rozumienia historii. To było jak koło zamachowe liberalnego, otwartego myślenia w samym środku PRL-u. Jeśli dziś nie będziemy rozwijać tamtego dorobku, to stracimy możliwość opowiadania Europy poprzez relacje Polski i Niemiec. Bo w tych relacjach koncentrujemy się na najważniejszych wydarzeniach nie tylko XX wieku, ale i wcześniejszych dziejów. Niestety, wiele już zmarnowano. Dziewięciotomowe *Polsko-niemieckie miejsca pamięci* nie funkcjonują w sieci, nikt nie zadbał o ich upowszechnienie. Podobnie jest z podręcznikiem. Pewne rzeczy zostały zaprzepaszczone.

Jeśli sytuacja się nie zmieni – mówię to ze szczególnym akcentem na stronę niemiecką – jeśli Niemcy nie uznają ważniejszej roli Polski w swoim dyskursie publicznym, nie tylko historycznym, ale i współczesnym, to powstanie luka tożsamościowa. A jeśli w Polsce dalej będziemy sztucznie podsycać lęki antyniemieckie, w których lubuje się polska prawica, wyłącznie w koniunkturalnych celach

politycznych, to efekt będzie równie fatalny. I nie chodzi tylko o obraz Niemca jako „wiecznego wroga”, ale też o antagonistyczny typ myślenia, na którego gruncie może wyrosnąć każda faszystowska czy nacjonalistyczna ideologia.

Jesteśmy w największym kryzysie w relacjach polsko-niemieckich od trzydziestu lat. W Niemczech Polska nadal pozostaje na dalekim marginesie polityki. Interesują się nią pasjonaci, towarzystwa polsko-niemieckie czy przyjaciele Polski, ale to wciąż za mało. Brakuje politycznego sygnału, że ten dorobek ma być pokazany światu. Oddolne inicjatywy są niezwykle ważne, ale sukces można osiągnąć tylko łącząc je z odgórną polityką. A przecież dorobek jest ogromny i wciąż do wykorzystania. Co należy robić? Polityka – aktywna, z otwartą przyłbicą – powinna wypromować nową jakość relacji polsko-niemieckich. Relacji, które mogłyby stać się zwornikiem i impulsem dla całej Unii Europejskiej.

Zakończenie wojny trwa wiecznie...

„Jakiej historii II wojny światowej młode pokolenia Polaków potrzebują?” – na to pytanie, które postawiła redakcja periodyku „Varia”, wydawanego przez Państwowe Muzeum na Majdanku, najlepsza jest prosta odpowiedź: A skąd mam wiedzieć? Spytajcie młode pokolenia! Nie znam badań socjologicznych na ten temat, mogę więc jedynie na pytanie odpowiedzieć pytaniem: A skąd wiecie, że młode pokolenia Polaków w ogóle będą potrzebowały nowej opowieści o II wojnie światowej? W końcu wystarczająco dramaturgii dostarczają nam współczesne wojny, szczególnie ta za polską granicą wschodnią, której końca (mimo amerykańskich zapowiedzi) nie widać, i wcale nie jest pewne, jak dalej może eskalować. Ponadto jest raczej wiedzą bezdyskusyjną, że młodzież z natury lokuje swoje zainteresowania poza sferą realnej polityki i ciągle faktograficznie zorientowanego nauczania historii w szkole. Ponieważ historia jako dziedzina nauki jest wśród kierunków humanistycznych najmniej kompetentna, jeżeli chodzi o projektowanie przyszłości, mogę jedynie poszukiwać odpowiedzi w teoriach pamięciologicznych, a także własnym doświadczeniu zebranych podczas badań relacji polsko-niemieckich oraz praktyk kulturowych i edukacyjnych.

W 2012 roku, wraz z grupą kilkunastu członków Rady Ekspertów uczestniczących w polsko-niemieckim projekcie „Podręcznik do historii”, sformułowaliśmy *Zalecenia* dla przyszłych autorów drugiego na świecie bilateralnego podręcznika oraz dla nauczycieli:

Z punktu widzenia historii świata problemy reżimów autorytarnych, wojny, pokoju i form oporu nie straciły na znaczeniu. Należy tu wspomnieć

nie tylko o takich erupcjach przemocy i zbrodniach ludobójstwa, jakich doświadczyli ludzie po 1990 roku na Bałkanach, Kaukazie czy w Ruadzie, lecz także o dyskutowanym na nowo rozumieniu wojny jako uprawnionego środka zabezpieczenia pokoju i zwalczania terroryzmu¹⁵.

Wierzyliśmy jednocześnie, że doświadczenie obu wojen światowych „trwale podważyło wojnę jako instrument prowadzenia polityki”. Brutalna agresja Rosji na Ukrainę uświadomiła, że ani pamięć o wojnie i jej ofiarach nie jest wieczna, ani uczenie się z błędów przeszłości wcale nie broni nas przed ich powtarzaniem. Na dodatek w czasach tzw. postprawdy każda manipulacja przeszłością może znaleźć grono swoich gorliwych wyznawców, czego najlepszym przykładem jest rosyjska propaganda „wojny obronnej”. Nieodłącznym elementem tzw. ruskiego miru jest bowiem dezinformacja zarówno w Rosji, jak i za granicą. Z drugiej strony jednak, poza ekstremalnym, bratobójczym przypadkiem narodów Jugosławii, Europa przetrwała prawie osiemdziesiąt lat bez wojny, a wyzwolenie spod dominacji sowiecko-komunistycznej nastąpiło w większości na drodze pokojowych przekształceń bądź rewolucji.

Podstawą tego stanu rzeczy była konstrukcja ideowa Europy, zorganizowana wokół krytycznego przerobienia przyczyn tragedii dwóch wojen światowych. Była ona skoncentrowana na trzech zasadach: współzależności gospodarczej, multilateralizmie politycznym, którego centrum w drodze ewolucji stała się Unia Europejska, oraz wspólnocie wartości, opartej na prawach człowieka. Dziś ta z trudem wypracowana konstrukcja ulega destrukcji zarówno z powodu wewnętrznego kryzysu, jak i – jeszcze bardziej – pod wpływem zewnętrznych ingerencji: agresywnej polityki rosyjskiej oraz w wyniku nowego imperializmu amerykańskiego, który nieoczekiwanie wspiera siły antydemokratyczne w Europie, żerując głównie na kryzysie uchodźczo-migracyjnym.

W sferze wartości ważnym procesem ku silnej Europie może czy wręcz powinno się stać atrakcyjne edukacyjnie nauczanie historii, bo jednym z fenomenów Europy była nie tylko siła gospodarcza,

¹⁵ *Podręcznik do historii. Projekt polsko-niemiecki. Zalecenia*, Warszawa 2012, <https://schulbuchkommission.eu/wp-content/uploads/podrecznik-do-historii-zalecenia-druk.pdf> (12.01.2026).

polityczna i militarna, lecz również umiejętność uczenia się z własnych błędów. A tych w historii Europy jest dużo. Zdolność do negocjacji po najgorszych wojnach, szukanie pola dialogu to właśnie ta siła, którą może m.in. wygenerować odpowiednie przerabianie tragicznych zdarzeń z przeszłości. Nie wiem – wracając jeszcze raz do redakcyjnego pytania – czego potrzebuje młode pokolenie w Polsce. Wiem, że Europa, a z nią Polska, potrzebuje dobrego, krytycznego rozumienia własnej historii, w tym II wojny światowej i całego kontekstu wydarzeń, które nie tylko podczas niej dokonały się, lecz które do niej doprowadziły. Zwroty takie jak „Monachium. Nigdy więcej!”, „ludobójstwo”, „wojna na wyniszczenie”, „ruch oporu”, „Generalne Gubernatorstwo jako laboratorium okupacji” czy „porządek jałtańsko-poczdamski” w przewidywalnym horyzoncie czasowym nie powinny stać się pustymi frazesami, lecz pełnymi treści tematami uczenia historii.

Saeculum

Znajdujemy się w przelomowej fazie pulsowania pamięci o II wojnie światowej. Jan Assmann (potem Harald Welzer) za belgijskim historykiem i antropologiem Janem Vansiną trafnie sformułował tezę, że pamięć komunikacyjna dochodzi do momentu przelomowego po około osiemdziesięciu/stu latach (sto = *saeculum*), wraz z odchodzeniem generacji świadków historii. Znaczy to tyle, że po śmierci ostatnich jej przedstawicieli zerwany zostaje łańcuch komunikacyjny i pamięć wchodzi w fazę nowych kulturowych procesów poprzez rytualizację opowieści czy upamiętnienia (np. pomniki) oraz instytucjonalizację (np. muzea). Pamięć komunikacyjna i pamięć kulturowa nie muszą być procesami ściśle następującymi po sobie (np. fenomen Jana Pawła II), ale tak się dzieje najczęściej. Faza przejścia wpływa na wzmożenie procesów komemoracyjnych, co obserwujemy w Europie od lat 90. XX wieku.

To dobrze. Ofiary mogą wykrzyknąć swój ból, my możemy wsłuchać się dzięki nim w autentyczny głos świadków wojennej tragedii. Nie ma lepszego medium, które porusza pokolenia nieznaące wojny. Wystarczy przywołać głos Mariana Turskiego, więźnia Auschwitz, rocznik 1926, z okazji osiemdziesiątej rocznicy wyzwolenia obozu:

Drodzy przyjaciele, od co najmniej dwóch tysięcy lat naszej cywilizacji towarzyszy wizja apokalipsy. [...] Wojna, zaraza, głód i śmierć. Ludzie są porażeni strachem, sparaliżowani tym strachem. Czują się całkowicie bezradni. Co zrobić? [...] Nie bać się! Nie bójmy się przekonywać samych siebie, że można rozwiązywać problemy między sąsiadami. Od setek lat na różnych kontynentach różne narody, narodowości lub grupy etniczne mieszały i żyły obok siebie i między sobą. Uprzedzenia wzajemne, hejtowanie, nienawiść doprowadzały do konfliktów zbrojnych między tymi sąsiadującymi narodami i grupami etnicznymi. Kończyło się to zawsze przelewem krwi. Ale są na szczęście doświadczenia pozytywne, gdy obie strony dochodzą do wniosku, że nie mają innego sposobu zapewnienia spokojnego, bezpiecznego życia swoim dzieciom, wnukom, przyszłym pokoleniom niż doprowadzenie do kompromisu. Powołam się na dwa przykłady z Europy, Niemcy i Francuzi, Polacy i Litwini¹⁶.

Ten głos, bez zbędnych komentarzy, brzmi jak przesłanie na temat sposobu pamiętania i postawy wobec zagrożeń współczesności. Jak my, historycy, edukatorzy, nauczyciele czy ludzie kultury, będziemy sobie radzić z opowieścią o wojnie bez takich autentycznych wypowiedzi? W dydaktyce historii głos świadków dramatycznych zdarzeń stał się trwałą i efektywnym sposobem poznania oraz rozumienia przeszłości. Ich nie zastąpi nikt. Muzealnicy w autentycznych miejscach upamiętniania – muzeach martyrologicznych, takich jak np. Państwowe Muzeum na Majdanku, w Stutthofie czy Auschwitz – będą nadal wykorzystywać przestrzeń i zgromadzone artefakty, by opowiadać historie obozowych tragedii. Być może sztuka, literatura, film dostarczą nowych inspiracji w dotarciu do wyobraźni młodych ludzi w drodze do poznania przeszłości?

Swoje *saeculum* przeżyła już I wojna światowa. W jej wyniku powołano pod broń ponad 3 miliony Polaków, którzy stali się obywatelami przyszłego państwa polskiego. Na polach bitew i wśród cywilów poległo ponad 900 tysięcy Polaków i drugie tyle zostało ciężko okaleczonych (dane szacunkowe). Najpierw kreowanie mitu Niepodległej w II Rzeczypospolitej, a potem hekatomba zbrodni

¹⁶ Przemówienie Mariana Turckiego w 80. rocznicę wyzwolenia Auschwitz, Polin. Muzeum Historii Żydów Polskich, <https://polin.pl/pl/przemowienie-mariana-turskiego-w-80-rocznice-wyzwolenia-auschwitz> (12.01.2026).

II wojny światowej wyparty realny przebieg działań pierwszowojennych na ziemiach polskich. Jak można było czcić pamięć Polaków – żołnierzy austriackich, pruskich czy rosyjskich, kiedy Polska potrzebowała konsolidacji tożsamościowej? Już pamięć komunikacyjna zepchnęła ich z głównego nurtu opowieści o wojnie, który prawie w pełni zajęty został przez Marszałka Józefa Piłsudskiego i „pierwszą kadrową”. Daleko w tle pozostawał jedynie epizod spalenia Kalisza z powieści Marii Dąbrowskiej *Noce i dnie*.

Paradoksalnie, dopiero teraz w pamięci kulturowej wraca motyw zwykłych uczestników wojny, Polaków i nie-Polaków. Odnawiane są cmentarze na dawnych obszarach Galicji Zachodniej i w południowych Prusach Wschodnich, niezależnie od tego, kto został na nich pochowany. Cmentarz w Łużnej, koło Gorlic, otrzymał w 2015 roku, jako jeden z czterech polskich obiektów/zdarzeń (akt unii lubelskiej, Konstytucja 3 maja, 21 postulatów „Solidarności”), tytuł Europejskiego Znak Dziedzictwa. Do dziś jednak nie stworzyliśmy stosownego muzeum, które opowiedziałoby jeden z najtragiczniejszych epizodów I wojny światowej, czyli tzw. operację gorlicką. Czyżby dlatego, że ta walka nie była całkiem nasza? Nieznajomość tragedii więzienia-obozu Sonnenburg w dzisiejszym Słońsku koło Kostrzyna nad Odrą, gdzie w wyniku nazistowskiej akcji Noc i mgła zginęli przedstawiciele zachodnioeuropejskiego ruchu oporu, potwierdzałyby tezę, że czcimy przede wszystkim „nasze ofiary”. Jeszcze drastyczniejsza niepamięć dotyczy zbrodni ludobójstwa Żydów w tzw. akcji Reinhardt czy pierwszego obozu zagłady Kulmhof w Chełmnie nad Nerem. Same liczby nie są w stanie przemówić do wyobraźni młodego człowieka. A może jest tak, że my jako społeczeństwo obiektywnie nie jesteśmy w stanie przerobić ogromu zbrodni, które popełnione zostały przez Niemców na terenie dzisiejszej Polski?

Co stanie się z pamięcią o II wojnie światowej w roku 2045, gdy odejdą ostatni jej świadkowie? Czy ulegnie uhistorycznieniu i dzięki temu na tyle opadną emocje, że jej tożsamościotwórczy aspekt oddziaływania straci na znaczeniu i będziemy mogli więcej opowiedzieć niż dziś? Dominująca obecnie zarówno w dydaktyce szkolnej, jak i w oficjalnie promowanej polityce pamięci opowieść o Polsce w wieku XX jako ofierze dwóch totalitaryzmów jest ślepą uliczką rozumienia historii. W otaczającym nas realnie świecie

wojny i zbrodnie dokonywane są niekoniecznie przez państwa totalitarne. Być może istotą opowieści powinny stać się proces łamania demokracji i wiara w siłę sprawczą dyktatur bądź różnego rodzaju imperializmów? W tym sensie mechanizmy antydemokratyczne lat 20. i 30. XX wieku wcale nie są tak różne od zdarzeń bieżącej dekady XXI wieku.

O złej i dobrej pamięci

W samym procesie pamiętania i upamiętniania tkwi też niebezpieczeństwo. Pamięć może być również zmanipulowana trucizną różnych ideologii. Przed laty niemiecki intelektualista, historyczny semiotyk, Reinhart Koselleck, ostrzegał przed dominacją pamięci nad historią. Pamięć zawsze czegoś chce, musi coś legitymizować. Wystarczy przywołać proces fałszywego utrwalenia w Polsce kultu tzw. żołnierzy wyklętych. Prawdę historyczną o zróżnicowanym podziemiu antykomunistycznym wyparł mit oparty na pamięci zmanipulowanej. Ale skoro jest już ustawowo ustanowiony Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”, warto wykorzystywać go nie tylko do upamiętniania autentycznych bohaterów, lecz także do pokazywania skomplikowanej, czasami sprzecznej z intencjami ustawodawców, nie biało-czarnej historii.

Taki sens ma pamięć agonistyczna, oparta na zasadzie wieloperspektywiczności współczesnych zdarzeniom źródeł i kontrowersyjności późniejszych interpretacji przeszłości. Na bazie tych zasad pomyślnie zbudowany został wspomniany na początku polsko-niemiecki projekt podręcznika do historii. Jego ostatni, czwarty tom *Europa. Nasza historia* ukazał się w Polsce pięć lat temu i do dziś, z powodu politycznej cenzury, nie wszedł do szkolnego użytku.

Wśród tzw. środowisk konserwatywnych, narodowych i katolicko-narodowych w Polsce dominuje obawa, że przez krytyczne, dialogiczne myślenie nastąpi utrata „polskości”, rozumianej jako monolityczna konstrukcja Polaka bohatera bądź ofiary. Prawdziwy dylemat polega więc na tym, czy mamy się poddać narodowym fobiom i tworzyć bezkrytyczną afirmację dziejów narodowych? Czy też powinniśmy tworzyć programy nauczania tak, by ich sednem było rozumienie historii, postrzeganie Polski w perspektywie sąsiedzkiej i europejskiej historii wzajemnych oddziaływań? Od wyboru

jednej z tych opcji w dużej mierze zależeć będzie, jakiego wychowamy obywatela w połowie XXI wieku.

Od 2017 roku, głównie na użytek polityki wewnętrznej i mobilizacji prawicowego elektoratu, rozkręcano sprawę niemieckich reparacji. W połowie 2020 roku większość niemieckiej opinii publicznej (68%) była przeciw reparacjom dla Polski, a większość polskiej opinii publicznej (57%) za żądaniami polskiego rządu. Interesujące, że grupą najbardziej roszczeniową w Polsce nie było pokolenie 60–70 plus, czyli ewentualni świadkowie niemieckiej okupacji czy ich dzieci, lecz grupa w wieku 25–34 lata (67%), czyli pokolenie wnuków ofiar wojny. Można by powiedzieć, że jest to pokolenie „porozumienia”, „stabilizacji sąsiedzkich relacji” oraz bilateralnej edukacji historycznej w ramach masowych wymian młodzieży między Polską a Niemcami. Sam współkierowałem takim programem edukacyjnym Polsko-Niemieckiej Wymiany Młodzieży w latach 2003–2007. Efekty wydawały się znakomite, a jednak... Zasadne wydaje się w tym kontekście pytanie: jak będą reagowały kolejne pokolenia? Być może z nadmiaru historii narodowej, lansowanej politycznie, zrodzi się pokolenie buntu i odejścia w ogóle od potrzeby uczenia się o przeszłości?

A może między sporem militaryzmu z pacyfizmem zaproponujemy przyszłym pokoleniom program nauczania historii jako projekt dla pokoju? Sama nazwa powstała w trakcie mojej walki o zachowanie w Olsztynie pomnika według projektu Xawerego Dunikowskiego. Powstał on dla upamiętnienia Armii Czerwonej, na polityczne zamówienie, w najgorszym okresie polskiego stalinizmu. Stworzony został przez jednego z najwybitniejszych europejskich rzeźbiarzy, więźnia Auschwitz nr 774. Chciałem, by zamiast burzyć go w ramach ipeenowskiej dekomunizacji, z pomnika-symbolu narzuconej władzy stał się eksponatem, częścią nowoczesnego założenia komemoratywnego, zwieńczonego unikalną wystawą o dwudziestowiecznej historii Warmii i Mazur. Wycieranie przeszłości, w każdym wymiarze, prowadzi co najwyżej do amnezji. Kontrowersyjność może dać szansę na rozpoczęcie dialogu i procesu lepszego rozumienia przeszłości.

Dla pokolenia świadków zakończenie wojny trwa wiecznie. Nie kończy się ona nigdy w sposób ostateczny – jak pisał Ryszard Kapuściński. „Ktoś przestaje istnieć dopiero wtedy, gdy odejdą z tego

świata wszyscy nosiciele pamięci (o nim)". W tym sensie jako drugie, trzecie i częściowo czwarte pokolenie mamy naturalny obowiązek niezapominania, bo każdy z nas mógł jeszcze spotkać ludzi, którzy przeżyli II wojnę światową, i przez to niesie część żywej pamięci. Dla kolejnych pokoleń trzeba ciągle szukać nowych transmisji pamięci i innowacyjnych form edukacji. Może jedną z dróg jest opowiadanie narodowych dziejów w sensie, wspomnianej już, historii wzajemnych oddziaływań? W końcu przyniosła ona znakomity rezultat, stając się fundamentem bilateralnego podręcznika *Europa. Nasza historia*. Z pewnością w nomadycznej Europie XXI wieku łatwiej będzie zrozumieć siebie i własną historię, gdy nie będzie ona wyizolowana z procesów europejskich i bilateralnych porównań.

Po co w Berlinie pomnik „polski”?

Pomniki nie są ulubionym tematem współczesnej kultury. Są wymysłem dziewiętnastowiecznych ideologii. Dziś raczej nie mieszczą się w kanonie kulturowych projektów... chyba że stają się obiektem protestu, jak w 2020 roku w wykonaniu ruchu Black Lives Matter w obronie podmiotowości wykluczonych, kolonizowanych społeczności.

W Polsce pomniki ciągle są rodzajem instrumentu politycznego, szczególnie w wykonaniu prawicowopolitycznych środowisk. Buduje się je masowo „ku chwale” sprawujących władzę bądź likwiduje jako tzw. relikty totalitarne.

Władze komunalne w Europie bywają też przeciw pomnikom. Na początku listopada, gdy właśnie piszę ten tekst, władze Wiednia zdecydowały o niewystawianiu polskiego pomnika na Kahlenbergu, poświęconego zwycięskiej odsieczy Jana III Sobieskiego przeciwko inwazji tureckiej w 1683 roku. Pomnika chciały nie tylko różne środowiska polskie, lecz także niderlandzcy prawicowi populiści, węgierski premier Orbán, a nawet austriaccy neonaziści. Po co więc demokratycznemu społeczeństwu pomniki, skoro wywołują tyle kontrowersji i stwarzają same problemy?

W Berlinie pomysł postawienia tzw. *Polendenkmal*, czyli „polskiego pomnika”, oficjalnie funkcjonuje od 2017 roku. Do mnie ta inicjatywa dotarła najpierw z kręgu politycznego zespołu Władysława Bartoszewskiego cztery lata wcześniej. Jej przestaniem była fraza: „Niech Niemcy wreszcie przestaną lekceważyć polską historię!”. Nikt w Niemczech wtedy nie przejął się apelem ministra Bartoszewskiego – więźnia Auschwitz i jednocześnie jednego

z konstruktorów polsko-niemiecko-izraelskiego pojednania. Pomysł pomnika pojawił się ponownie, gdy w Polsce Prawo i Sprawiedliwość doszło już do władzy, z inicjatywy społecznej m.in. Floriana Mauschbacha, Dietera Bingena, Rity Süsmuth i Andreeasa Nachamy. Pod egidą Bundestagu, zamiast pomnika, w 2020 roku inicjatywa przybrała formę Domu Niemiecko-Polskiego.

A może jednak warto wrócić do idei pomnika jako centralnej formy upamiętnienia niemieckiej okupacji Polski 1939–1945? Otuliną tej okupacji, której epicentrum stało się Generalne Gubernatorstwo – największe laboratorium zbrodni w dziejach ludzkości – było ponad tysiącletnie sąsiedztwo polsko-niemieckie, przenikanie się kultur i wpływów.

Sens pomników pozostaje niezmienny: mają upamiętniać zdarzenia albo postaci. Mają chronić przed zapomnieniem albo – jak pisała australijska antropolożka Annette Hamilton – są aktem illokucyjnym, który zwraca się do potencjalnego odbiorcy z apelem: „Nie zapomnij!”. Czy taki apel się spełnia? Nie zawsze. By zrozumieć język i przekaz pomników, należy odczytywać je w różnych wymiarach: po pierwsze w świecie wartości i wzorców sztuki, po drugie w sferze semantyki inskrypcji oraz po trzecie w kontekście inicjacyjnych intencji.

Najistotniejszy jest czwarty wymiar, czyli rytualizacja obecności pomnika w otaczającej go przestrzeni. „Słuszność” semantycznego przekazu i estetyka odpowiadająca współczesnym normom sztuki mogą być niezauważalne, gdy pomnik nie będzie systematycznie ożywiany przez społeczny i polityczny rytuał. Rytuał nie jest pustym spektaklem publicznym dla dobrego samopoczucia władzy. Rytuał dla ożywienia idei pomników musi być permanentnym uobecnieniem społecznego zapotrzebowania na pamięć o zdarzeniu bądź o osobie. Inaczej pomnik staje się szybko martwym fragmentem krajobrazu i pełni co najwyżej funkcję kierunkowskazu: „Za tym pomnikiem proszę skręcić w prawo”. Trafnie tę paradoksalną specyfikę pomnika ujął niegdyś Robert Musil:

Otóż, jeśli chodzi o pomniki, rzeczą najbardziej rzucającą się w oczy jest to, że się ich nie zauważa. [...] Przykry hałas po kilku godzinach przestaje do nas docierać. Obrazy, które zawieszamy na ścianie, po kilku dniach zostają przez nią wessane; zdarza się niezmiernie rzadko, że zatrzymujemy się przed nimi i oglądamy je.

Rytuał wokół jeszcze nieistniejącego „polskiego” pomnika w Berlinie w małym wymiarze zaczął się już w 2017 roku. Teraz pomnik zastępuje na coś znacznie większego, na zmianę filozofii relacji polsko-niemieckich. Kulturowo-historyczny wymiar partnerstwa powinien się przełożyć na realną politykę i edukację. Do takiego zwrotu są w Niemczech solidne podstawy. Tworzą je polsko-niemieckie partnerskie miasta, sieć społeczno-towarzyskich powiązań, fundament edukacyjny w postaci intensywnej wymiany szkolnej, drugiego na świecie bilateralnego podręcznika do nauczania historii *Europa. Nasza historia / Europa. Unsere Geschichte*, wreszcie dorobek niezliczonych inicjatyw kulturalnych, naukowych i artystycznych. To jest wystarczający kapitał, by „polski” pomnik nie stał się drogowskazem, lecz mógł żyć i dawać nowe impulsy do wzajemnych polsko-niemieckich relacji politycznych. Wystarczy chcieć ten potencjał uruchomić! Czy nowy rząd w Niemczech odważy się na to?

Kunktatorstwo

Za jedno nie lubię niemieckiej polityki, za zbyt kunktatorstwo. Czasami jest ono mylone z rozważą. Odnoszę wrażenie, że w sprawie polityki wobec polsko-niemieckiej przeszłości zbyt często górę bierze asekuracyjna kalkulacja, otoczona pozorem odpowiedzialności i moralnego przestania w imię wyższych wartości. W odróżnieniu od polskiej polityki wobec przeszłości, realizowanej bezpośrednio przez czynniki rządowe, niemieckiej nie rozgrywają publicznie czołowi politycy, lecz kulturalowo system instytucjonalno-organizacyjny i przygotowani do odpowiedniego scenariusza emisariusze organizacji mniej czy bardziej afiliowanych przy rządzie.

Markus Meckel odegrał ważną rolę w moim życiu. W 2015 roku, jako prezydent Niemieckiego Związku Ludowego Opieki nad Grobami Wojennymi (Volksbund Deutsche Kriegsgräberfürsorge), na uroczystości z okazji wyzwolenia Stalagu IIA „Fünfeichen” w Neubrandenburgu powiedział:

W tym miejscu chciałbym przypomnieć los Józefa Traby, Polaka w służbie armii francuskiej. Przeżył tutaj wojnę, ale jego brat zmarł w sąsiednim obozie. Jego syn Robert jest dziś profesorem w Centrum Badań Historycz-

nych w Berlinie i ważnym aktorem polsko-niemieckiego porozumienia. Jest dziś wśród nas. Serdecznie Cię pozdrawiam¹⁷.

Nigdy nie przypuszczałem, że wtedy odczuję te słowa jako akt mojego pojednania z Niemcami. Ja – polski niekatolik – byłem dzieckiem i orędownikiem pojednania, które 18 listopada 1965 roku polscy biskupi katoliccy zaproponowali swoim niemieckim współbraciom: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Dla zrozumienia Niemców wystarczyła mi ta ogólna formuła. W 2015 roku uświadomiłem sobie, jak bardzo potrzebny był jeszcze akt osobistego pojednania wypowiedziany w języku potomków sprawców śmierci i cierpienia moich najbliższych.

Na początku listopada 2025 roku Markus Meckel w artykule na łamach poczytnego berlińskiego „Tagesspiegel” pokazał nowe oblicze. Nie chce pomnika, symbolu niemieckich zbrodni na obywatelach Polski w czasie II wojny światowej, który ma powstać w Berlinie. Chce upamiętnienia okupacji i niemieckich zbrodni na wszystkich ofiarach. Obawia się konkurencji narodowych ofiar. Przed ponad dekadą w Berlinie chciano upamiętnić „wszystkich Słowian, którzy padli ofiarą narodowego socjalizmu”. Fraza jak-by *à rebours* z hitlerowskiej nomenklatury, bo w końcu to Hitler traktował Słowian jako masę anonimowych podludzi, mówiąc: „pochłoniemy albo usuniemy śmieszne sto milionów Słowian”. Czy rzeczywiście fanatyzm, okrucieństwo i niewiedza Führera mają być drogowskazem współczesnego upamiętniania relacji polsko-niemieckich?

W 2018 roku w Centrum Badań Historycznych Polskiej Akademii Nauk w Berlinie przeprowadzono ekspertyzę czterdziestu niemieckich podręczników do nauczania historii. W żadnym nie było wspomniane Generalgouvernement / Generalne Gubernatorstwo, największe laboratorium zbrodni w historii ludzkości, które na mapie zastąpiło „Polskę”. Dodajmy: niemieckich zbrodni nie tylko na etnicznych Polakach. Oba powstania warszawskie (1943 i 1944) wymienione były tylko w dwóch podręcznikach. Przypuszczam, że przeciętny niemiecki obywatel więcej dzisiaj wie

¹⁷ 70 Jahre Ende des Zweiten Weltkrieges. Ausgewählte Gedenkreden zum 8. Mai 1945, Kassel 2015, s. 73–74.

na temat polskiego antysemityzmu niż np. akcji wymordowania polskich elit, zagłady kilkuset polskich wsi, wypędzenia kilkuset tysięcy polskich obywateli w 1939 roku, by osiedlić na ich miejsce Niemców w ramach akcji Heim ins Reich, aryżacji polskich dzieci czy ponad 3 milionów polskich robotników przymusowych pracujących na rzecz „tysiącletniej Rzeszy”.

Taki jest stan powszechnej niewiedzy o niemieckiej okupacji Polski. Naprawdę wiedza o tym i stosowne upamiętnienie będą konkurencją wobec Holokaustu? A może to wy sami wytwarzacie taką kontrnarrację? A jeżeli nie, to wymyślcie, moi kochani przyjaciele Niemcy, coś, żeby było inaczej. Wygrzebcie się sami z własnego kompleksu narodu, bo sami się w niego wpędziliście. Polacy mają prawo domagać się upamiętnienia polskich ofiar, ponieważ do więzień i obozów koncentracyjnych szli właśnie jako Polacy, powstańcy warszawscy, członkowie Armii Krajowej itp.

Wiem, macie problem, bo – jak powiedział mi kiedyś jeden z uczestników dyskusji – okupowanych krajów było za dużo. Ale to wasz problem. Trzeba było okupować mniej. Dziś niemiecka pamięć i demokracja musi to wytrzymać, jeżeli chce być nadal silna i kreatywna. Być może nie wiecie, ale są w Polsce obywatele, wcale nie polscy nacjonałiści, którzy mówią: stać waszych przodków było na mordowanie Żydów na ziemiach polskich, to teraz albo zabierzcie Gedenkstätten obozów koncentracyjnych do siebie, albo współfinansujcie je, skoro stworzyliście u nas piekło na ziemi, głównie dla Żydów z Polski i całej Europy. Nie zapominajmy też, że zanim Auschwitz zaczęło pełnić funkcję obozu zagłady, było obozem koncentracyjnym, w którym największą grupą więźniów byli Polacy. Powoływanie się dziś w kontekście upamiętnienia na tragedię w Ukrainie jest niegodne. Irytuje i zarazem smuci fakt niemieckiej bezrefleksyjności, gdy czołowi politycy czy publicyści robią się obrońcami „równości ofiar okupowanych narodów”. To już nie jest oportunizm, to jest hipokryzja! Oczywiście mówię o tym w standardach Zachodu, a nie postsowieckiej Rosji, która nigdy nie przeprosiła za swoje zbrodnie.

To wasza sprawa, żeby dotrzeć wreszcie do „przeciętnych” obywateli z wiedzą o okupacji. Przy czym nie zapominajmy, że o ile w Niemczech okupacja najczęściej kojarzy się z pokojowymi strefami okupacyjnymi po wojnie albo okupacją Nadrenii w latach 20.

czy Napoleonem, to w Polsce ma ona zupełnie inny wymiar. Niemiecka okupacja 1939–1945 była dla dużej części społeczeństwa walką o biologiczne przeżycie, bo takie było zagrożenie niemiecką eksterminacją.

W 1972 roku powstał w stolicy NRD Pomnik Żołnierza Polskiego i Niemieckiego Antyfaszysty. Pomnik był nacechowany „socjalistycznym braterstwem broni”. Ale po 1990 roku dodano stosowne, odpowiadające prawdzie napisy, a od roku 2006 polska ambasada organizowała tam uroczysty apel z okazji napadu Niemiec na Polskę 1 września 1939 roku. Cóż z tego, skoro władze niemieckie nie zrobiły nic, żeby to miejsce i tę uroczystość odpowiednio zrytualizować. Nawet mieszkańcy dzielnicy Friedrichshain i pobliskiej szkoły nie mieli pojęcia, po co ten pomnik stoi i co upamiętnia.

W latach 2008–2020 wspólnie z profesorem Michałem G. Müllerem kierowaliśmy projektem bilateralnego podręcznika *Europa. Nasza historia*. Było to ukoronowanie półwiecznego dorobku i aktywności Wspólnej Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej. Najlepsza *soft power*, jaką mogliśmy stworzyć w sąsiedzkich relacjach. Tylko połowiczną rację ma Markus Meckel, gdy pisze, że „przez wiele lat rząd PiS w Polsce nie zezwalał na jego używanie – podobnie jak w Niemczech, w Bawarii!”. Mówiąc wprost: polski rząd go nie chciał z powodów nacjonalistycznego nastawienia, niemiecki z powodu politycznego oportunistu, w sensie: „bo lepiej nie drażnić PiS”. Dziś tak naprawdę obu rządów nie zależy na współpracy w wykorzystaniu potencjału podręcznika.

Dla Markusa Meckela takie inicjatywy jak budowa pomników wpisują się w narodową konkurencję ofiar. Oczywiście, tego wariantu nie można wykluczyć. Ale czy tylko dlatego mamy z takiego upamiętnienia zrezygnować?

Sens pomników pozostaje niezmienny: mają upamiętniać zdarzenia albo postaci. Mają chronić przed zapomnieniem albo – o czym wspominałem – są aktem illokucyjnym, który zwraca się do potencjalnego odbiorcy z apelem: „Nie zapomnij!”. Czy taki apel się spełnia? Nie zawsze. Warunkiem niezbędnym jest semantyczny przekaz i estetyka odpowiadająca współczesnym normom sztuki. Ale i one mogą być niezauważalne, gdy pomnik nie będzie systematycznie ożywiany przez społeczny i polityczny rytuał. Rytuał – jak pisałem przed rokiem na łamach „Dialogu. Magazynu

Polsko-Niemieckiego” – nie jest pustym spektaklem publicznym dla dobrego samopoczucia władzy. Rytuał dla ożywienia idei pomników musi być permanentnym uobecnieniem społecznego zapotrzebowania na pamięć o zdarzeniu bądź o osobie. Inaczej pomnik szybko staje się martwym fragmentem krajobrazu. Stwórzcie, wy niemieccy politycy i intelektualiści, taki rytuał. Nauczmy się upamiętniać przez empatię, a nie ideologicznie zabarwioną konkurencję ofiar. Będzie nam, po obu stronach granicy, lżej oddychać.

Po co w Olsztynie pomnik „komunistyczny”?

Olsztyński Pomnik Wyzwolenia Ziemi Warmińsko-Mazurskiej, z uporem nazywany „Pomnikiem Wdzięczności Armii Radzieckiej” bądź „Szubienicami”, jeszcze stoi. W 2025 roku, dzięki ożywionej dyskusji, stał się w Polsce prawdopodobnie najbardziej rozpoznawalnym symbolem stolicy Warmii i Mazur. Przez jednych wręcz znienawidzony jako symbol sowiecko-komunistycznej dominacji. Przez innych chroniony jako wybitne dzieło sztuki. Z pewnością jest świadkiem trudnej historii, która staje się trudnym dziedzictwem.

Ostatnio ożył dwukrotnie. Najpierw za sprawą prezydenta miasta, który ogłosił jego „dekonstrukcję”, czyli faktycznie zniszczenie. Potem, 10 listopada 2025 roku, dzięki lamentacji Teatru Węgajty, według prozy Joanny Wilengowskiej, pochodzącej z tomu *Król Warmii i Saturna*. Czy lamentacja kończyła akt żałoby? Czy zakończenie żałoby może oznaczać przejście do żywej pamięci? Na oba wydarzenia zareagowałem. Najpierw listem do prezydenta miasta, potem intencjonalnym tekstem-refleksją, który zainspirowany został teatralnym działaniem Teatru Węgajty.

List

Mój list otwarty do prezydenta Olsztyna z 18 czerwca 2025 roku był konsekwencją nowej strategii władz miasta. Otóż, mając z góry upatrzony plan, prezydent postanowił rozegrać sprawę pomnika pozornymi konsultacjami.

Swój udział w dyskusji nad losami pomnika według projektu Xawerego Dunikowskiego w Olsztynie zacząłem listem otwartym do Pana poprzednika, w marcu 2022 roku, który spowodował zmianę nastawienia prezydenta Piotra Grzymowicza i półtoraroczną, ciekawą debatę w obronie monumentu. Dziś kończę swój udział listem otwartym do Pana. Teza mojego listu jest prosta: likwidując z powodów koniunkturalnych pomnik Dunikowskiego, zaprzepaszcza Pan szansę na stworzenie unikalnego dzieła architektoniczno-muzealnego w Olsztynie.

W pewnym momencie głównymi aktorami dyskusji o przyszłości pomnika stali się: po jednej stronie tzw. środowiska „patriotyczno-narodowe”, czasopismo „Debata”, stowarzyszenie „Święta Warmia” oraz Instytut Pamięci Narodowej, ze wsparciem centrali, na czele z prezesem Karolem Nawrockim; po drugiej – środowiska SARP-u i „Borussii”, architekci oraz olsztyńska lewica. Broniąc pomnika, formułowałem jasną alternatywę: nie burzmy dzieła sztuki, nie wymazujemy przeszłości, nie estetyzujemy przestrzeni. Stworzymy innowacyjne dzieło upamiętnienia, w którym pomnik stanie się jednym z eksponatów opowieści, a jej zwieńczeniem, od strony ulicy 22 Stycznia, nowoczesne muzeum, które opowie dramatyczny wiek XX na Warmii i Mazurach i będzie jednocześnie świadectwem kreatywnego myślenia o architekturze XXI wieku.

W apogeum publicznego sporu, między marcem 2022 roku a lipcem 2023, po jednej stronie była oddolna akcja zwieńczona petycją „Apel w obronie pomnika Xawerego Dunikowskiego”, po drugiej – odgórna inwazja Instytutu Pamięci Narodowej na Olsztyn i akcja propagandowa z banerami, „szczekaczką” na samochodzie i kulminacyjną konferencją środowisk „patriotyczno-narodowych”, na czele z lokalnym PiS i wojewodą oraz sześcioma dyrektorami regionalnych oddziałów Instytutu Pamięci Narodowej, którzy przyjechali do Olsztyna z odsieczą. Przypomnę, że petycję podpisali m.in. Irena Telesz-Burczyk, Bernadetta Darska, Hanna Brakoniecka, Mariusz Sieniewicz, Kazimierz Brakoniecki, Janusz Cygański, Krzysztof Szatravski, Krzysztof Worobiec, Wacław Sobaszek czy Grzegorz Dżus, a spoza regionu m.in. obecna ministra Hanna Wróblewska, dyrektor departamentu dziedzictwa Ministerstwa Kultury

i Dziedzictwa Narodowego Piotr Rypson (oboje wówczas w opozycji politycznej) oraz takie uznane osobowości świata kultury, jak Anda Rottenberg, Krzysztof Czyżewski, Basil Kerski oraz profesorowie Krzysztof Pomian, Krzysztof Wodiczko, Anna Wolff-Powęska, Dariusz Stola, Paweł Próchniak, Rafał Stobiecki – by wymienić tylko niektórych. W mediach społecznościowych wypowiedziało się kilkaset osób, w ogromnej większości z poparciem, ale też z krytyką, jak pisarka Joanna Wilengowska czy historyczka sztuki Joanna Piotrowska. Zwolennicy zburzenia wypowiadali się najczęściej na forum „Debaty”.

Pan, jako ówczesny przewodniczący Rady Miasta, merytorycznie się nie wypowiadał, choć zarówno Panu, jak i stanowisku lokalnej Platformy bliżej było do likwidacji pomnika z przestrzeni miasta. Zgadzam się – co mi się nie zdarza – z redaktorem Adamem Sochą z „Debaty”, że obecnie sprytnie rozegrał Pan sprawę pomnika, powołując niby zespół konsultacyjny, a tak naprawdę alibi dla swojej, już wcześniej podjętej, decyzji o tzw. dekonstrukcji pomnika, czyli *de facto* jego zburzeniu. I tak „z góry eliminując z dyskusji organizacje patriotyczne i działaczy społecznych, którzy od lat domagają się usunięcia tego obiektu” (Socha), zrealizował Pan wizję tych działaczy, tyle że rozłożył Pan ją w czasie.

Bardziej machiawelicznie tego wymyślić nie było można: będąc (przynajmniej teoretycznie) przeciw prawicy, zrealizował Pan jednocześnie jej program. Gratulacje, Panie Prezydencie! Cóż, szkoda tylko naszych, podatników, pieniędzy, które musiał wydać prezes Instytutu Pamięci Narodowej, żeby uprawiać za państwowe pieniądze agitację wśród Olsztyniaków przeciw pomnikowi.

O ile w maju 2022 roku większość mieszkańców Olsztyna była przeciw likwidacji pomnika (też relokacji), o tyle po akcji Instytutu Pamięci Narodowej niewielka większość była już „za” usunięciem pomnika z miasta. Biorąc pod uwagę milczącą (jak zwykle) większość, pomnikowa „frakcja Roberta Szewczyka” wygrałaby i bez tej agitacji, realizując przy okazji hasło prezesa Instytutu Pamięci Narodowej z konferencji w 2023 roku: „Wyzwolić Olsztyn od komunizmu!”.

Jest Pan pewny, że naprawdę o takie rozumienie „wyzwolenia” Panu chodziło? Jest Pan pewny, że estetyzując kawałek przestrzeni miasta, lepiej będziemy rozumieć historię, bo wyczyścimy ją ze

„złego” artefaktu? Jest Pan pewny, że realizując wystawę o historii regionalnej w „poniemieckich” koszarach dragonów, dokonał Pan lepszego wyboru niż wybudowanie nowoczesnego muzeum w otoczeniu świadka historii, jakim jest pomnik Dunikowskiego?

Witalij Kliczko, wybitny sportowiec, mer Kijowa, wbrew decyzji Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej, nie zburzył monumentalnego, sowieckiego pomnika – Łuku Przyjaźni Narodów (1982). Zdemontowano iglicę nawiązującą do ugody perejaśtawskiej (propagandowe tzw. zjednoczenie Ukrainy z Rosją w 1654 roku), ale całość, decyzją z kwietnia 2024 roku, zachowano, przekształcając w Łuk Wolności Narodu Ukraińskiego. Erygowanie pomników wiąże się zawsze z jakimś przestaniem, ale my mamy prawo nadawać im nowy sens i znaczenie. Tak można zrobić w przypadku pomnika Dunikowskiego. Chciałbym mieć prezydenta, który potrafiłby się wybić na taką odwagę i niezależność w myśleniu, jaką miały władze Kijowa.

Proszę też pamiętać, że wojna w południowych Prusach Wschodnich miała inne oblicze niż w Polsce. To nie jest tylko historia dramatu miejscowej ludności, Warmiaków i Mazurów. Stąd leciały pierwsze samoloty, by we wrześniu bombardować Warszawę i Westerplatte. Wschodniopruscy mężczyźni – chcąc czy nie chcąc – walczyli dla „chwały niemieckiej III Rzeszy”. Tu przez prawie pięć lat, do grudnia 1944 roku, nie było żadnych działań wojennych. Prusy Wschodnie były wielkim obozem pracy dla ponad dwustu tysięcy jeńców i zagranicznych robotników przymusowych. Tysiące jeńców umarły z głodu, chorób i wycieńczenia, a miejscowa ludność cieszyła się, że ma „pocziwych pomocników” do pracy, których zgodnie z niemieckim prawem nazywano niewinnie „robotnikami zagranicznymi” (*Fremdarbeiter*), omijając nakaz i niewolniczy przymus ich pracy.

Sowieci zdobywali Prusy Wschodnie przez niespełna cztery miesiące, między styczniem a kwietniem 1945 roku. Wyzwalali też takie obozy, jak Stalag IB Hohenstein (Olsztynek). Dokonywali jednocześnie mordów, gwałtów i zniszczeń. To wszystko trzeba opowiedzieć, nie omijając faktów, ale zachowując proporcje. W cieniu „Szubienic” ta opowieść miałaby szanse uzyskać dodatkowy wymiar autentyczności miejsca.

Panie Prezydencie, jak Pan wie, nie uczestniczyłem w żadnym posiedzeniu tzw. zespołu konsultacyjnego. Wiem jednak, że zdecydowana większość uczestników była przeciwna Pana decyzji, zarówno na pierwszym, jak i na drugim spotkaniu. Głosy w mediach społecznościowych są podzielone i wydaje się, że przeważają opinie przeciw burzeniu. Po co więc ta cała mistyfikacja demokratyzacji procesu decyzyjnego? Wyłącznie Pan ponosi odpowiedzialność za akt zburzenia pomnika według projektu Xawerego Dunikowskiego, jedynego wybitnego dzieła dwudziestowiecznej sztuki polskiej w naszym regionie.

Odpowiedzi na ten list nie było i być nie mogło.

Żałoba i pamiętanie

Moją ostatnią refleksję na temat pomnika wywołała lamentacja Teatru Węgajty. Prawie jednaście lat temu esej o *Małej zagładzie* Anny Janko, opublikowany na łamach „Gazety Wyborczej”, zatyłowałam *Koniec żałoby? Oby*. Chodziło o niemiecką masakrę podlubelskiej wsi Sochy. Zabici zostali prawie wszyscy mieszkańcy. Ci, którzy zginęli w czerwcu 1943 roku, nie mieli szansy przekazać swojej opowieści. Ci, którzy przeżyli, nie mieli szansy na przepracowanie traumy. O tym była opowieść Anny Janko, która indywidualnie przepracowując tragedię II wojny światowej, podążała tropem Tadeusza Różewicza i... tropem małej dziewczynki, która przeżyła. Potem, wiele lat później, stała się jej matką.

Każde pokolenie doświadcza zwrotu pamięciowego. Wraz z odchodzeniem pokolenia świadków tragedii pamięć indywidualna przechodzi w posiadanie następnym pokoleń – postświadców. Oni też muszą sobie poradzić z dziedzictwem swoich rodziców i dziadków – tak pisałem wczesną zimą 2015 roku. Dziś wracam do tematu.

Obejrzałem artystyczne zdarzenie Teatru Węgajty przed Pomnikiem Wyzwolenia Ziemi Warmińsko-Mazurskiej w Olsztynie, według projektu Xawerego Dunikowskiego: lament według prozy Joanny Wilengowskiej. Poruszający akt przepracowania rodzinnej pamięci, który przeradza się w głos lamentu nad losem Warmiaczek. Tych, które gwałcili sowieccy żołnierze, które zsyłano na Sybir, zabijano. Chciałbym czytać przestanie Joanny Wilengowskiej

wyrażone głosem Erdmute Sobaszek jako *katharsis*, ostatni akt żałoby, konieczny, by uwolnić się od traumy tłumionych przeżyć.

Czy rzeczywiście może być to ostatni akt żałoby? Zastanawiałem się nad trwaniem żałoby jedenaście lat temu, w zupełnie innym kontekście i regionie Polski. Powtarzam: „Właśnie około pięćdziesiątki człowiek zaczyna się bardzo mocno oglądać za siebie. Tyle że uniwersalne zjawisko w wydaniu Anny Janko, skupionej na osobistym doświadczeniu, przybiera charakter głosu pokolenia. Jej JA, w różnym wymiarze i skali przeżyć, można zastąpić MY”. Taką identyfikację odnajduję teraz w teatralnym lamencie pod olsztyńskim pomnikiem. Żałoba pozwala nie tyle pogodzić się z utratą, oswoić ją i zapomnieć. Jest odwrotnie. Pozwala uzyskać dystans konieczny do życia i pamiętania. Czy rzeczywiście zbiorowe MY lamentu nad losem Warmiaczek uwolni się od przymusu powtarzania, by stać się żywą pamięcią, a nie automatycznym rytuałem? To jest jedna warstwa opowieści o pomniku.

Ekspонат

Kolejne warstwy tworzą kontekst powstania i nazwy. Pomnik stoi od 1954 roku. Powstał w szczytowym okresie polskiego bierutyzmu, z politycznej inicjatywy ówczesnego wojewody olsztyńskiego, późniejszego czołowego polityka PZPR – Mieczysława Moczara. Joanna Wilengowska w jednym akapicie nazywa go raz – zgodnie z inicjacją – „Pomnikiem Wdzięczności Armii Czerwonej”, potem „bliźniaczymi fuckami skierowanymi w warmińskie niebo”, „Szubienicami” i „nie o wyzwolenie chodziło”, czyli przypomina pośrednio drugą oficjalną nazwę – „Pomnik Wyzwolenia Ziemi Warmińsko-Mazurskiej”, by wreszcie spuentować go jako „antypomnik”, bo Warmiaczkom nie dano „choćby lamentu”.

W inicjacyjnej wersji pomnik był obłudnym aktem przypodobania się Sowietom. Komunistom było na tyle wstyd, że – nie jak powszechnie się pisze dopiero w roku 1989 – tuż po październikowej odwilży 1956 roku zaczęto go nazywać „Pomnikiem Wyzwolenia...”. Nikt tej nazwy oficjalnie nie nadał, ale już w biogramie Dunikowskiego, w trzecim tomie *Wielkiej Encyklopedii Powszechnej* (1964), figuruje właśnie jako pomnik „wyzwolenia”, a nie „wdzięczności”.

Znając dawne procedury wydawnicze, sam Dunikowski musiał tę nazwę zaakceptować, a może nawet zaproponować.

Jeszcze szybciej uporano się w Olsztynie z „wdzięcznością” dla Niemców. Tak właśnie – Treudank, czyli Dar Wdzięczności – nazywał się olsztyński teatr, który wybudowano w 1925 roku dla uczczenia niemieckich Olsztyniaków za ofiarność w zwycięstwie plebiscytowym (1920). Po 1945 roku nazwę szybko wytarto, zastępując ją patronatem wielkiego polskiego aktora Stefana Jaracza. Nikomu nie przychodzi do głowy wypominanie „wdzięczności” w nazwie teatralnego budynku, mimo że to właśnie głównie Niemcy byli sprawcami śmierci, mordu pod pięć i pół miliona obywateli polskich. W przypadku pomnika Dunikowskiego ciągle wraca się do istniejącej kilka lat pierwotnej nazwy, jakby zapominając, że mamy prawo do zmieniania nazw pomników i nadawania im nowego sensu.

W dziwny sposób na przykład funkcjonuje największy, oktaogonalny w kształcie, niemiecki pomnik okresu międzywojennego, który na przedmieściach Olsztynka czcił zwycięstwo Niemców nad Rosjanami w 1914 roku. Po polsku nazywa się go najczęściej mauzoleum Hindenburga albo pomnikiem tannenberskim. Oficjalnie nie był ani jednym, ani drugim. Jego nazwa do 1935 roku brzmiała Tannenberg-National-Denkmal, czyli Narodowy Pomnik Tannenbreski. „Narodowy” miał kluczowe znaczenie, bo odnosił się nie tyle do samej bitwy, co do „narodowego” zwycięstwa Niemców nad „słowiańskimi Rosjanami”. Taka niemiecka zemsta za klęskę pod Grunwaldem 1410.

Po pochowaniu w jednej z ośmiu wież marszałka Paula von Hindenburga stworzono w niej mauzoleum. Następnie cały pomnik przemianowano, jako jedyny w Niemczech, na centralny monument poświęcony niemieckiemu zwycięstwu w I wojnie światowej: Tannenberg Reichsehrenmal, co – idąc tropem ducha, a nie litery – najlepiej tłumaczyć jako Tannenberski Pomnik Chwały (niemieckiej) Rzeszy. W Polsce o tej historii prawie się nie pisze. Myślę, że nazwy i ich recepcja sporo opowiadają o naszym stosunku do historii.

Co do „Szubienic” – zdaniem biografów Dunikowskiego, nawet sam rzeźbiarz nie miał obiekcji, ponieważ znaczenie katowskiego narzędzia zgodne było z jego przekornym sprzeciwem wobec konieczności spełnienia politycznych żądań sowieckiej uzurpacji

nad Polską. Tymczasem pomnikowe pylony nie tylko miały kształt szubienic, lecz również wyrażały symboliczny akt przemocy, która się działa wobec ludności cywilnej.

Reszta sporu o nazwę nie ma sensu, bo w 2023 roku zniesiona została przez ministra Piotra Glińskiego z Pomnika Wyzwolenia... ochrona konserwatorska, ponieważ „zagroził polskiej racji stanu”. Mniej więcej w tym samym czasie pojawił się mój Projekt dla Pokoju i pomysł, by przekształcić pomnik w eksponat, tzn. by stał się on częścią opowieści o przeszłości południowych Prus Wschodnich / Warmii i Mazur, zwieńczonej nowoczesnym centrum ekspozycyjnym. Wśród władarzy miasta przeważa tendencja, by pomnik – eufemistycznie mówiąc – zdekonstruować, czyli zburzyć, i wokół jego fragmentów stworzyć rodzaj parku pamięci.

Konteksty

W sporze o pomnik zmarginalizowaniu uległa kontekstualizacja: czyli II wojna światowa 1939–1945; sam twórca – Xawery Dunikowski; wreszcie pierwsza dekada powojnia.

Druga wojna światowa na Warmii była inna niż np. w Generalnym Gubernatorstwie czy na tzw. ziemiach wcielonych, w Wielkopolsce i na Górnym Śląsku. W pierwszych dniach września 1939 roku z Fliegerhorst Grieslienen, dwadzieścia kilka kilometrów na południe od Olsztyna, wyleciały samoloty Luftwaffe z misją bombardowania Warszawy i Westerplatte. Tak z perspektywy warmińskiej zaczynała się niemiecka agresja na Polskę, której skutkiem była ponad pięcioletnia, brutalna okupacja. Na Warmię działania wojenne przyszły bezpośrednio dopiero po ponad pięciu latach, w styczniu 1945 roku.

Drugim obliczem wojny, dotyczącym aktywistów polskiej mniejszości narodowej, była likwidacja struktur ruchu polskiego, a wkrótce potem aresztowania, wywózka do więzień i obozów koncentracyjnych. Życie stracili czołowi działacze, w tym redaktor „Gazety Olsztyńskiej” – Seweryn Pieniężny (junior). Nastąpił „czas kobiet”, jak pisał Christian Graf von Krockow. Mężczyźni zostali powołani do wojska i – chcąc nie chcąc – musieli walczyć „za Tysiąclecie Rzeszy i Führera”. Wielu poległo. Inni godnie przeżyli

dramatyczny okres. Jeszcze inni ulegli psychozie wojny. Olsztyńska pisarka i poetka Tamara Bołdak-Janowska wspominała tak:

W mojej rodzinie przetrwała też opowieść o niemieckich żołnierzach. Pewnego dnia w 1943 roku przyszedli do domu w Zubkach nad Kołodziejanką koło Świstoczy. Zabijali, gwałcili. Matce zastrzelili na jej oczach brata Oleksego, miał siedemnaście lat. To byli tacy fajni, młodzi chłopcy. Wszystkich płci męskiej rozstrzelowali. Dzieci, chłopców. Matka mówiła, że nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego te niemieckie mundury mówią po polsku.

Skąd byli? Może ze Śląska czy Warmii? A może z Pomorza? Tego nie wiadomo. Ale to jest też fragment naszej bolesnej historii. Ją też trzeba opowiedzieć po to, żeby nikt śmiercią i cierpieniem już nie mógł postugiwać się w debacie publicznej.

Sowiecka tzw. operacja wschodniopruska trwała cztery miesiące, od 13 stycznia do 25 kwietnia 1945 roku. Szacuje się, że wówczas zginęło ponad sto dwadzieścia tysięcy żołnierzy sowieckich, rannych zostało około czterystu pięćdziesięciu tysięcy. Straty niemieckie są do dziś nieznane (!). Szacuje się jedynie, że około dwustu dwudziestu tysięcy niemieckich żołnierzy dostało się do niewoli i w większości wywieziono ich do syberyjskich łagrów. W czasie trudnych walk żołnierze sowieccy dopuszczali się masowych gwałtów na kobietach, niszczyli i kradli mienie. Ofiarą w podolsztyńskich wsiach padały Warmiaczki i robotnice przymusowe różnych narodowości. W samym mieście Allenstein, które wkrótce stać się miało Olsztynem, ofiarami były głównie Niemki, kobiety i dziewczyny, matki i siostry niemieckich urzędników i żołnierzy, bo taki urzędniczo-koszarowy charakter miało przed wojną miasto. Ginęli niewinni ludzie. Dzień przed zdobyciem Olsztyna, 21 stycznia, niemieckie komando pędziło w marszu śmierci stu siedemnastu jeńców obozu koncentracyjnego Soldau w Działdowie. Wszystkich rozstrzelano zaledwie kilka godzin przed wyzwoleniem.

Do końca wstrzymywanie przez Hitlera akcji ewakuacyjnej doprowadziło w styczniu 1945 roku do panicznej ucieczki ponad czterystu tysięcy ludzi, głównie przez Zalew Wiślany, zarówno Wschodnioprusaków, jak i zagranicznych robotników przymusowych. Tysiące uchodźców zmarło z wycieńczenia bądź utonęło w Bałtyku, czego symbolem stał się zatopiony statek Wilhelm

Gustloff. Równolegle tragediom i strachowi towarzyszyła nadzieja i radość z nowego życia, bo wraz z ucieczką i wypędzeniem Niemców przychodzili polscy osadnicy z Mazowsza i Podlasia. Tworzyła się administracja polska, podlegająca do 1946 roku wpływom sowieckich komendantur. Już w marcu 1945 roku powołano nową jednostkę administracyjną państwa polskiego pod nazwą Okręg Mazurski. Rozpocząło się nowe życie.

Jeszcze przed napisaniem *Skrwawionych ziem* amerykański historyk Timothy Snyder przestrzegał przed segmentowaniem historii i ofiar II wojny światowej. Przypominał, że na terenach, gdzie dokonał się Holokaust, jednocześnie zabito osiem milionów nie-Żydów i to w okresie rządów hitlerowskiej machiny okupacyjnej. Nie są to historie rozłączne. Tak samo jest z każdym terytorium. Historia Warmii okresu wojennego jest także splotem losów i postaw różnych ofiar, ale również sprawców i biernych świadków.

W pierwszym powojennym dziesięcioleciu los związał z Olsztynem Xawerego Dunikowskiego. Szczyt swojej rzeźbiarskiej kariery miał za sobą. Za sobą miał też pięć lat kacetu w obozie koncentracyjnym Auschwitz – jako numer 774. Przed sobą miał finał życia. Siedemdziesięcioletni rzeźbiarz wykorzystał szansę, którą stworzyli mu komuniści. Na ich zlecenie zaprojektował m.in. dwa wielkie dzieła: Pomnik Czynu Powstańczego na Górze św. Anny oraz Pomnik Wdzięczności... w Olsztynie. Oba – jak zgodnie twierdzą historycy i znawcy sztuki – są dziełami znaczącymi nie tylko w twórczości Dunikowskiego. Ten na Górze św. Anny na szczęście stoi i nikt nie chce go burzyć. Dlaczego? Bo poświęcony został „słusznej sprawie obrony polskości” – jak powiedział mi jeden z urzędników Instytutu Pamięci Narodowej. Pomnik olsztyński ma zniknąć, bo w inicjatywnej formie poświęcony był barbarzyńskim Sowietom.

Kairos

Odnoszę wrażenie, że 10 listopada 2025 roku lament Teatru Węgałty pod „Szubienicami”, według prozy Joanny Wilengowskiej, a następnie udostępnienie nagrania w sieci na początku grudnia wypełniły przestrzeń zbiorowych i indywidualnych emocji oraz dobrych i złych relacji wobec pomnika.

Dla mnie osobiście był jeszcze jeden ważny moment ostatnich miesięcy. 21 października w wieku 95 lat zmarła Maria Anielska-Kołpa, jedna z najstarszych Warmiaczek. Jako czternastoletnia dziewczyna po wejściu wojsk sowieckich przeżyła gehennę, o której nigdy nie opowiedziała. Zawsze pogodna, otwarta na innych, chętna do współpracy, np. w ramach „Borussii”, gdzie była honorową członkinią stowarzyszenia. Tu też po raz pierwszy odblokowywała swoje wspomnienia.

Muszę szczerze powiedzieć – mówiła przed kilku laty dla Archiwum Historii Mówionej – że dla mnie druga wojna światowa zaczęła się właśnie wtedy, kiedy Rosjanie wkroczyli. Przedtem właściwie tutaj się nie odczuwało, że jest wojna. Owszem, moi bracia zginęli na froncie wschodnim, jeden koło Pustoszki, to jest przed Moskwą, a Werner, ten najstarszy, Schliesenburg am Ladogasee, to było za Leningradem, za Petersburgiem dzisiaj.

O brutalności Rosjan nie zapomniała nigdy, ale najbardziej lubiła opowiadać o swoim warmińskim szkołowaniu. W tym zapamiętanym świecie i coraz częściej w języku dzieciństwa, czyli niemieckim, czuła się najlepiej – tak przynajmniej ją ją zapamiętałem. Pomnika nie lubiła, ale nie przypominam sobie, by chciała go burzyć.

Być może w grudniu 2025 roku nastąpił *kairos* – ten jedyny, właściwy moment, który wymaga nowego, kreatywnego działania, by jeszcze raz wrócić do sensu niechcianego dziedzictwa, do i d e i p o m n i k a - e k s p o n a t u . Po co? Po to, by zamknąć czas żałoby i przejść do czasu pamięci. Po to, by dać impuls do opowieści – dzięki pomnikowi jako autentycznemu eksponatowi – o mozaikowej historii dramatycznego wieku XX na Warmii i Mazurach. W tym wieku XX (i XXI) już osiemdziesiąt lat przypada na okres po II wojnie światowej. To jest czas, w którym pamięć trzech pokoleń – świadków tragedii wojny, ich dzieci i wnuków – kończy się, bowiem odchodzą nieubłaganie przedstawiciele pierwszego ogniwa autentycznego przeżycia i przekazu wspomnień.

Przed dekadą, w eseju o książce Anny Janko, wołałam, oby już nadszedł czas końca żałoby i żebyśmy wszystkich naszych tragicznie zmarłych mogli godnie przenieść do pamięci Polaków, niezależnie od ich narodowości i pochodzenia społecznego. Dziś

definitywnie odchodzą już ostatni świadkowie wojny. Weszliśmy w fazę pamięci kulturowej, w której musimy dać sobie szansę opowiedzieć to, co przekazywali nam dziadkowie i rodzice. Może to zrobić zindywidualizowana, emocjonalna literatura, a także podręczniki i opracowania historyczne. Jednak najsilniejszym nośnikiem pamięci stają się muzea. Projekt dla Pokoju, wielokrotnie przeze mnie opisywany, do którego bramą byłaby przestrzeń pomnikowa i sam pomnik-eksponat Dunikowskiego, pełniłby rolę żywego muzeum. Być może dzięki wielowarstwowej opowieści muzealnej lepiej zrozumielibyśmy siebie, dziedzicząc świadomie zarówno pamięć miejsca, jak i pamięć rodzinną.

Niestety, dziś chęć poznania i uczenia się z historii zastępuje tiktokowa pamięć, w której więcej kliknięć mają zwolennicy glajchszaltowania historii do strawnej pamięciowej papki. Wtórzy temu większość olsztyńskich rajców. Już w 2026 roku zniknie pomnik. Jaka po nim pamięć?

Nekrolog

Historia umiera pod ciosami głupiej polityki pamięci!

Pamięć kulturowa staje się karykaturą historii wtedy, gdy interpretacja przeszłości odkleja się zupełnie od minionej rzeczywistości. W przypadku olsztyńskiego pomnika według projektu Xawerego Dunikowskiego odkleiła się dwukrotnie. Po raz pierwszy w 1954 roku, w szczycie polskiego bierutyzmu, gdy pomnik miał wyrażać „wdzięczność Armii Czerwonej”. W styczniu 2026 roku odkleiła się po raz drugi, bo – jak twierdzi prezydent miasta – „możemy być wdzięczni tylko sobie”, dlatego trzeba raz na zawsze zburzyć jedyne dzieło sztuki współczesnej architektury w regionie i w jego miejsce wybudować... schron!

Lokalna megalomania połączyła się z dyletanctwem wobec historii. Wspólnie z artystą rzeźbiarzem, Robertem Tyską, postanowiliśmy pomysł burzenia pomnika udokumentować. Zagraliśmy fikcyjnym obrazem ruiny w procesie agonii.

Być może – gdy Czytelnik będzie trzymał ją w ręku – siła naszej wyobraźni stanie się faktem: pomnika już nie będzie.

Pozostanie po nim fantomowe ciało pamięci oraz metafora łącząca *sacrum* i *profanum*, która będzie pobudzać wyobraźnię kolejnych pokoleń.

O potrzebie debaty

Lawina zaczęła przybierać na sile, gdy w połowie listopada Dom Polsko-Niemiecki w Berlinie postanowił zaprezentować książkę doktora Grzegorza Rossolińskiego-Liebe *Polnische Bürgermeister und der Holocaust. Besatzung, Verwaltung und Kollaboration (Polscy burmistrzowie i Holocaust. Okupacja, administracja i kolaboracja)*. Po interwencji polskiej ambasady wycofano się z tego pomysłu. Później było już tylko gorzej. Z jednej strony pojawiły się oskarżenia o polską cenzurę polityczną, z drugiej o niemieckie szkalowanie społeczeństwa polskiego, przypisujące mu współudział w zbrodni Holocaustu. Na koniec powstał rodzaj petycji, apel zatytułowany: LIST OTWARTY DOTYCZĄCY STYGMATYZACJI POLSKICH OFIAR NIEMIECKIEGO NAZISTOWSKIEGO REŻIMU I BEZCZESZCZENIA PAMIĘCI ŻYDOWSKICH OFIAR HOLOKAUSTU, przygotowany przez warszawską Fundację Kulskich. Jego treść została zamieszczona na oficjalnej stronie Polskiej Akademii Nauk. Ja sam stałem się obiektem szantażu moralnego. Skoro jestem historykiem w Polskiej Akademii Nauk, to taki protest powinienem podpisać, a jeżeli nie, to wytłumaczyć się publicznie ze swojej decyzji. Absurd sięgnął zenitu!

Sens

Przez półtora roku książka Grzegorza Rossolińskiego-Liebe o polskich burmistrzach w Generalnym Gubernatorstwie, mimo że była w otwartym dostępie, nie doczekała się recenzji! W końcu Instytut Pamięci Narodowej kazał ją przetłumaczyć. Powstała najpierw ekspertyza, a potem bardzo krytyczna recenzja autorstwa doktora

Damiana Sitkiewicza. Ostatecznie część środowiska (również do-
brzy historycy) dostała wzmożenia obrony polskości przed jedną
książką, która rzekomo nie tylko narusza prawdę historyczną, ale
też szkaluje godność Polaków, i podpisała wspomniany protest.
Sygnowało go ponad sto pięćdziesiąt osób. Scenariusz działania
przypominał historię książki *Dalej jest noc* (2018), pod redakcją
Barbary Engelking i Jana Grabowskiego, kiedy Instytut Pamięci
Narodowej powołał *quasi* grupę śledczą, by udowodnić szkalowa-
nie narodu polskiego. Pojedyncze osoby zaczęły skarżyć autorów
o naruszenie godności.

Nie wykluczam, że Rossoliński-Liebe się myli, popełnia błędy,
może jest tendencyjny, ba – zbyt szablonowo (co znam z wcześ-
niejszych publikacji) traktuje kolaborację na terenach okupowanych,
nie odróżniając jej np. od funkcjonalnej współpracy, o czym już
dawno pisali nie polscy, a niemieccy historycy, jak Dieter Pohl czy
Christoph Dieckmann. Tylko gdzie jest naukowa riposta? Publiczna
debata? Zwyczajna debata naukowców, którzy znają temat? Dla-
czego, skoro temat był i jest tak ważny, tak długo leżał badawczym
odłogiem? Jak to się dzieje, że doktor Damian Sitkiewicz, historyk
z Instytutu Pamięci Narodowej – sądząc po publikacjach, z niewiel-
kim doświadczeniem badawczym (wcześniej Instytut Pileckiego,
doktorat na Uniwersytecie Przyrodniczo-Humanistycznym w Sie-
dlcach w grudniu 2024) – staje się aż takim autorytetem, że wy-
znacza standard polskiej historiografii w odniesieniu do badań nad
Holokaustem i niemiecką okupacją? Naprawdę nikt więcej się tym
tematem nie zajmuje?

Gdy przed laty Grzegorz Rossoliński-Liebe napisał krytycz-
ną biografię Stepana Bandery – *Stepan Bandera. The Life and
Afterlife of a Ukrainian Nationalist. Fascism, Genocide, and Cult*
(2014) – to większość polskiego środowiska historycznego cieszy-
ła się, że wreszcie ktoś dał odpór „ukraińskiemu nacjonalizmowi”.
Fragmenty z książki z lubością cytowane były na prawicowych
portalach. Przy okazji wytykano polityczne traktowanie historii
w Ukrainie (i słusznie), bo Rossoliński-Liebe stał się *persona non
grata* u naszego wschodniego sąsiada.

Badanie okupacji

A teraz co? Czy za pomocą petycji chcemy uprawiać historię? Kto z sygnatariuszy petycji przeciw książce zna niemiecki? Kto przeczytał ponad tysiącstronicową (!) książkę i z pełną odpowiedzialnością może powiedzieć, że jest ona antypolskim paszkwilem? Na jakiej naukowej podstawie Polska Akademia Nauk umieszcza na swojej stronie list otwarty Fundacji Kulskich? Czy zasięgnięto opinii kompetentnych badaczy, np. z Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk, Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk czy Instytutu Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk? Polska Akademia Nauk nie jest monolitem. Składa się z kilkudziesięciu samodzielnych instytutów. Czyżbyśmy ze standardów naukowej krytyki przechodzili na konkurencję emocji i petycji? Na koniec szantaż jednej z lokalnych gazet, której redaktor zażądał ode mnie wytłumaczenia się, z jakiego powodu nie podpisałem petycji. W domyśle była sugestia, że skoro jestem historykiem, to mam moralny obowiązek to zrobić. Otóż nie.

W 2016 roku wspólnie z profesor Anną Wolff-Powęską i doktor Katarzyną Woniak wydaliśmy książkę „*Fikcyjna rzeczywistość. Codziennosc, światy przeżywane i pamięć niemieckiej okupacji w Polsce* (Warszawa–Berlin: ISP PAN i CBH PAN). Była ona pokłosiem całodziennego sympozjum na XIX Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich w Szczecinie w roku 2014. Mój artykuł wprowadzający *O potrzebie nowych badań nad niemiecką okupacją w Polsce w czasie II wojny światowej* ukazał się także w czasopiśmie po polsku i niemiecku. Postulowaliśmy m.in. właśnie większe pochylenie się nad badaniami nie tyle działań wojskowych, partyzanckich, co nad życiem codziennym, postawami społeczeństwa polskiego, które tak trafnie wyraził Kazimierz Wyka tytułem swojej książki *Życie na niby* i które prekursorsko już w latach 70. badali i opisywali tacy historycy, jak Czesław Madajczyk, Czesław Łuczak czy Tomasz Szarota.

Po dekadzie od czasu wydania „*Fikcyjnej rzeczywistości*”, oprócz intensywnych badań wokół problematyki Zagłady, nasze postulaty pozostają aktualne. W 2014 roku dorobek Instytutu Pamięci Narodowej w dziedzinie badań nad codziennością okupacji był niewielki. Potem był wielki inaczej, bo zamiast badaniami Instytut bardziej zajmował się pseudoprawnymi ustaleniami mającymi niby

chronić Polaków przed szkalowaniami. Wsparcie Instytutu Pileckiego niewiele pomogło. Postulowaliśmy przed dziesięcioma laty, by w Polsce powstał Międzynarodowy Ośrodek Badań nad Okupacjami. Żaden demokratyczny kraj w Europie nie ma tak dramatycznych doświadczeń wojennych, jak Polska. Być może mamy też jedną z najbogatszych baz źródłowych. Gdyby powstał taki ośrodek, z pewnością mielibyśmy już niezły, krytyczny dorobek badawczy. Stworzony zostałby nie w oparciu o „historię życzeniową” czy – jak pisał profesor Krzysztof Pomian – „historię urzędniczą”, lecz rzetelne, wielostronne badania. Na pewno byłby lepszy niż apele i petycje. Postulat jest ciągle aktualny, tym bardziej że w grudniu 2025 roku dyskusja się nie zakończyła.

371 do 154!

Nie wiedziałem, że krótko po publikacji mojego tekstu *Potrzeba debaty*, najpierw na łamach „Przeglądu”, a potem, w rozszerzonej wersji, na łamach styczniowego „Forum Akademickiego”, ukążą się kolejne artykuły, m.in. we „Frankfurter Allgemeine Zeitung” i „Der Spiegel”. Równolegle w Internecie pojawił się „An Open Letter in Defense of Academic Freedom and the Historian Grzegorz Rosoliński-Liebe”. Ponad dwa miesiące minęły od wybuchu „skandalu” (Jan Grabowski), osiemnaście miesięcy od publikacji książki Grzegorza Rosolińskiego-Liebe.

Czego dowiedzieliśmy się w tym czasie o jej treści? Niczego! Poza generaliami i wynikiem walki na petycji: 371 do 154 wygrali orędownicy „wolności akademickiej”, pokonując zwolenników „obrony polskości” i „zachowania etycznego podejścia do badań naukowych”. To nie jest żart ani cynizm. Smutek ogarnia, że sens i wartość badań naukowych sprowadzamy do petycji!

Co gorsza, zarówno artykuł uznanych badaczy Holokaustu, Stephana Lehnstaedta i Andrei Löw, we frankfurckim dzienniku z 20 stycznia 2026 roku (pol. *Nieznośny sposób myślenia w kategoriach przyjaciel-wróg*), jak i wspomniany „otwarty list”, pisane w słusznej intencji, wprowadziły jednocześnie dodatkowe uproszczenia i nieścisłości. Irytuje szczególnie brak kontekstualizacji. Dwa przykłady.

Jako fakt (ale nie usprawiedliwienie) należy przypomnieć, że promocja książki organizowana przez dwie flagowe niemieckie instytucje zajmujące się Holokaustem i zbrodniami nazistowskimi, czyli Muzeum – Pomnik Pomordowanych Żydów Europy oraz Dom Polsko-Niemiecki, miała nastąpić w berlińskiej Topografii Terroru w przededniu ważnych konsultacji między rządami Polski i Niemiec. Konsultacje dotyczyć miały m.in. pomnika polskich ofiar niemieckiej okupacji. Wiadomo, jak wrażliwy i drażliwy jest to temat. Koincydencję faktów pozostawiam bez komentarza.

Drugi przykład dotyczy mojej macierzystej instytucji. Jeżeli się wymienia Polską Akademię Nauk, która rozpropagowała na swoim oficjalnym kanale informacyjnym petycję Fundacji Kulskich przeciw książce Rossolińskiego-Liebe, to jako pracownik jednego z instytutów Polskiej Akademii Nauk podkreślam również głosy sprzeciwu z kręgu właśnie tej Akademii. W imieniu Centrum Badań nad Zagładą Żydów zrobiła to profesor Barbara Engelking. Ja we własnym imieniu, jako pracownik Instytutu Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk. Poza tym po kilku dniach petycję zdjęto ze strony Akademii.

Słusznie Andrea Löw i Stephan Lehnstaedt krytykują syndrom manichejskiego myślenia o historii w relacjach polsko-niemieckich. Warto w tym kontekście przypomnieć, że mamy inną, znakomitą tradycję, tradycję dyskusji na najtrudniejsze tematy od lat 70., od czasów powstania Wspólnej Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej Historyków i Geografów (1972). Tyle że dialog przestał być w cenie. Wbrew sceptykom uważam, że książka Rossolińskiego-Liebe może być dobrym impulsem do krytycznej debaty. Krokiem w dobrą stronę jest wywiad z autorem na portalu „Dzieje.pl”, przeprowadzony przez Igora Rakowskiego-Kłosa, który oddiabolizuje temat, sprowadzając go do wymiaru realnej debaty naukowej. Krokiem w złym kierunku po polskiej i niemieckiej stronie rządowej są próby upolitycznienia tematu poprzez jego tabuizację. Taka strategia nigdy nie służyła dobrym rozwiązaniom. Gdyby się utrzymała, świadczyłoby to o braku wyobraźni politycznej i okopywaniu się w dawno zużytych strategiach. Przy ekspansji narodowych egoizmów i coraz bardziej widocznego nurtu konfrontacyjnej polityki pamięci skrajnych partii prawicowych w Niemczech i Polsce oznacza to porażkę i oddanie pola nacjonalistom.

Czy „nasi chłopcy” mogą służyć we wrogich wojskach?

„Sprzeciwiamy się niesprawiedliwym i powierzchownym ocenom pojawiającym się w przestrzeni publicznej w związku z wystawą *Nasi chłopcy. Mieszkańcy Pomorza Gdańskiego w armii III Rzeszy* – wyłącznie ze strony osób, które nie zapoznały się ani z samą ekspozycją, ani z jej kontekstem historycznym i edukacyjnym. Ubolewamy nad tym, że narracja wokół wystawy bywa wykorzystywana instrumentalnie dla doraźnych celów politycznych” – tak zareagowali organizatorzy wystawy Muzeum Gdańska i Muzeum II Wojny Światowej. Protest dotyczył ataków na wystawę, której celem było – jak napisali kuratorzy – „pokazanie tragicznego losu ludzi, którzy po 1939 roku znaleźli się pod brutalnym przymusem – wpisani na Volkslistę, powoływani do Wehrmachtu pod groźbą represji wobec siebie i swoich rodzin”¹⁸. W polskim dyskursie historycznym temat nie jest nowy i dyskutowany głównie w kontekście Górnoślążaków. Wydawałoby się nawet, że został w pewien sposób oswojony dzięki wnikliwemu studium Ryszarda Kaczmarka *Polacy w Wehrmachcie: służba wojskowa i powojenne losy*, wydanej ponad piętnaście lat temu! A jednak koniunktury polityzacji historii tykają własnym pulsem, ukazując jasno, że spraw trudnych, kontrowersyjnych nie należy zbyt szybko uznawać za zamknięte definitywnie. Temat jest trudny, bo mówi o sprawach nieoczywistych i ciągle mało znanych postawach oraz dylematach Polaków w czasie wojny.

¹⁸ Cytaty z oficjalnych stron Muzeum Gdańska i Muzeum II Wojny Światowej.

Znowu polityka...

...z butami weszła do historii. Polska norma. Politycy ponownie postanowili ustalać standardy prawdy historycznej. Mówią nam, co jest moralne, jakie są kryteria polskiej tożsamości, kto jest nasz, a kto obcy. Jakim prawem?! Kim są tacy politycy, jak Władysław Kosiniak-Kamysz, Andrzej Duda, Mariusz Błaszczak, Jarosław Kaczyński, żeby wyznaczać kryteria polskości, rozdawać certyfikaty moralności? Jak ma się moralność prezydenta Rzeczypospolitej, który nie widział gdańskiej wystawy, a oskarża jej twórców „o moralną prowokację”? Czy aż tak głęboko zakorzeniła się w Polsce Sienkiewiczowa „moralność Kalego”?

Prezydent mówi: „kto relatywizuje zbrodnie, ten rozbraja sumienie narodu”. Słusznie. Tylko że na tej wystawie nikt nie relatywizuje zbrodni. Nie naruszając godności urzędu, doktorowi Andrzejowi Dudzie powiem tak: kto relatywizuje rzeczywistość (prezydent: nie widziałem, ale wiem!), ten rozbraja poczucie przyzwoitości i uczciwości, tak ważne, by kształtować patriotyczne postawy, szczególnie młodego pokolenia.

Internetowa chryja, jaka powstała po wrzuceniu do sieci tytułu wystawy Muzeum Gdańska „Nasi chłopcy. Mieszkańcy Pomorza Gdańskiego w armii III Rzeszy”, nic nie mówi o wystawie, wiele o politykach, sposobie uprawiania polityki oraz o nas, społeczeństwie, które daje się uwodzić prymitywnej politycznej grze.

Słowa/frazy takie jak „podważanie fundamentów naszej tożsamości” (A. Duda); „[wystawa] uderza w polską rację stanu”, „rozmywanie odpowiedzialności za tragedię II wojny światowej, a wręcz [chce] przypisać ją Polakom” (J. Kaczyński); „jawna realizacja niemieckiej narracji” (M. Błaszczak) – są próbą zdyskredytowania i w efekcie wykluczenia losów części Polaków z opowieści o Polsce i polskim narodzie.

W gruncie rzeczy jest to – z jednej strony – łagodniejszy wariant braunizacji albo brunatnienia dyskursu politycznego w Polsce; z drugiej – banalizacji czy wręcz disneylandyzacji historii Polski. Musi być dobrze, ładnie, a najlepiej jeszcze łatwo i wesoło.

Duma albo wstyd? Bzdura

Moim zdaniem, dwadzieścia pięć lat po opublikowaniu książki Jana Tomasza Grossa *Sąsiedzi*, zamiast *katharsis*, nastąpiło osadzenie się na dawnych pozycjach „za” i „przeciw” – i to nie tylko w kontekście dyskusji o polskim antysemityzmie, radzeniu sobie z odpowiedzialnością za własne zbrodnie na Żydach. Wbrew twierdzeniom Marcina Napiórkowskiego, który polemizował ze mną na łamach „Gazety Wyborczej”, Polacy mają nie tyle problem z dumą z własnej przeszłości, osiągnięć, czynów bohaterskich, ile z przerabianiem rzeczy trudnych, moralnie nagannych, choćby jedynie dwuznacznych. Istota pisowskiej polityki historycznej, osadzonej na dychotomii „albo duma, albo wstyd”, prowadzi na manowce myślenia historycznego. Uczmy się na postawach ludzi szlachetnych, czynach bohaterskich, ale uczmy się też na własnych błędach, tak żeby przysłowiowy Polak nie był głupi przed i po szkodzie.

Wystawa w Muzeum Gdańska, otwarta w lipcu 2025 roku, daje szansę, by na poważnie zmierzyć się z innym, ważnym i integralnym dla naszych dziejów fragmentem historii. Wykorzystajmy jej potencjał. Obrona Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w stylu „zarzuty podważają zaufanie do instytucji”, „wystawa przybliży losy dziesiątków tysięcy Polaków” itp. to za mało. Gdzie jest długofalowa wizja czy program rzetelnego, nowatorskiego podejścia do historii, które zadałyby kłam prymitywnemu etnonacjonalistycznemu widzeniu przeszłości Polski? Gdzie jest odważny plan przybliżania historii Polski z perspektywy różnych regionów? Wystawa gdańska daje szansę na wielopłaszczyznową rozmowę. Wykorzystajmy ją!

Krzyżacy, czyli teatr z historii

Ciężko z peryferii przebijać się do centrum. Tak było i jest. Wystarczy wsłuchać się w rytm TVP Kultura. Z zakątka warmińsko-mazurskiego niby wiadomo, że „w Polsce” z kultury niezależnej liczy się olsztyński Teatr Wiejski Węgałty czy Wspólnota Kulturowa „Borusia”. Pisarze, tacy jak Kazimierz Brakoniecki, Włodzimierz Kowalewski, Tamara Bołdak-Janowska, Mariusz Sieniewicz czy ostatnio Joanna Wilengowska, przebili się do głównego nurtu. A jednak ciągle to wszystko funkcjonuje w sosie zdziwienia: „o, patrz, i tam się też coś dzieje”. Żadna skarga. Fakt.

Stulecie olsztyńskiego teatru, poza branżowym środowiskiem, nie doczekało się jeszcze odpowiedniego przypomnienia rocznicy. A byłoby warto. W Warszawie czy Łodzi, jak coś powstało sto lat temu, wiadomo, „pod ruskim zaborem”, to i tak było nasze, bo z patriotycznych pobudek. W Galicji w ogóle nie ma problemu, bo to był Piemont polskości pod zaborami. Tu, w Prusach, od 1773 do 1945 roku zwanych Wschodnimi, było inaczej. Poza enklawami polskości, narodowo-katolicką „Gazetą Olsztyńską” i od 1928 roku polskimi szkołami na Warmii, wszystko było *richtig* niemieckie, nawet jak miejscowa ludność, szczególnie w domach, gwarowała po polsku i mazurzyła prawie jak na sąsiednich Kurpiach.

Dlatego olsztyński teatr obchodzi dwie rocznice: stulecia powstania, wówczas jako pomnik wdzięczności (Treudank) za niemieckie zwycięstwo w plebiscycie 1920 roku, i osiemdziesięciolecia jako polski Teatr im. Stefana Jaracza, patrona, który wybitnym aktorem był i jest „nasz”, ale w Olsztynie nigdy nie był, w odróżnieniu od Łodzi, gdzie też ma teatr swojego imienia. Już sama ta niemiecko-polska dychotomia ma w sobie potencjał opowieści. Świetnie

wykorzystał go Paweł Dobrowolski – warszawski alianctw w Olsztynie z opolskim tłem, gdzie przez ostatnie lata pełnił funkcję wicedyrektora Teatru im. Jana Kochanowskiego.

Setka Jaracza, czyli (prawie) sto sposobów na setne urodziny (reż. Szymon Jachimek) odczarowała dychotomię, tworząc zabawną, musicalową opowieść, której sensem jest teatr sam w sobie, dystans do historii i jednocześnie cześć dla twórców powojennego teatru. Finałem roku jubileuszowego stali się *Krzyżacy* Henryka Sienkiewicza w reżyserii Jana Kłaty oraz adaptacji i dramaturgii duetu: reżyser i Ishbel Szatrawska, znana ostatnio z interesującej powieści *Toń*. Trudno wyobrazić sobie lepszy, bardziej prowokujący i inspirujący pomysł! A wykonanie? Aktorskie bardzo dobre, a momentami wręcz znakomite. O scenografię i muzykę można się czasami spierać. Z zamysłem autorskim duetu Kłata-Szatrawska powinno się polemizować!

Kłata 2007

Każdy twórca jest więźniem swojego sukcesu. Pamiętam początek 2007 roku. Wtedy po raz pierwszy obejrzałem spektakl Jana Kłaty. W berlińskim Hebbel am Ufer, jednym z najbardziej prestiżowych niemieckich teatrów, wystawił *Transfer*. Był to początek europejskiego sukcesu spektaklu. Ten teatr – pisała jedna z francuskich krytyczek – „piecze w oczy, wstrząsa, prowokuje”, „to jest fascynujące, to jest piękne, to jest przerażające”, „wraz z Klatą otwiera się nowa karta polskiego teatru”. Przypomnijmy, rzecz dotyczyła dramatu przymusowych wysiedleń po II wojnie światowej. Tworząc wówczas Centrum Badań Historycznych w Berlinie i uczestnicząc w tamtejszych debatach, miałem dość polityzacji tematu. Sami zresztą i w stowarzyszeniu „Borussia”, i potem w Niemieckim Instytucie Historycznym, dawno ten temat przerobiliśmy. Sądziłem, że po *Hanemannie* Stefana Chwina już nic na temat wysiedleń nie może mnie poruszyć.

Nagle pojawił się Kłata i jego próba zmierzenia się ze wspomnieniami zarówno Polaków, jak i Niemców. Te dwie jakże osobiste, dramatyczne perspektywy opowiadania, grane przez autentycznych świadków historii, uzupełnione zostały o kontekst wyrażony postaciami Stalina, Roosevelta i Churchilla. „Kłata chce mówić o bolesnej

historii z dzisiejszej perspektywy, próbuje wniknąć i opisać współczesną świadomość Polaków i Niemców”. Powstało dzieło wybitne zarówno pod względem dramaturgicznym, jak i historycznego przekazu, łamania schematów myślenia.

Po co Janowi Klacie prawie dwadzieścia lat po tamtym doświadczeniu *Krzyżacy* Sienkiewicza, sto dwadzieścia pięć lat po opublikowaniu książki, na jubileusz teatru w Olsztynie, dawnym Allenstein? Po raz kolejny reżyser wkroczył w sferę polsko-niemiecką, tym razem naznaczoną beletrystyką „ku pokrzepieniu serc” polskiego laureata Nagrody Nobla oraz setną rocznicą powstania teatru w Allenstein. Co chciał nam opowiedzieć? Z czym zerwać w polskiej narracji o Niemcach? Jaką narracją dopełnić Sienkiewicza w konfrontacji z teatrem – pomnikiem wdzięczności za wierność niemieckiej ojczyźnie? Czym chciał pobudzić nasze nowe myślenie w czasach, gdy wojna jest tuż-tuż?

„Sienkiewicz jechał po bandzie”

Nie odnajduję w spektaklu *Klaty* żadnego przestania, które byłoby zaczynem innego myślenia niż klasyka narodowej polityki historycznej, dominującej jeszcze kilka lat temu. A może to pastisz, co zapowiada reżyser? Zapewne, ale słabo wyczuwalny. Jeszcze przed spektaklem *Klata* wypowiedział swoje priorytety, które chce pokazać w spektaklu, czyli: jak „nasi byli skatowani niemiecką Hakatą”, żyjemy ciągle kompleksem „wobec sąsiadów, nie ukrywajmy – przede wszystkim Krzyżaków”, ale „z satysfakcją obserwujemy upadek mitu o niezawodności Deutsche Bahn i potędze niemieckiej gospodarki”. Podsumujmy: *Krzyżacy* według *Klaty* = Niemcy. Teza dla Jana *Klaty* bezdyskusyjna niczym propagandowy plakat z 1945 roku Tadeusza Trepkowskiego „Grunwald 1410 – Berlin 1945”. Tym owocnie mógł w czasach wzmożenia akcji germanizacyjnej grać Sienkiewicz. Ale dziś takie badały? Tak przecież dalekie od rzeczywistych historycznych kontekstów! Nie powstydziłaby się ich czysta, żywa propaganda rozwijana z lubością w PRL i... w RFN, gdzie kanclerz Konrad Adenauer na zjeździe ziomkowskim przebrał się w płaszcz Krzyżaka. Propaganda peerelowska szła jeszcze dalej, bo w 1982 roku powstał plakat z kanclerzem Adenauerem w płaszczu krzyżackim i prezydentem Reaganem w stroju kowboja

„Z mroków średniowiecza. Krucjata przeciwko Polsce”. Swoją drogą w niemieckich kręgach rewindykacyjnych mitem Krzyżaka wyłącznie jako nosiciela cywilizacji na Wschodzie grano bardzo długo.

Potem było jeszcze gorzej, bo Jan Klata wymyślił, że pisząc *Krzyżaków*, „Sienkiewicz jechał po bandzie i chyba sam się tym nieźle bawił. Znajdujemy się w »Rodzinie Adamsów« jakby”. Czyli najpierw wymyślił, że Sienkiewicz „nie pisał w tonie całkiem na serio” (ciekawe, skąd to wiedział?), a następnie nałożył na to fałszywe założenie swój pastisz i stereotypy, czyli kolejny fałsz. Wyszedł z tego groch z kapustą, *doppelt gemoppelt*, czyli nikt nic nie wie. Szczytem indolencji jest fraza: „Jesteśmy w Allenstein i odpowiadamy na niemiecki kulturkampf, czyli »Fausta« [Johanna Wolfganga Goethego – R.T.], naszym kulturkampfem – »Krzyżakami«”. Staram się nadażyć za *licentia poetica* reżysera, ale chciałoby się wykrzyknąć: To nie pastisz! To absurd! Jesteśmy w Olsztynie 2025 i od wielu lat prawica poddaje nas systematycznej antyniemieckiej propagandzie rodem z Polski gomułkowskiej. To, co w wyabstrahowanej rzeczywistości mogłoby być śmieszne, tu i teraz straszy mitem politycznie kreowanego wiecznego wroga. Taki jest kontekst gry Krzyżakiem = Niemcem. I żadne artystyczne zaklęcia oderwane od tej rzeczywistości tego nie zmieniają.

Dynamika spektaklu i dobra gra aktorska niestety pogłębiają stereotypowe wyobrażenia. Czy Klata tego chce? Przesłanie dla przyszłości w postaci kosmicznie przebranych aktorów nie działa. Działają za to mocno sceny rozgrywające się poza narracją sienkiewiczowską, na ścianie przewijające się w wielkoformatowym wymiarze fragmenty autentycznych kronik filmowych ze zdjęciami niszczenia szlabanu 1 września 1939 (w rzeczywistości pozowana inscenizacja z 14 września), drutów kolczastych obozów koncentracyjnych, zrujnowanych polskich miast. A na scenie wybrzmiewają niemieckie pieśni z lubością śpiewane w nazistowskich Niemczech, z którymi konkuruje „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród” i „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz i dzieci nam germanił”. Gdzie Rzym, gdzie Krym? Gdzie Sienkiewicz? A gdzie Klata? Jakby wyprzedzając takie interpretacje, reżyser zaporowo zastania się uniwersaliami, sytuacją w Palestynie, sprzeciwem wobec przemocy i wojny. Ma prawo, ale czy rzeczywiście widz jest w stanie to wychwycić w masie dynamicznie zmieniających się obrazów?

My, Krzyżaki!

Jan Klata zastania się też kontekstami regionalno-lokalnymi. Słabo. Bo poza zdjęciami z przedwojennego Allenstein, Narodowym Pomnikiem Tannenberskim wybudowanym na chwałę niemieckiego oręża po bitwie pod Tannenbergiem w 1914 roku i okrzykami (z charczącym „hrrr”) „na Mazury, na Mazury” jesteśmy w epicentrum zwyczajnej neoendeckoidalnej narracji, dziś nazywanej też patriotyczną. Może z Warszawy czy Krakowa tego nie widać. W zasadzie podtytuł spektaklu mógłby brzmieć „W Olsztynie, czyli wszędzie”. Lokalnie, właśnie tu, w Olsztynie, to Krzyżaków przerobiliśmy własnym kulturkampfem dwadzieścia-trzydzieści lat temu. Tylko wtedy miał on przekorny i nowatorski sens, wyrażany chociażby w prozie i poezji Kazimierza Brakonieckiego, w opowiadaniach Wojciecha Darskiego zatytułowanych *My Krzyżaki* (2001) czy prozie Włodzimierza Kowalewskiego, w dziesiątkach publikacji i tzw. wydarzeń kulturalnych. A Klata nam teraz mówi, zastaniając się Ishbel Szatrawską, że trzeba inaczej. Może trzydzieści lat temu byłoby w tym coś nowatorskiego. Dziś, w modnym żargonie współczesnej humanistyki, można by nazwać teatralnych *Krzyżaków* formą artystycznego kolonializmu.

Czy można było inaczej? Tak. Na pewno trzeba by na to więcej czasu i empatii dla tych lokalnych narracji, na które teoretycznie powołuje się Jan Klata. Pięćset metrów od teatru stoi pomnik Wyzwolenia Ziemi Warmińskiej i Mazurskiej, niegdyś Wdzięczności Armii Czerwonej według projektu rzeźbiarza, więźnia Auschwitz nr 774 – Xawerego Dunikowskiego. Z nim i jego zmieniającym się przesłaniem trzeba było się zmierzyć w kontrze do Sienkiewiczowych *Krzyżaków*. To byłoby wyzwanie na miarę Jana Klaty z 2007 roku! Tylko trzeba było najpierw ten pomnik zauważyć.

Przebaczenie

Najbardziej żal kulminacyjnych scen przedstawienia, dziejących się równolegle: śmierci Danusi na rękach Zbyszka (znakomici Agnieszka Giza-Gradowska i Maciej Cymorek) i aktu przebaczenia oślepionego Juranda (też świetna rola Cezarego Studniaka) dla gwałtciela i sprawcy cierpień jego własnej córki. W roku rocznicy końca II wojny światowej i kłęski (niestety) hasła „Nigdy więcej wojny!”

to właśnie akt przebaczenia mógłby stworzyć ciekawy kontekst, złamać mit wiecznego wroga i otworzyć nową narrację. W 2015 roku zmarły przed kilkoma miesiącami ambasador Polski w Watykanie Piotr Nowina-Konopka zorganizował konferencję poświęconą jubileuszowi pięćdziesięciolecia (1965) listu biskupów polskich do ich niemieckich braci w wierze. Przesłanie listu, które przeszło do historii, brzmiało: „przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Oto ofiara, która poczuwa się do współsprawstwa, bo wojna nie pozostawia niewinnych! Na watykańskiej konferencji najbardziej poruszające wystąpienia mieli nie katolicy duchowni, lecz mufti Sarajewa Mustafa Cerić i archimandryta Kościoła prawosławnego z Kijowa – Serhiy Cyril Hovorun. Akt przebaczenia nie jest wieczny. Musimy na niego zapracować. To także polskie patriotyczne osiągnięcie. Tak świetnie teatralnie wyeksponowane przebaczenie Juranda mogłoby zyskać przełożenie na współczesnego widza. Zmarnowana szansa, tym bardziej że na 18 listopada 2025 roku przypada sześćdziesięciolecie listu.

Finał spektaklu to dziesięciominutowa bitwa pod Grunwaldem, zaaranżowany choreograficznie i znakomicie zagrany ekstatyczny taniec, taniec wojny, która prowadzi wszystkich do unicestwienia. To dobry finał, bo przestrzega przed każdą wojną.

Kulturkampf – moim zdaniem – Janowi Klacie się nie udał. Będzie bulwersował takich jak ja, ale niektórych na pewno zachwyci. Z pewnością już pozostawił ślad, który – mam nadzieję – będzie prowokował do twórczej debaty. Udało się przedstawić jako spektakl teatralny. Sztandar jubileuszu obronili aktorzy i aktorki. *Es lebe hoch!* Na chwałę kolejnych kreacji teatralnych w Teatrze im. Stefana Jaracza w Olsztynie.

Jerzy Ficowski nadal będzie inspirował

Słowo „dzieło” uległo popkulturowemu spłaszczeniu w duchu takim, że prawie każdy wytwór kultury, sztuki, muzyki czy nauki może zasługiwać na to miano. Dlatego w przypadku książki Emilii Kledzik *Perspektywa poety. Cyganologia Jerzego Ficowskiego* musimy zaakcentować, że mamy do czynienia z dziełem wybitnym. Dotyczy to zarówno szerokiego horyzontu teorii i podstaw metodologicznych, jak i nowatorskości interpretacyjnej. Dzięki takiemu formatowi czytanie opowieści Kledzik nie tylko jako studium o Ficowskim i cyganologii, lecz również o ważnym aspekcie historii Polski i – poprzez transnarodowy charakter europejskiego ludu zwanego Cyganami – o uniwersalnym problemie relacji kulturowych na naszym kontynencie. Poziomowi merytorycznemu dorównuje forma edytorska, począwszy od symbolicznie i artystycznie zaprojektowanej okładki, skończywszy na bogatej szacie graficznej, czyli trafnym wyborze pięćdziesięciu pięciu ilustracji skorelowanych z krótkimi komentarzami, które razem stanowią cenne uzupełnienie głównego tekstu.

Nie przez przypadek Emilia Kledzik zaczyna książkę mottem z klasycznego już opracowania amerykańskiego antropologa kultury Clifforda Geertza: „Co robi etnograf? – On pisze”. Widzę w nim podwójny sens.

Po pierwsze autorka definiuje w nim siebie, w wymiarze tematu badawczego, którego się podjęła, nie tylko jako literaturoznawczyni. Zachowując suwerenność dyscypliny, którą reprezentuje, czyli literaturoznawstwa, rozszerza pole badawcze o inspiracje z siostrzanej antropologii oraz historii kulturowej. Etnograf pisze,

ale jak? Preferowany przez Geertza opis gęsty jest drogowskazem również dla Emilii Kledzik. Znaczy to tyle, że nie czyta tekstu samego w sobie, jako autonomicznego dzieła, lecz jako wytwór kulturowego, ukontekstowanego w czasie i biografii autora działania. Takie podejście bliskie jest wspomnianej historii kulturowej Petera Burke'a oraz osadzonemu w badaniach literatury Stephenowi Greenblattowi i jego nowemu historyzmowi. Na te ramy nakłada jeszcze autorka uznane w literaturoznawstwie imagologię oraz komparatystykę kulturową, w której zakorzenione są nowoczesne, porównawcze studia translatorskie. Ich sens, który autorka akceptuje i wykorzystuje w swojej analizie, najlepiej opisał André Lefevere, twierdząc, że utwór literacki w przekładzie zyskuje czytelników i wywiera wpływ głównie dzięki nieporozumieniom i błędom, które nazywa „refrakcjami”.

Ta mnogość inspiracji nie jest bynajmniej jedynie erudycyjnym popisem autorki. Emilia Kledzik wytwarza z nich własną, oryginalną teorię małego zasięgu, która pozwala jej lepiej odczytać i zrozumieć dzieła oraz postawę Jerzego Ficowskiego.

Drugi sens motta Geertza odnosi się do samego Ficowskiego – „on pisze”. Ficowski był przede wszystkim poetą, ale pisał też jako etnograf samouk. Jak pisał? Jak uczył się świata cygańskiego? Jak się nim postugiwał w życiu publicznym? Jak stwarzał siebie poprzez relacje z „polskimi Cyganami”? I jak stwarzał ich, szczególnie poetkę Bronisławę Wajs – Papuszę? Sama autorka tak określa cel pracy: „analiza cyganologii Jerzego Ficowskiego jako kompletnego systemu wiedzy na temat grupy ludzi nazywanych Cyganami, z uwzględnieniem obszarów naukowych i artystycznych”.

Tak klarownie zdefiniowany cel zawiesza jednocześnie przed autorką bardzo wysoko poprzeczkę analityczną. Jak Emilia Kledzik ją pokonuje? Odpowiem z góry: znakomicie. Dlaczego? Po pierwsze dzięki – jak już wspomniałem – odpowiedniemu wyborowi metody. Po drugie dzięki ogromnemu korpusowi źródeł, który poddaje precyzyjnej krytyce i analizie. Po trzecie dzięki przejrzystemu językowi analizy i wreszcie strukturze książki, która dzięki odpowiedniej problematyzacji prowadzi nas pewnie przez meandry twórczości cyganologicznej Jerzego Ficowskiego.

Jest jeszcze jeden atut pracy Emilii Kledzik. Wie, że mierzy się z postacią monumentalną polskiej kultury i literatury. Postawa

krytycznej badaczki nie zwalnia jej jednak z potrzeby podkreślania tej monumentalności i unikalności twórczości Ficowskiego w skali polskiej i europejskiej. A jednak, gdy trafia na momenty wątpliwe, bez problemów konfrontuje się z nimi. Nie po to jednak, by obnażać autorytet z jego wielkości, lecz po to, by zrozumieć, by pogłębić wiedzę o cyganologii i jej polskim pionierze – Jerzym Ficowskim. Tylko z takim podejściem merytorycznym i etycznym nauka ma szansę otwierać nowe horyzonty.

Jaka jest struktura książki Kledzik? Na początku, na ponad siedemdziesięciu stronach, autorka wprowadza nas w atmosferę powojennej Polski (aż do lat 80.), umiejscawiając w niej historię ludu zwanego Cyganami i na tym tle sytuując postać, badania i twórczość literacką Jerzego Ficowskiego. Ten obraz nie jest jednoznaczny. Z jednej strony obserwujemy akcję osiedleńczą i produktywizacyjną ludności cygańskiej, klasyczny przykład sowieckiej polityki wobec mniejszości i socjalistycznej modernizacji. Kledzik jednak nie poprzestaje na takim stwierdzeniu. Ukazuje sytuację Polski w kontekście porównawczym i ta perspektywa nie jest już tak pesymistyczna, szczególnie na tle Bułgarii czy Czechosłowacji, ale także, do lat 70., krajów zachodnioeuropejskich. W takich uwarunkowaniach politycznych, bezpośrednio po Holokauście na Sinti i Romach, przyszło żyć i pisać protagoniście studium Emilii Kledzik. Gdy, zachęcony przez Julina Tuwima, publikuje pierwsze swoje cyganologiczne teksty, nie ma żadnego specjalistycznego wykształcenia, ma dwadzieścia trzy lata i wielki zapał. W wieku niespełna trzydziestu lat, w czasach terroru stalinowskiego, pisze swoje *opus magnum* – *Cyganie polscy*. Wkrótce jego cyganologia staje się *Gesamtkunstwerk*, obejmującym naukowe studia, ich popularyzację, poezję, głównie Bronisławy Wajs – Papuszy, i jej tłumaczenia oraz teksty piosenek, święcących od lat 60. do 80. triumfy na Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu oraz w popkulturze PRL-u.

Zanim Emilia Kledzik przejdzie do obszernej, trzystustronicowej, szczegółowej analizy literacko-translatorskiej dzieła Jerzego Ficowskiego, dwa rozdziały poświęca jego „literackiemu imaginarium” oraz etnograficznemu warsztatowi. To kolejny ważny krok do ukontekstowania oraz lepszego poznania i zrozumienia twórczości Ficowskiego. Swój naukowy warsztat musiał budować sam, bo nie miał w Polsce odpowiednich wzorców. Już w 1949 roku

został członkiem najważniejszego na świecie dla orientacji badań cyganologicznych, brytyjskiego Gypsy Lore Society, a później stał się Romany Rye – „cygańskim panem”, czyli kimś, kto pokochał cygańską grupę i poznał jej język, ale do niej nie należał. Kledzik pokazuje, jak Ficowski głęboko osadzony był też w polskim dyskursie cyganologicznym. Autorka zarówno na podstawie publikacji, jak i lektury korespondencji archiwalnych zapisek Ficowskiego rekonstruuje jego cyganologiczne imaginarium. Następnie precyzyjnie analizuje głównonurtowe lektury (Grellmann, Wlislöcki, Block i inni) pod kątem odnajdowania ich śladów w twórczości autora *Cyganów polskich*. Czyni to z niezwykłą precyzją. Z jednej strony pionierska praca, jaką wykonywał Ficowski, musi budzić podziw, z drugiej Kledzik nie może pominąć jej oczywistych mankamentów. W końcu puentuje tak:

Historia Cyganów autorstwa Ficowskiego była kompilacją faktów zaczerpniętych z różnych opracowań cyganologicznych pisanych od połowy XVIII wieku po pierwszą połowę XX wieku. Informacje te, przez powtarzalność i brak danych o ich źródłach, nabierały charakteru wiedzy kanonicznej i nie wymagającej weryfikacji, jednocześnie zamazywany był ich związek z tekstami historiograficznymi leżącymi u ich podstaw (s. 225).

Ta krytyka nie dotyczy tylko Jerzego Ficowskiego, lecz odnosi się także do systemu naukowej krytyki w Polsce, pozycji tzw. nieetykalnych autorytetów i kultury debaty publicznej. O ile jednak do początku lat 70. istniała w całej Europie dominacja tradycyjnego nurtu badania problematyki cyganologicznej, o tyle po pracach Thomasa Actona następuje mocny odwrót od egzotyzacji ludności nazywanej Cyganami w kierunku traktowania jej jako części historii politycznej, gospodarczej i społecznej Europy. Ten zwrot nie wpłynął już na zmiany w twórczości Ficowskiego. Tymczasem nowe badania nad etnosem, narodem i procesami nacjonalizacji (B. Anderson, E. Gellner czy A. D. Smith, a w Polsce np. J. Szacki), które dziś są już standardem nauki, wówczas wytyczały nowe podejście również do tożsamości zbiorowych oraz historii Sinti i Roma.

Dalsze analizy Emilii Kledzik prowadzą nas do trzech wielkich tematów cyganologicznych Jerzego Ficowskiego: Zagłady, cygańskiej twórczości ludowej oraz twórczości i legendy biograficznej

Bronisławy Wajs. Autorka nigdy nie umniejsza pionierskiej roli autora *Cyganów polskich*, ale jednocześnie – poddając skrupulatnej analizie filologiczno-translatorzkiej teksty Ficowskiego – dostrzega bardziej umiejętne syntetyzowanie i kompilowanie istniejących badań polskich i zagranicznych niż bezpośrednią autorskość badań własnych. Szczególny respekt budzą skrupulatne translatorzkie analizy porównawcze twórczości ludowej i poezji Papuszy (s. 516–552). Nie pozostawiają one wątpliwości, że autor daleko nadinterpretowywał treści i symbolikę w duchu tego, co sam znał i wiedział o ludności zwanej cygańską:

Dzięki zastosowaniu przez Ficowskiego ramy konwencjonalnej cygańskości i utrzymaniu części egzotyizmu Papuszy jej twórczość nie wywoływała wrażenia radykalnej obcości. [...] Ficowski eksponował te fragmenty wierszy Papuszy, które tematyzowały zderzenie nomadycznego „kiedys” z osiadłym „teraz”.

Można zaryzykować twierdzenie, że dzięki zabiegom „oswajania Cyganów” i problematyki ich życia mogli oni stać się bardziej akceptowalni w potocznym wyobrażeniu i poprzez tak uproszczony wizerunek mogli znaleźć bardziej przyjazne miejsce w percepcji społeczeństwa większościowego. Emilia Kledzik, dokonując głębokiej analizy tekstowej i formułując jasne tezy, które niekiedy nie zgadzają się z potocznymi wyobrażeniami o pionierze polskiej cyganologii, stawia przed nami fundamentalne pytania o granice poznania i interpretacji dzieł uznanych autorytetów. Jej perfekcyjna analiza osadzona nie w abstrakcji, lecz poparta głęboką kontekstualizacją życia i twórczości Jerzego Ficowskiego, nie pozostawia wątpliwości, iż skłania się ku jedynej możliwej – jej zdaniem – drodze, czyli rzeczowej, naukowej krytyce. Nie odbiera ona Ficowskiemu wybitnej roli pioniera i popularyzatora cyganologii, nie mówiąc już o jego niekwestionowanych osiągnięciach poetyckich. Przed nami otwiera jednocześnie nowe perspektywy badawcze. Tylko tak można rzetelnie uprawiać naukę. W jednym z wywiadów Emilia Kledzik swoją postawę badaczki skonkludowała następująco:

Żyję w innych czasach, mam inną świadomość, [inne] lektury, ale teraz, kiedy przygotowuję tłumaczenie [tekstu Papuszy o rzezi wołyńskiej – R.T.],

lepiej rozumiem dylematy Ficowskiego. Może mogłabym teraz napisać nienaukowe postscriptum do mojej książki, coś w rodzaju jego „Demonów cudzego strachu”.

Ta wypowiedź mówi dwie rzeczy. Po pierwsze Jerzy Ficowski nadal będzie inspirował. Po drugie dla Emilii Kledzik nie jest to temat zamknięty.

Epilog:
Nagroda im. Stanisława Vincenza

Laudacja z okazji przyznania prof. Robertowi Tracie Nagrody im. Stanisława Vincenza 2025

Nadzwyczajna Sesja

Rady Królewskiego Stołecznego Miasta Krakowa

Sala Obrad im. Stanisława Wyspiańskiego

19 listopada 2025 roku

Mam zaszczyt i przyjemność ogłosić w imieniu Kapituły Nagrody Miasta Krakowa imienia Stanisława Vincenza, że tegorocznym laureatem tego prestiżowego wyróżnienia jest profesor Robert Traba, który przybył dzisiaj do nas z dalekiej Warmii, ziemi pruskiej.

Nie ulega wątpliwości, że dzisiejszy Laureat, podobnie jak Stanisław Vincenz, jest człowiekiem dialogu międzykulturowego oraz misjonarzem idei Europy „małych ojczyzn”.

Profesor Robert Traba to wybitny historyk, politolog, antropolog i kulturoznawca, profesor w Instytucie Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, a także profesor honorowy na Freie Universität w Berlinie i doktor *honoris causa* Uniwersytetu Marcina Lutra w Halle-Wittenberdze. Specjalizuje się w najnowszej historii Polski, Europy Środkowej oraz przede wszystkim w badaniach polsko-niemieckiego pogranicza. Jest autorem koncepcji „czytania krajobrazu” poprzez badania naukowe, jak i pamięć lokalną i szacunek dla regionalnych uwarunkowań. „Małą ojczyzną” w duchu Stanisława Vincenza są dla niego dawne Prusy Wschodnie, którym jako naukowiec, ale i zaangażowany w sprawy publiczne obywatel poświęcił znaczącą część swojego życia.

Aktywnie od wielu lat pracuje na rzecz zbliżenia polsko-niemieckiego, propagując nieetnocentryczne ujęcie historii, która w jego opinii winna być badana jako historia wzajemnych oddziaływań.

Szczególnym świadectwem takiej filozofii myślenia i działania stało się stworzone w roku 2006 przez profesora Trabę Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie, którego do roku 2018 pozostawał pierwszym dyrektorem. Celem Centrum jest umiędzynarodowienie polskiej humanistyki oraz wspieranie działań związanych z dyplomacją naukową. Centrum Badań Historycznych szybko stało się rozpoznawalną w Berlinie i w Niemczech placówką inicjującą ważne projekty naukowe popularyzujące wiedzę i realizowane z partnerami z Niemiec, Polski i innych krajów. Wśród wielu zainicjowanych i współprowadzonych przez profesora Trabę międzynarodowych projektów za najważniejsze uznaje:

- spektakularną wystawę *My Berlińczycy! Wir Berliner! Polacy w rozwoju Berlina (XVIII–XXI w.)*, prezentowaną w dwóch muzeach miejskich Berlina (2006–2009), która spotkała się z dużym rezonansem w niemieckich mediach;
- wydanie dziewięciu tomów monumentalnego cyklu *Polsko-niemieckie miejsca pamięci* (wspólnie z Hansem Hennin-giem Hahnem) (2012–2016);
- wreszcie przygotowanie drugiego na świecie, bilateralnego (polsko-niemieckiego) podręcznika do szkół pt. *Europa. Nasza historia / Europa. Unsere Geschichte*. Prace nad czterema tomami podręcznika były prowadzone przez ekspertów i edukatorów ze Wspólnej Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej Historyków i Geografów, a koordynację naukową nad całością prac sprawowało po stronie polskiej Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie, zaś profesor Robert Traba z determinacją przewodniczył Radzie Ekspertów i był członkiem Rady Zarządzającej tego niezwykłego projektu. Równocześnie w latach 2007–2020 pełnił funkcję współprzewodniczącego Komisji Podręcznikowej, a obecnie współprzewodniczy Radzie Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.

Już z powyższych faktów jasno wynika, że profesor Traba nie jest uczonym gabinetowym. Niezależnie od aktywności naukowej od lat z wielkim poświęceniem angażuje się w działalność publiczną.

W roku 1990 był inicjatorem i założycielem olsztyńskiego stowarzyszenia Wspólnota Kulturowa „Borussia”, a w roku 2006 Fundacji „Borussia”. Obie organizacje działały i działają na rzecz budowania i pogłębiania kultury dialogu i rozwijania społeczeństwa obywatelskiego. Ich misją stało się tworzenie nowych zjawisk kultury ponad podziałami i konfliktami narodowościowymi w odwołaniu do wielokulturowego dziedzictwa regionu Warmii i Mazur, dawnych Prus Wschodnich oraz prowadzenie edukacji na rzecz budowania i ochrony krajobrazu kulturowego. Przez dwie dekady (w latach 1997–2017) był też redaktorem naczelnym kwartalnika „Borussia”. Należy koniecznie odnotować, że na łamach „Borussii” pod redakcją Roberta Traby ukazały się m.in.:

- *Tematy polsko-niemieckie* (Olsztyn: „Borussia” 1997)
- *Tematy żydowskie* (Olsztyn: „Borussia” 1999)
- *Tematy polsko-litewskie* (Olsztyn: „Borussia” 1999)
- *Tematy polsko-ukraińskie* (Olsztyn: „Borussia” 2001)
- *Tematy polsko-białoruskie* (Olsztyn: „Borussia” 2003).

Sam zaś profesor Robert Traba legitymuje się imponującym i różnorodnym dorobkiem książkowym. Od lat obserwuję dokonania badawcze Roberta Traby, zapoznając się z jego książkami i artykułami, które swoim zasięgiem tematycznym przekraczają ramy standardowo definiowanej dyscyplinarności nauki. Już wybrane przeze mnie tytuły zaledwie kilku książek naszego Laureata mówią wiele:

- *Kraina tysięcy granic*, Olsztyn 2003.
- *Historia – przestrzeń dialogu*, Warszawa 2006
- *Przeszłość w teraźniejszości. Polskie spory o historię na początku XXI wieku*, Poznań 2009
- *Historia wzajemnych oddziaływań*, Warszawa 2014
- *Krajobrazy kulturowe. Sposoby konstruowania i narracje*, Warszawa 2017
- *Niedokończona wojna? „Polskość” jako zadanie pokoleniowe*, Warszawa 2020.

Ale szczególnego podkreślenia wymaga najnowsza książka Roberta Traby, wydana przez krakowskie wydawnictwo Austeria, pt. *Historia (nie) na sprzedaż* (Kraków 2024).

Robert Traba mierzy się w niej z relacjami między historią, pamięcią i ich społecznymi recepcjami. Ten wybór nie jest przypadkowy. Robert Traba stał się w Polsce pionierem nurtu badań

i obecności historii w przestrzeni publicznej, który autorsko określił jako historia stosowana. Wyraźnie oddzielił ją od tak dziś popularnej *public history*. Unikatowość propozycji profesora Traby polega na tym, że nie jest ona zamknięta w akademickim schemacie, lecz czerpie z napięcia i zwrotnej relacji, jakie się wytwarzają między warsztatem badacza a funkcjonowaniem publicznym historii i pamięci.

Tom *Historia (nie) na sprzedaż* jest kwintesencją historii stosowanej. Autor w części teoretycznej operuje takimi pojęciami, jak: czytanie krajobrazu, sukcesja kulturowa, trudne dziedzictwo, bilateralność kultur pamięci, pamięć agonistyczna. Tom *Historia (nie) na sprzedaż* jest nowatorski naukowo, ważny dla ożywienia polskiej debaty o historii i nadania jej merytorycznego sensu. Bo humanista/historyk powinien – według Roberta Traby – być równocześnie zaangażowanym obywatelem, który korzystając ze swojego przygotowania teoretycznego i empirycznego, aktywnie zabiera głos w sprawach publicznych, szczególnie wtedy, gdy polityka próbuje ingerować w świat kultury i nauki.

Sam dzisiejszy Laureat daje nieustająco świadectwo temu *credo*. Ciągłe gorącym tematem jest dziś w Olsztynie podjęta z wielką determinacją przez profesora Trabę obrona Pomnika Wyzwolenia Ziemi Warmińskiej i Mazurskiej. Jesienią 2022 roku ówczesny prezes Instytutu Pamięci Narodowej, powołując się na tzw. „ustawę dekomunizacyjną”, wydał wyrok śmierci na to monumentalne dzieło Xawerego Dunikowskiego, ignorując znaczenie artystyczne monumentu oraz rangę artystyczną twórcy. W obszernym liście otwartym do prezesa Instytutu Pamięci Narodowej profesor Traba napisał m.in.:

„Prawie 5 lat więźniem Auschwitz, jako numer 774, był również Xawery Dunikowski. Historia, Panie Prezesie, nie jest biało-czarna. Słusznie napisali twórcy strony internetowej Muzeum Auschwitz-Birkenau: »Paradoks historii sprawił, że żołnierze będący formalnie przedstawicielami totalitaryzmu stalinowskiego, przynieśli wolność więźniom totalitaryzmu hitlerowskiego«. Przynieśli wolność również Xaweremu Dunikowskiemu.

W Pana wypowiedziach odczytuję próbę wpisania Olsztyna w prosty schemat polskiej historii narodowej. Otóż – po pierwsze – nie ma takiego schematu. Po drugie każdy region czy

wielokulturowe miasto wnoszą do polskiej spuścizny inne doświadczenia etniczne, społeczne, religijno-wyznaniowe, a także – jak w przypadku Warmii i Mazur – państwowe. Proszę się nie bać, polska tożsamość może być tylko bogatsza i silniejsza, jeżeli będziemy świadomi sukcesji kulturowej, czyli spadku, jaki nam zostawili przedstawiciele różnych, sąsiedzkich kultur.

Alternatywą wobec fałszowania przeszłości i narodowej megalomanii może być zwrócenie się ku polifonicznemu rozumieniu historii, które odpowiada bogactwu polskiego doświadczenia historycznego. Chodzi o ukazanie zdarzeń w kontekście zarówno historii regionalnej ówczesnych Prus Wschodnich, jak i historii Polski na tle europejskim”.

Przed ponad pół wiekiem Józef Czapski na łamach paryskiej „Kultury” podkreślał, że dla jego pokolenia – patron naszej Nagrody Stanisława Vincenza – był „sumieniem historii”. Czapski pisał: „Jeżeli nie zdziczeliśmy wszyscy na naszych wyspach oddalonych, nie o geografii tu chodzi, zawdzięczamy to paru ludziom wśród nas – miary Stanisława Vincenza – którzy byli naszym sumieniem historii, bo sobą realizowali pewną polską, a jednocześnie najbardziej uniwersalną tradycję, jej nurt najcenniejszy, niezarażony ani naszą pychą, ani żadną wolą podporządkowania sobie kogokolwiek”.

Zmarły latem tego roku Csaba Kiss – laureat Nagrody Miasta Krakowa w roku 2019 – trafnie zauważył, że „aktualność dorobku literackiego Vincenza polega głównie na negacji wyłączonej prawdy narodowych, a równocześnie aprobacie różnorodności kulturowej”.

Ten testament Vincenza profesor Robert Traba już wypełnił z nadatkiem, a dziś go z powodzeniem rozwija, multiplikuje, propaguje i buduje mosty, stając się sumieniem naszej historii – „historii (nie) na sprzedaż”!

Jacek Purchla

O dialogu i gościnności

Podziękowanie z okazji przyznania Nagrody Rady Miasta Krakowa im. Stanisława Vincenza (fragment)

Otrzymać nagrodę im. Stanisława Vincenza w Królewskim, Stołecznym Mieście Krakowie to zaszczyt i zarazem dar w dwóch wymiarach.

Po pierwsze wymiarze geopolitycznym, bo Kraków to niekoronowana stolica – jak mawia profesor Jacek Purchla – Europy Środka. Z przymrużeniem oka rzecz ujmując, moja Europa Środka rozpościera się trochę inaczej, mianowicie sięga od litewskiego miasteczka Traby w powiecie oszmiańskim na dzisiejszej Białorusi, przez podpalermitańską Trabię na Sycylii aż po galicyjską Playa de Traba w Hiszpanii. Taki mógłbym wymyślić sobie mit.

Rzeczywistość jest bardziej prozaiczna, bo „moja Europa Środka” jest solidnie osadzona w podbocheńskim Dziewinie, 50 km od Krakowa, i Skrzeczoniu, dziś dzielnicy czeskiego Bohumina, oraz zagłębiowskiej Czeladzi, skąd pochodzą rodziny moich rodziców. Ja sam jestem pewnego rodzaju sumą migracyjnych losów środkowych Europejczyków i najlepiej czuję się w roli gościa u siebie, czyli obecnie w Olsztynie na Warmii, a wcześniej również w mazurskim Węgorzewie, gdzie się urodziłem; w Warszawie i Berlinie, gdzie wiele lat zamieszkiwałem.

Drugi wymiar to najwyższej jakości MYŚL, którą prezentuje twórczość patrona nagrody – Stanisława Vincenza. Twórczość zakotwiczona w uniwersum kultury antycznej i lokalności regionalizmów albo – jak napisał Czesław Miłosz – w rodzinnej prowincji. To właśnie w niej Vincenz odnajdował drogę ucieczki

od „monologizmów” – jak sam pisał, czyli choroby społecznej pierwszej połowy XX wieku. Takie myślenie wcale nie jest tak odległe od mojej praktycznej filozofii otwartego regionalizmu i działalności powstałej trzydzieści pięć lat temu olsztyńskiej „Borussii”.

O potrzebie dialogu

Dziesięć lat po upadku stalinowskiego komunizmu, w roku 1966, pisał Stanisław Vincenz w *Dialogach z Sowietami* następująco:

W naszej epoce, w wieku XX powszechnie zapanował monolog [...] [Ludzie] raczej mówią obok siebie nie dbając o porozumienie [...] nawet sztuka i literatura dają przykłady zawziętego monologizmu.

Skąd my to znamy, chciałoby się powiedzieć?! Odtrutką na monologizm i konkurencję rosnących w siłę populizmów był i jest dialog.

Dokładnie wczoraj, 18 listopada, tyle że przed sześćdziesięcioma laty biskupi polscy napisali słynne orędzie do ich niemieckich braci w wierze, zakończone formułą „udzielamy wybaczenia i prosimy o nie”. W roku rocznicy końca II wojny światowej i kłęski (niestety) hasła „Nigdy więcej wojny!” to właśnie akt przebaczenia tworzy ważne przesłanie wbrew lansowanemu mitowi, np. „Niemca-wiecznego wroga”, i otwiera perspektywę na nową narrację. Oto ofiara, która poczuwa się do współsprawstwa! Bo wojna nie pozostawia niewinnych! Akt w swojej przenikliwości aktualny do dziś. Cieszy mnie, że wczoraj ten akt został przywołany, zarówno w jego wersji *sacrum*, jak i w formie politycznego aktu. Szkoda, że w tak skromnym wymiarze. Szkoda, że ciągle są takie siły polityczne, które próbują go dezawuować.

Przed dziesięcioma laty na watykańskiej konferencji, która odbyła się z inicjatywy wybitnego polskiego dyplomaty – zmarłego w lipcu tego roku Piotra Nowiny-Konopki – najbardziej poruszające wystąpienia mieli nie katolicycy duchowni, lecz islamski mufti Sarajewa Mustafa Cerić i archimandryta Kościoła prawosławnego z Kijowa – Serhiy Cyril Hovorun. Przywołując ich, chcę przez to podkreślić uniwersalność przesłania biskupów polskich, wyrażonego w słowie „przebaczamy”.

Nie chcę popaść w dydaktyzm, ale pozwólcie Państwo, że zwrócę uwagę na jeden fakt. Otóż akt przebaczenia nie jest wieczny. Musimy na niego pracować i ciągle go odnawiać. Dotyczy to zarówno relacji z sąsiadami, jak i stosunków wewnętrznych. W tym kontekście przede wszystkim musimy starać się spełnić jeden warunek: umieć się przyznać do własnych popełnionych czynów, niezależnie od tego, jak bardzo dla nas samych są bolesne. Jest to chyba najtrudniejsze w wewnętrznym dialogu, gdzie np. w Polsce sami skazaliśmy się na fałszywą dychotomię „duma albo wstyd”. Gdy tymczasem alternatywą jest afirmatywne myślenie, którego częścią jest krytyczny namysł nad własną historią. Moim zdaniem, tylko takie myślenie może być podstawą partnerskiego dialogu, który nie wyklucza i nie buduje antagonizmu prowadzącego do otwartego konfliktu, tak pożądanego, np. w filozofii Carla Schmitta.

Nie chcę pozostawić przestania dialogicznego myślenia w zbytnej abstrakcji. Dlatego, pozwólcie Państwo, że odwołam się do konkretnego przykładu, mianowicie drugiego na świecie bilateralnego podręcznika *Europa. Nasza historia / Europa. Unsere Geschichte* (2016–2020). Nie jest on wyłącznie szkolnym podręcznikiem. Jest także, a może przede wszystkim wielkim bilateralnym projektem stwarzania niemożliwego możliwym. Mam na myśli fakt, że napisali go we wzajemnym, czasami niełatwym dialogu polscy i niemieccy historycy oraz dydaktycy historii.

Gdy w 2006 roku ukazał się w kooperacji francusko-niemieckiej pierwszy na świecie bilateralny podręcznik, wybitny socjolog kultury, profesor Wolf Lepenies, powiedział, że prawdziwie przetłomowe wydarzenie nastąpi, gdy „może w dalekiej [nieokreślonej] przyszłości” powstanie podręcznik polsko-niemiecki, bo to będzie dopiero znak wspólnej dialogicznej Europy. Z niedowierzaniem patrzyli na rozwój projektu polsko-niemieckiego nasi koledzy w ciągle skłóconej Azji Wschodniej, głównie Japonii i Korei Południowej.

Rzeczywiście, realia ostatnich dwustu lat polsko-niemieckiej historii, kolonialny wyzysk, wojny, niemiecka okupacja, Holokaust, przesiedlenia, wydawały się świadczyć przeciwko wspólnemu projektowi pisania historii. A jednak udało się! Bez dialogu zapoczątkowanego jeszcze w Europie podzielonej żelazną kurtyną, dorobku Wspólnej Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej Historyków

i Geografów nie powstałby, być może najlepszy obecnie, podręcznik do nauki historii.

Jest też krakowski akcent tego podręcznika. Otóż w roku 2024 Polska Akademia Umiejętności, uhonorowując *Europę. Naszą historię* doroczną nagrodą, wypromowała przede wszystkim siłę dialogu i konsekwencję jego prowadzenia. Ten wymiar projektu odnosi się nie tylko do relacji dwustronnych. Dziś, gdy za polską granicą wschodnią ciągle trwa agresja rosyjska na Ukrainę, gdy rosną w siłę ruchy skrajnie narodowe, dialog jest nowym wyzwaniem i jednocześnie przesłaniem dla Europy.

Niestety, podręcznik nie zaistniał w planowanym masowym wydaniu ani w Polsce, ani w Niemczech. Dlaczego? Bo klasa polityczna w obu krajach nie chce go już uznać za ważny instrument polsko-niemieckiego dialogu.

Zadomowienie

Drugą część moich refleksji nazwałem „Zadomowienie”. Pomysł podsunęło mi niemieckie tłumaczenie eseju Václava Havla o potrzebie bycia zadomowionym (*zuhausesein*). Taką potrzebę odczuwają przede wszystkim ludzie skazani na przymusową wędrowną. *Homo viator*, niegdyś człowiek-pielgrzym, poszukujący, teraz stał się człowiekiem skazanym na wędrowanie w ucieczce przed wojną i zagrażającą życiu biedą.

Dziś narodowym mitem, wręcz mechanicznie powtarzaną modą stała się w Polsce pochwała wielokulturowości Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Grzejąc się w jej ciepłe, mitologizujemy to, co rzekomo było, i jednocześnie nie radzimy sobie z własną rodzinną opowieścią o skutkach migracji dla naszej współczesnej kondycji. Tyle że Europa zмага się z falami migracji i towarzyszącymi im kryzysami tożsamościowymi od pokoleń, a my dziś projektujemy, często na wyrost, zagrożenie i strach przed Obcym.

Dlaczego? Bo sami wyparliśmy z rodzimej pamięci doświadczenie własnej obcości migracyjnej. Tymczasem tu, w Europie Środka, dotkniętej w ostatnim stuleciu przemieszczaniem granic i ludzi, wszyscy w wielopokoleniowym doświadczeniu jesteśmy migrantami. Tyle że nic z tego nie wynika dla współczesności.

Prawdziwy, wielopokoleniowy Krakowianin, wybitny dyplomata – Jerzy Bahr, jeszcze przed tzw. kryzysem migracyjnym w Europie powiedział w 2014 roku w naszej, opublikowanej w roku 2016, rozmowie:

Ktoś, kto się boi, zamyka się. Tak się też dzieje z narodami. W tej chwili, nie wiedząc, jaki będzie nasz wspólny europejski los, wybraliśmy drogę odwrotu od idei europejskości, chowając się w naszości: polskości, węgierskości, czeskości itd. [...] To jest droga donikąd.

Minęło jedenaście lat, a ja mam wrażenie, że nic nie zmieniło się na lepsze w sytuacji opisanej przez Jerzego Bahra.

Przesłaniem pozostaje – według mnie – kulturowanie i inteligentnej gościnności. Sensem takiej gościnności jest rozumienie przez Europejczyków własnej przeszłości i tożsamości, której od zawsze częścią była migracja i jej skutki. Zresztą przemieszczanie się, wędrowka i przymusowe poszukiwanie nowego szczęścia na ziemi były i są częścią egzystencjalnego doświadczenia i tradycji nie tylko w Europie.

W tradycji mojej rodziny migracja przejawiała się w trzech odsłonach. Była ucieczką od przystowiowej galicyjskiej biedy, czyli wyjazdem z Dziewina, bądź przymusowym wyjazdem przed zagrożeniem przemocą polityczną w Zagłębiu Dąbrowskim. Wreszcie była tułaczką wojenną mojego ojca, który przez dwa miesiące pracował opodal domu w mazurskim Węgorzewie, do którego przez przypadek trafił po wojnie i gdzie ja się po kilkunastu latach urodziłem. Niezależnie od dramaturgii, te migracje zakończyły się szczęśliwie.

Żeby odpowiednio wyrazić poczucie tego szczęścia, wracam do źródeł intelektualnej myśli patrona Nagrody – Stanisława Vincenza, czyli do antycznej mitologii. Bliskie jest mi nawiązanie do mitu i metafory Antajosa (łac. Anteusza), giganta, który swą siłę czerpał z przywiązania do ziemi, swojej matki Gai. Reprezentuje on archetyp powrotu do ziemi znanej z urodzenia, to po by bardziej stać się sobą, promując przy tym INNOŚĆ pozytywnie, jako funkcję wzbogacającą życie. W tym sensie mnie się udało spełnić siebie. Wędrując, zabierałem swój symboliczny dom. Wracając, przywiozłem doświadczenie miejsc zapoznanych. I tak stałem się gościem

u siebie, będąc zadomowiony jednocześnie również w innych doświadczonych przeze mnie miejscach. To dobre uczucie – proszę mi uwierzyć.

Nota wydawnicza

Pamięć i miejsca pamięci. Krótka historia sukcesu z osobistej perspektywy, „Klio Polska. Studia i Materiały z Dziejów Historiografii Polskiej”, t. XVI (2024), s. 268–278, <https://apcz.umk.pl/KLIOPL/article/view/65050/43428>

Die Preussische Huldigung. Über die gespaltene Der Polen und Deutschen / Hołd pruski. O podzielonej pamięci Polaków i Niemców, „DIALOG. Deutsch-Polnisches Magazin / Magazyn Polsko-Niemiecki” 2025, nr 150, s. 38–47.

W poszerzonej wersji jako wykład podczas konferencji „1525. Hołd pruski w pamięci Krakowa”, zorganizowanej przez Towarzystwo Miłośników Historii i Zabytków Krakowa w Pałacu Krzysztofora 24 maja 2025 roku. W 2026 roku ma się ukazać tom pokonferencyjny pod redakcją Zdzisława Nogi.

W skróconej wersji ukazał się: *Na pożar Reichstagu patrzył obojętnie: „Niech ta plotkarska buda spłonie”. Jak umierała niemiecka demokracja*, „Gazeta Wyborcza”, 31.01.2026, <https://wyborcza.pl/alehistoria/7,121681,32550719,na-pozar-reichstagu-patrzyl-obojetnie-niech-ta-plotkarska.html>

W historii Polski głównie o sukcesie i dumie. „Czytam i oczom nie wierzę” [POLEMKA] „Gazeta Wyborcza”, 27.03.2025, <https://wyborcza.pl/alehistoria/7,121681,31804239,w-historii-polski-glownie-o-sukcesie-i-dumie-czytam-i-oczom.html>

Prof. Robert Traba: niemiecka nauka w badaniu wojny i okupacji w Polsce wyprzedziła naukę polską, „Dzieje. PL. Portal historyczny” [rozmawiał Igor Rakowski-Kłós], 01.09.2025, <https://dzieje.pl/wywiad/prof-robert-traba-niemiecka-nauka-w-badaniu-wojny-i-okupacji-w-polsce-wyprzedzila-nauke>

Zakończenie wojny trwa wiecznie..., „Varia. 80 lat po II wojnie światowej” 2025, s. 9–17.

„Stellt uns da keinen Wegweiser hin!” Oder: Wieso wir ein Polen-Denkmal in Berlin brauchen / „Nie budujcie nam drogowskazu!”, czyli o potrzebie „polskiego pomnika w Berlinie”, „DIALOG. Deutsch-Polnisches Magazin / Magazyn Polsko-Niemiecki” 2024, nr 148, s. 28–31.

Po co Niemcom polski pomnik? Niewiedza Niemców o okupacji w Polsce jest powszechna, „Gazeta Wyborcza”, 12.11.2025, <https://wyborcza.pl/7,75968,32391789,po-co-niemcom-polski-pomnik-niewiedza-o-okupacji-polski-jest.html>

Artykuł ukazał się również po niemiecku w berlińskim „Tagesspiegel”, a jego echa znalazły się na łamach monachijskiej „Süddeutsche Zeitung” oraz londyńskim „The Guardian”.

Profesor Traba do prezydenta Olsztyna: „Zrealizował Pan program prawicy”, „Gazeta Wyborcza”, 19.06.2025, <https://olsztyn.wyborcza.pl/olsztyn/7,48726,32034095,profesor-traba-do-prezydenta-olsztyna-zrealizowal-pan-program.html>

Awantura wokół wystawy „Nasi chłopcy”. Kosiniak-Kamysz, Duda, Błaszczak, Kaczyński wyznaczają kryteria polskości, „Gazeta Wyborcza”, 16.07.2025, <https://wyborcza.pl/alehistoria/7,121681,32109060,chryja-wokol-wystawy-nasi-chlopcy-to-w-gruncie-rzeczy-lagodniejszy.html>

O potrzebie debaty, „Przegląd”, 19.01.2026.

Artykuł w pierwotnej wersji rozesłałem do stu osób 23.12.2025 roku. Fragmenty w artykule: *Teatr z historii, czyli „Krzyżacy” w Olsztynie*, „Przegląd” 2025, 20.10.2025, <https://www.tygodnikprzeglad.pl/author/robert-traba/>

Nagroda Jerzego Giedroycia dla Emilii Kledzik za książkę „Perspektywa poety. Cyganologia Jerzego Ficowskiego”, „Gazeta Wyborcza”, 25.10.2025, <https://wyborcza.pl/alehistoria/7,121681,32325253,nagroda-jerzego-giedroycia-dla-emilii-kledzik-za-ksiazke-perspektywa.html#s=S.index-K.C-B.1-L.3.duzy>

PROJEKT OKŁADKI I STRON TYTUŁOWYCH
Krzysztof Rumowski

REDAKCJA
Agnieszka Zajdel

SKŁAD
Amadeusz Targoński

© Copyright Robert Traba

ISBN 978-83-68760-12-5

DRUK I OPRAWA
Akapit Lublin

INSTYTUT EUROPY ŚRODKOWEJ
ul. Niecała 5, 20-080 Lublin, www.ies.lublin.pl